

JAN KOBENTOWICZ

SPOJRZENIE WSTECZ

SPOJRZENIE

WSTECZ

WYDAWCA

WYDAWCA
WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA 1915

TEGOŻ AUTORA:

- MŁODA POLSKA (*studja literackie*), 3 tomy.
NOWA FRANCJA LITERACKA (*studja i wrażenia*).
POLSKA PIEŚŃ NIEPODLEGŁA (*zarys krytyczny*).
ORGANIZACJA TEATRÓW MIEJSKICH.
J. SŁOWACKI ŚRÓD FRANCUZÓW.
DWADZIEŚCIA LAT TEATRU, 4 tomy.
LITERATURA POLSKA OD R. 1863.
ZARYS DZIEJÓW TEATRU W POLSCE.
LADISLAS REYMONT (*prix Nobel*), (*studjum*).
LA POLOGNE EN FRANCE, tom I.

OPRACOWANIA

- JAN KOCHANOWSKI. DZIEŁA POLSKIE, 3 tomy.
A. FREDRO. ŚLUBY PANIEŃSKIE (*według manuskryptu z r. 1833,
odnalezionego w Bibliotece Warsz. Teatrów Miejskich*).
POLSKA PIEŚŃ MIŁOSNA (*Antologja*).
ZIEMIA POLSKA W PIEŚNI (*Antologja*).

JAN LORENTOWICZ

SPOJRZENIE WSTECZ

NAKŁADEM
FUNDUSZU WYDAWNICZEGO
LEOPOLDA WELLISZA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI J. MORTKOWICZA
WARSZAWA 1935

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
ADAM PÓŁTAWSKI

KSIĄŻKI TEJ ODBITO 20 EGZEMPLARZY
NUMEROWANYCH NA PAPIERZE CZERPANYM



Drukarnia Współczesna, sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10

REYMONT W PARYŻU

W niewielkiej, zabrudzonej sali paryskiej Szkoły Medycznej odbywała się skromna uroczystość „obrony“ tezy doktorskiej p. Marji Sulickiej. Na uroczystość podobną przybywa zazwyczaj grono kolegów i przyjaciół doktora lub doktorantki. Śród obecnych znalazł się przypadkiem znany warszawski lekarz, dr. Józef Drzewiecki, powracający z londyńskiego kongresu homeopatów. Wtyle za nim, na amfiteatralnie podwyższonej ławie, siedział osamotniony młodzieniec o wyglądzie dosyć osobliwym. Był blady i zalekniony, miał długie, obcięte pod prostym kątem włosy i połykiwał wysokimi aż do kolan cholewami. W Paryżu, gdzie przepływają nieustannie fale cudzoziemców, nikt nie zwraca uwagi na szczegóły ubrania. Domyślałem się, że cholewiasty nieznajomy zabłąkał się do tej sali z ciekawości. Tegoż dnia, pod wieczór p. Sulicka podejmowała swych gości tezowych czarną kawą. Zdała od innych, pod ścianą stał w milczeniu młodzieniec w butach z cholewami.

Zaintrygowany, zapytałem świeżo upieczonej doktorki, kim jest ów tajemniczy pan.

— Młody literat. Przyjechał z Drzewieckim. Nazywa się Reymont.

— Reymont?...

Wiedziałem o jego talencie, więc zaczęliem odrazu lękliwego gościa, wyprowadziłem go na balkon, obsypałem komplementami za nowele: „Śmierć“ i „Franek“, które niedawno czytałem. Reymont był wzruszony. Rozgadał się szybko. Poprawiał wciąż niesforną czuprynę, mówił z zapalem o swoich planach najbliższych. Zaprosiłem go nazajutrz na obiad i pokazałem mu Paryż. Dr. Drzewiecki o swoim pupilu podróżnym mało pamiętał. Zabrał Reymonta do Londynu na własny koszt, ale zostawił go na bruku paryskim bez grosza. Postój w Paryżu trwał zaledwie kilka dni. Reymont pożerał oczyma dziwy wielkiej stolicy i rzucał kiedyniekiedy krótkie słowa zachwyty: — „Psiakrew!“ albo: „Cho-lera!“ Przy rozstaniu dał mi z żarem obietnicę:

— Ja tu niezadługo przyjadę!...

Przyjechał dopiero w końcu listopada 1896 r. Stał u mnie i przemieszkaliśmy razem lat kilka. W długich rozmowach z towarzyszem codziennym, stwierdziłem odrazu, że mam do czynienia z człowiekiem bez żadnego wykształcenia. Ogromny talent pchnął go na fale życia i Reymont niby gąbka, wsysał chciwie wszystko, co słyssał około siebie. Skromny podróżnik z przed lat dwóch zmienił się do gruntu. Był upojony powodzeniem „Pielgrzymki do Jasnej Góry“, „Komedjantki“, „Fermentów“ i „Spotkania“. Warszawski świat literacki znał na wylot

i wygłaszał o nim zdania bezwzględne. O swoich personaljach mówił często i za każdym razem inaczej. Najczęściej powtarzała się wersja, że „po czasach szkolnych“ zaprzęgnięto go do gospodarki rolnej, ale tęsknota za swobodą kazała mu uciec z domu i włączyć się z jakąś trupą aktorską. Gdy mu dokuczyła nędza, przyjmuje posadę na koleji, skąd znów ucieka do teatru, a potem znów dostaje miejsce dozorca ułamka toru kolejowego z pensją dwunastu rubli miesięcznie. Wówczas to pisał podobno ołówkiem, w rowie, na kamieniu lub na trawie pierwsze swe utwory. Wreszcie poszedł szukać szczęścia literackiego w Warszawie.

Okazało się dopiero po śmierci Reymonta, że wersja ta była nieścisła. Podejrzywałem w niej poważne luki. Zaintrygowało mnie np., że Reymont znakomicie przerabiał i reperował sobie własne ubrania. Gdy go pytałem, gdzie się tej sztuki nauczył, odpowiedział:

— W teatrze. Tam trzeba było wszystko umieć.

Tajemnicę odkrył dopiero przed kilku laty A. G. Siedlecki, który odnalazł w warszawskim cechu krawieckim dokument, świadczący, że Reymont został tam wyzwolony na czeladnika krawieckiego w r. 1884. Wynika stąd, że oddany był do rzemiosła w trzynastym roku życia, czyli że „szkoły“ jego nie przekroczyły nauki elementarnej. Ten wybitnie ciekawy szczegół swego życiorysu ukrywał Reymont z jakimś fałszywym wstydem do końca życia. Niewiele również wiadomo o jego pracy scenicznej. W wywiadzie zapewniał, że, pod dyrekcją

Stobińskiego, później obu Ratajewiców (ojca i syna), wreszcie — Cybulskiego grywał „role bohaterskie“. Jedyny ze starszych aktorów, który go znał w owym czasie, a mianowicie Szymborski (zmarły niedawno) opowiadał, że Reymont zdolności aktorskich nie posiadał wcale, a w pracy scenicznej przeszkadzał mu dotkliwie krótki wzrok (przewracał meble na scenie).

Gdy opuścił teatr w grudniu 1886 r., miał zaledwie lat dziewiętnaście. Później siedział beczynnie w domu, skąd poszedł na posadę dozorca plantów między Rogowem a Płyćwią. Żył w owym czasie w wielkiej rozterce duchowej. Po zawodzie miłosnym, postanawia w lutym 1893 r. wstąpić do klasztoru na Jasnej Górze i w liście do przeora Rejmana pisze, że „zamiar ten — to nie chwilowe zniechęcenie, — to potrzeba wprost organiczna serca, rozważana w swej doniosłości długo i bezstronnie“.

Reymont zawsze lubił tworzyć o sobie malownicze legendy, w które wkońcu wierzył sam. Jedną z nich powtarzał mi w Paryżu często, w kilku narastających wersjach. — Utrzymywał, że ród swój wyprowadza z wikingów skandynawskich, którzy osiedli najpierw nad Bałtykiem a później zawędrowali do ziemi piotrkowskiej. Stąd pochodzi rzekomo jego nazwisko: R e y m o n t.

Podobnego zdania była również nasza „madame la concierge“, która nam usługiwała. Naczytawszy się romansów, zagadnęła mnie pewnego dnia nieśmiało:

— Chciałam panu coś powiedzieć: Ja wiem dobrze, że panowie są przecież przebrani księżęta (des princes

deguisés). Pan Saint-Reymont (tak czytała skrót jego imienia: St. Reymont) — to napewno markiz. A pan musi być napewno „un vicomte“, bo przecież Lorentowicz (wymawiała: Lorantoviks) — to przecież nie jest nazwisko (ce n'est pas un nom!).

Nie wyprowadzałem jej z błędu. Dopiero po śmierci Reymonta dowiedziałem się, że rodowe nazwisko rzeckomego potomka wikingów i markiza brzmiało: B a l c e r e k. Zwyczajem niektórych naszych wsi, w których mieszka wielu ludzi tego samego nazwiska, do Balcerka dodano przydomek R e j m e n t, którem później podpisał się już ojciec Władysława Stanisława, organista kościelny, na urzędowym akcie jego chrztu w parafji Kobile Wielkie. Dalszej zmiany Rejmenta na Reymonta dokonał sam autor „Chłopów“.

Namówiłem Reymonta, aby się nauczył nieco języka francuskiego, skoro przybył do Paryża na czas dłuższy. Zaproponował mi, abym się podjął tej nauki. Lekcje szły bardzo opornie. Najprostszych „słówek“ nie mógł przyszy laureat Nobla zapamiętać. Gdy raz utwalił sobie w myśli „un couton“ (zamiast un couteau — nóż), powtarzał ten wyraz przez całe lata w restauracjach. Nie znał żadnego języka obcego; nawet — rosyjskiego. Po kilkunastu lekcjach (zaniechanych pod różnymi pretekstami), przerwaliśmy, za wspólną, niemą zgodą, uciążliwą i bezpłodną naukę. Przyjeżdżał później Reymont przez długie lata do Paryża i nie nauczył się nawet czytać po francusku.

Swój dzień powszedni układał w taki sposób: Przy śniadaniu rannem opowiadał mi wrażenia z dnia poprzedniego, które zazwyczaj koloryzował z przesadą „zgrzywającego się“ aktora. Pisał rano zazwyczaj godzinę lub dwie. Dla utworów swych przygotowywał najpierw rodzaj obszernego bruljonu-konspektu, po którego ukończeniu przystępował do t. zw. przepisowywania, polegającego na tem, iż z jednej stronicy bruljonu powstawało kilka a niekiedy kilkanaście stronic tekstu ostatecznego. Metodzie tej pozostał Reymont wierny, zdaje się, do końca swej twórczości. Po obiedzie (to jest francuskim „dejeuner“), który jadaliśmy na mieście, Reymont chodził do kawiarni, gdzie spędzał kilka godzin na gawędzie. Najwięcej przebywał w modnej w owe czasy (dziś już nieistniejącej) „Cafe du Panthéon“ przy rogu bulwaru St. Michel i rue Soufflot. Zbierali się tam literaci polscy, czasowo zamieszkali w Paryżu (śród nich: Konstanty Górski, A. Potocki, W. Kosiakiewicz, przez jakiś czas: Przybyszewski i Rydel) oraz gromada malarzy z K. Markiewiczem na czele. Gawędy kawiarniane były dla Reymonta szkołą średnią, a częściowo i wyższą. Z nadzwyczajną chciwością chłonał w siebie wszystko, co posłyszał... Gdy nazajutrz, przy rannej kawie, olśniewał mnie nabytymi świeżo wiadomościami, łatwo mogłem odróżnić źródła, z których pochodziły. Wieczorami zachodził niekiedy do music-hallów, do cyrku; w teatrach nie był niemal zupełnie, bo nic nie rozumiał. Najchętniej spędzał wieczory u znajomych.

Przyjaźnił się z Dmowskim, p. M. Kiniorskim i z „Batiniołami“, t. j. z Polakami, mieszkającymi na Bati-
gnolles, których w naszej grupie uważaliśmy za wstecz-
ników. Tematów politycznych nie poruszaliśmy w roz-
mowach. Raził Reymonta mój radykalizm, więc unikał
dyskusyj. Późnym wieczorem wracał do domu i czasem
czytywał powieści polskie, najczęściej zaś zanurzał się
w „Kurjerze Warszawskim“, który wertował od deski
do deski, dowodząc, że ogłoszenia dają mu więcej wia-
domości o życiu warszawskim, niż artykuły.

Chociaż nie bywał w teatrach, marzył Reymont
w Paryżu o karierze autora dramatycznego. W maju
1897 r. zaczął pisać w Ouarville‘u, w gościnie u pań-
stwa Gierszyńskich, dramat p. t. „Kłamstwa“. Dramat
ten oddał pod opiekę Antoniego Mieszkowskiego, redak-
tora „Kurjera Codziennego“ i napróżno oczekiwał
o nim wieści. Zdaje się, że Mieszkowski „Kłamstwa“ za-
wieruszył, bo nigdy już potem o nich nie słyszałem,
choć Reymont przywiązywał do tego utworu wielką
 wagę. W liście z dn. 26.5 1897 r. (do p. M. Łaganow-
skiej) pisze z Ouarville‘u: „Dramat jest psychologiczny,
ale o tak napiętej i denerwującej akcji, że, jeżeli znaj-
dzie wykonawców odpowiednich, może zrobić wrażenie,
ale że powodzenia u szerokiej publiczności mieć nie
będzie, o tem wiem zgóry i nie spodziewam się tego, ani
na to liczę. „Kłamstwa“ — to mój krzyk, to krzyk na
urządzenia społeczne, na obłudę panującą we wszyst-
kich dziedzinach życia i w duszach ludzkich“. Twór-

czegoś dramatyczna nęciła go, pomimo niedbalstwa Mieszkowskiego. Dnia 28 kwietnia 1899 r., grupa amatorów odegrała w Paryżu jego „szkie dramatyczny“ w jednym akcie p. t. „Zapóźno“ na rzecz „Koła“, stow. kształcącej się młodzieży. Sztuka miała akcję bardzo prostą: dwoje ludzi, których niegdyś łączyła gorąca miłość, spotykają się po latach w gościnie, w dworze wiejskim. Zagłuszone przez okoliczności życiowe uczucie, budzi się nanowemu. Henryk i Kamilla wyznają sobie wzajemnie miłość i toną w uścisku, aż ich przywołuje do porządku rzeczywistość, pod postacią zwykłego zaproszenia na... podwieczorek. Sztukę grano fatalnie, o czym Reymont mówił z największą goryczą. W liście z dn. 16.5 1899 r. (do p. M. Łaganowskiej) pociesza się jedynie uwagą: „Nie żałuję tego debiutu, bo z niego nauczyłem się więcej, niżlibym się nauczył z dziesięciu książek wykładających teorie dramatu. I dobrze się nawet stało, że to zobaczyłem przed wystawieniem tego dużego dramatu, bo teraz spostrzegłem dopiero wszystkie jego błędy. Jużci, że zabrałem się do ich usunięcia“. Sztuki „Zapóźno“ nie włączył Reymont do zbiorowego wydania swych pism. Zapewne manuskrypt również przepadł.

W czerwcu Reymont wybierał się zazwyczaj do kraju. Pomimo popularności jego pism, dochody z nich były bardzo znikome, niewystarczające na skromne utrzymanie. Trzeba było ratować się nieustannie pożyczkami i szukać pomocy u przyjaciół. Pomagali mu: Godebski, Paderewski i inni.

W r. 1900 Reymont nie wrócił do Paryża o zwykłej swej porze, t. j. w końcu jesieni. Padł ofiarą wielkiej katastrofy kolejowej pod Włochami, w której doznał mocnego wstrząśnienia nerwowego i miał potłuczoną głowę. Leżał jakiś czas w szpitalu, gdzie go pielęgnowała narzęczona. Od zarządu kolei otrzymał tytułem odszkodowania 40.000 rubli, które stały się zaczątkiem jego przyszłej fortuny, powiększonej znacznie po nagrodzie Nobla. Po ślubie, w r. 1902, Reymont przyjechał do Paryża już z żoną. Nasze współmieszkanie zakończyło się siłą rzeczy.

Mieszkał później w Paryżu przez wiele lat, z przerwami krótszemi lub dłuższemi. W dwa miesiące po pierwszym swym przyjeździe do Paryża, pisał d. 19. I. 97 r. do p. Łaganowskiej takie słowa: „Cóż można powiedzieć o Paryżu, o tym zamtuzie świata, o tym rynsztoku, w który ściekają wszystkie brudy — że jest ohydny, pomimo pozorów wspaniałości i że jest głupi, pomimo cywilizacji. Moznaby ogłosić konkurs na głupotę ludzką — Francja by z pewnością wzięła pierwszą nagrodę. Większej rutyny, zaśniedzenia, zaściankowości, płaskości, ordynarnego materjalizmu, sobkostwa, braku jakiegokolwiek etyki w życiu publicznem i domowem — chyba niema na świecie“.

Ten sąd z samego dna Wolbórki przywieziony, zmienił się rychło i zasadniczo. Reymont przez całe życie nie mógł się oderwać od Paryża. Po osiedleniu się w kraju, kupował i sprzedawał majątki (Charłupia, Kołaczkowo, willa w Zakopanem), przerzucał się wciąż z jednego

miejsca na drugie, ale do Paryża ciążył nieustannie. Czuł się w tem mieście czarodziejskiem zawsze najlepiej, chociaż nie znał języka francuskiego, chociaż z kultury francuskiej nie brał nic. Samorodny, wielki talent pozwolił mu przebyć olbrzymią, niewiarogodną drogę od wyzwolin na czeladnika krawieckiego do nagrody Nobla. W drodze tej posłuszny był jedynie własnemu nakazowi wewnętrznemu, dającemu świadectwo żywotności i genialności rasy polskiej.

NOCNY NAPAD NA FILOLOGA

Pensjonat w „Hôtel du Brésil“ przy ulicy Le Goff w Paryżu był przez pewien czas przed wojną miejscem rendez-vous polskich literatów, malarzy, a nawet uczonych. Jadaliśmy tam stale z Reymontem, a zaglądali też do nas na obiady: Żeromski, Przybyszewski, Miriam, Rydel, K. Górski, W. Kosiakiewicz i inni. Sród tych, którzy przybywali z Polski na dłużej, przeważali lekarze, uzupełniający swe studia w klinikach paryskich. Miłymi towarzyszami naszych gawęd byli doktorzy: Stanisław Ciechanowski (docent a później prof. Uniw. Jagiellońskiego), Rafat Radziwiłłowicz (w odrodzonej Polsce profesor Uniw. Stefana Batorego) i W. Łapiński (wybitny chirurg warszawski). Pomiędzy stołownikami kręcił się stale niejaki Mérovac, paryski poszukiwacz taniego zarobku. Odziany w malowniczy strój średniowieczny, nazywał sam siebie „l'homme des cathédrales“, bo w rzekomem „natchnieniu“ rysował, w oczach obecnych, fantastyczne katedry i sprzedawał te rysunki bardzo tanio nowym gościom pensjonatu, olśnionym egzotykiem takiego zjawiska.

Jedną część stołu zajmowali Francuzi, Rumuni, Włosi, Szwedzi, MłodoTurcy, Amerykanie; drugą, dość znaczną — Polacy. Na miejscu naczelnem siadywał gadatliwy, starszy pan, niewyraźny „brasseur d'affaires“, o którym stołownicy opowiadali tajemniczo różne sensacyjne anegdoty, a którego nazywaliśmy wszyscy „président“. Opowiadał nam z dumą, iż ojciec jego pisywał w r. 1863 „wspaniałe poezje“ o Polsce, więc poczuwał się do obowiązku wymyślania na „ces ignobles moujicks“, t. j. na Moskali. Swoje poglądy o stosunkach politycznych we Francji wykladał zazwyczaj naszej, polskiej grupie, więc nabieraliśmy w pensjonacie pewnego znaczenia. Właścicielka pensjonatu, Madame Cambrai, okazywała nam szczególne względy. Znosiła z największą pobłażliwością nasze wybryki, np. stałe spóźnianie się na obiad, za co gromiła swych współrodaków. Lubiła nas bardzo, więc przechrzciliśmy ją na „panią Kambrejską“, co jej się tak podobało, że podpisywała się tem spolszczonem nazwiskiem na podawanych nam rachunkach. Rozzuchwaleni jej sympatją, pozwoliliśmy sobie pewnego razu na krok osobliwy: sporządziliśmy flagę polską i poprosiliśmy, aby ją zawieszono na balkonie hotelu, w dniu francuskiego święta narodowego. Pani Kambrejska przyjęła propozycję „avec une bonne grâce“, chociaż była to epoka najbardziej rzewnej idylli aljansu francusko-rosyjskiego. Policjanci popatrzyli na naszą flagę, doszli pewno do wniosku, że — Brazylja święci urzędowo „Quatorze Juillet“ i nie wnosili żadnego sprzeciwu.

W r. 1899 stałym naszym towarzyszem obiadowym był Samuel Adalberg, autor monumentalnej „Księgi przysłów“. Za pracę tę otrzymał dwie znaczne nagrody: z Wydziału Krajowego, oraz z Kasy Mianowskiego, za co mógł odbywać studja w Berlinie pod kierunkiem A. Brücknera. Gdy Kasa Mianowskiego wyprzedala w krótkim czasie „Księgę przysłów“ do ostatniego egzemplarza, — ofiarowała Adalbergowi stypendjum na całoroczny pobyt w Paryżu. Pracował w owym czasie nad wzorowem wydaniem „Zwierciadła“ Reya. Przesiadwał całymi dniami w bibliotekach, udzielał się mało, w przeświadczeniu, że, skoro wysłano go na studja naukowe, zasłużyłby conajmniej na kryminał, gdyby sobie pozwolił na jaką rozrywkę. Reymont, który był „paryżaninem“ już od trzech lat, postanowił pokazać mu osobliwości miasta. Niestety, rolę c i c e r o n e spełniał cokolwiek groteskowo, bo sam nie znał i nigdy nie poznał Paryża. Raz np. zaprowadził Adalberga do sławnej na cały świat „Sainte Chapelle“ Ludwika Św., z pierwszej połowy trzynastego wieku. Pokazał mu... kryptę dolną, przyczem powtarzał zasłyszane frazesy o cudach tego zabytku. Tymczasem właściwa „Sainte-Chapelle“ mieści się niejako na piętrze, ponad kryptą dolną. O tym najwspanialszym pomniku architektury gotyckiej Reymont nie wiedział; dopiero pedantyczny Adalberg wynalazł schodki, prowadzące na piętro i olśnił swego zawstydzonego przewodnika jedynym w swoim rodzaju widokiem niesłychanego splendoru.

Niekiedy urządzaliśmy z Reymontem koleżeńskie „przyjęcia“ u siebie w domu. W Paryżu jest to bardzo ułatwione, bo, nie szukając restauracyj, można wszystko nabyć w „rôtisserie“ i „crémérie“. Na przyjęcia takie zapraszaliśmy, oczywiście, Adalberga. Chociaż to były „uczty“ bezpretensjonalne, Adalberg poczuwał się do obowiązku rewanzu. Nie wiedział, jak to urządzić, aż w końcu doszedł do wniosku, że nam postawi „zielone“, t. j. „marennés vertes“, przedni gatunek ostryg. Podczas obiadów u pani Kambrejskiej odgrażał się wielokrotnie, że lada dzień pójdziemy razem na „zielone“. Nie miał czasu, bo studja zabierały mu cały dzień. Znaleźliśmy wkrótce sposobność, której zapracowany filolog nie przewidywał.

O godzinie drugiej w nocy z siedemnastego na osiemnasty stycznia 1899 r., we drzwi naszego z Reymontem mieszkania przy ulicy Rollin 12, ktoś gwałtownie zapukał. Ja już leżałem w łóżku; Reymont, zwyczajem swym, studjował „Kurjer Warszawski“.

— Kto to może być?...

— Pewno depesza! — zawołał Reymont. — Pieniądze przysyłają! (oczekiwał zawsze pieniędzy z kraju).

Otworzyliśmy drzwi i ujrzeliśmy niespodziewanych, ale przemyłych gości: stanęli przed nami Miriam i Franciszek Siedlecki, obydwaj z butelkami pod pachą. Miriam mocnym i uroczystym głosem zawołał:

— Lorentowicz, Reymont, ubierajcie się! Idziemy na halle, zakupujemy kilka pociągów róż, zabieramy ze

sobą tysiąc nagich kobiet, wyruszamy na Mont-Blanc i — tarzamy się!...

„Nietzscheańska orgja“ skończyła się znacznie skromniej. Okazało się, że Miriam, świetny znawca win, „odkrył“ przypadkiem u podrzędnego „marchand de vins“ przy ulicy Monge spory zapas starego burgunda, którego robotnicy pić nie chcieli, uważając go za przesąd burżuazyjny. Ten pogardzany specjał sprzedawano „po bajecznie niskiej cenie“. Wypiliśmy obie, przyniesione przez naszych gości butelki, zjedliśmy „zakąski“, po które zeszedłem do pobliskiej, przez całą noc otwartej „patisserie“ i — gawędziliśmy do czwartej rano. Reymont rzucił nagle projekt szatański:

— Wiecie co? Chodźmy teraz do Adalberga. Obudzimy go i zaproponujemy, żeby nam postawił „zielone“.

Wyjaśniliśmy gościom istotę sprawy i — projekt przyjęto z aplauzem. W „Quartier Latin“ przyzwyczajeni są ludzie do podobnych zabaw, więc nie mieliśmy obawy, aby pani Kambrejska poczytała nam za niedelikatność naszą „eskapadę“. Drzwi otworzył nam garson-dyżurny, któremu wytłómaczyliśmy, że „on va jouer une farce à Mr Adalberg“. Stanęliśmy przed drzwiami pokoju Adalberga i mocno zastukaliśmy.

— Kto tam? — odezwał się strwożony głos.

Adalberg nie znał jeszcze Miriam, więc jego uprosiliśmy, aby odgrywał scenę „wkroczenia władz bezpieczeństwa“.

— Vous êtes monsieur A-dal-berg? — sylabizował Miriam, udając komisarza policji. — W imieniu prawa, proszę otworzyć.

Adalberg milczał bezradnie przez chwilę, a później zaczął gwałtownie dzwonić na garsona. Wybiegła na schody sama pani Kambrejska, ale wytlómaczono jej, że tu chodzi o figiel koleżeński. Miriam powtórzył groźnie swoje wezwanie i — wreszcie drzwi się otworzyły. Stał w nich w zupełnym negliżu Adalberg.

— Właśnie przyszliśmy, — oświadczyłem jaknaj-uprzejmiej — abyście nam postawili „zielone“...

Adalberg uśmiechnął się żółto, zapoznał się z Miriamem i Siedleckim i, czyniąc nam honory domu, ubierał się śpiesznie. Poszliśmy w okolice hal centralnych na sławną „soupe à l'oignon“ i „marenes vertes“. Rozpromieniony filolog był niezwykle gościnnym amfitrjonem. Zdaje się, że ta eskapada skróciła mu nieco popyt w Paryżu... Ale utrzymał się znakomicie w tonie. O siódmej rano kupiliśmy na hallach kwiatów (nieco mniej, niż kilka pociągów) i wracaliśmy do domu. Adalberg odmłodził o lat dziesięć, ale najlepiej z nas czuł się Miriam. Zaproponował, abyśmy wstąpili na czarną kawę do jakiego „bistro“ (szynku), gdyż kawiarnie były jeszcze zamknięte. Zgoda jednogłośnie. Adalberg zaczął do nas przemawiać uroczyście i niezupełnie jasno. Po chwili dopiero wykrztusił, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby otrzymał od nas rodzaj protokołu o tym nocnym na niego napa-dzie. Napisałiśmy mu dokument następujący:

„MY,

nież podpisani, zdrowi na ciele, nietędy w nogach, jacytacy na umyśle, kwoli rozkoszy, zadowoleniu i satysfakcji tu obecnego, nie wiemy czy przytomnego, ale nam z pierwszej w jego życiu knajpy oraz z szat i postaci zewnętrznej znanego, obecnie bukiecikiem fijołków ozdobnego i w duszy zostryżonego, na A poczynającego (lub: się), Samuelusa Adalbergusa, — niniejszym zeznajemy, zaświadczamy i kwoli Tegoż Adalbergusa większemu ukontentowaniu, na piśmie utrwalamy, iż:

Jako nam wiadomo jest, gdy noc ciemna, przyjaciółka złoczyńców, zesłała w okolice Rue le Goff, kędy wyżej wymieniony Adalbergus na komornem w domu publicznym żywot sprośny a marcholtyczny pędzić zwykł, sromotna a nieprzewidziana temuż Adalbergusowi, leżącemu w łóżku stała się przygoda, jako niech uważy ten, coby to czedł, dalej. Ucha albowiem śpiących w jamach grobowych takim nie przejmie przerażeniem przerażliwy głos tręb na sądzie ostatecznym, jakiego doznało ucho onegoż śpiącego a po nagłym rozbudzeniu wszystkiemi członkami, ku rozbudzeniu drżenia w dzwonku elektrycznym, drżącego Adalbergusa;

jako nam wiadomo, tenże wielolicznie wspomniany Adalbergus, ku uspokojeniu drżenia własnego, jako też przez dzięk, za pośrednictwo, za groźną postawę, w obrobie pokrzywdzonego drżeniem jego dzwonka przybieżającej i do nadprogramowej jałowego dzwonięcia remuneracji rościć pretensye mogącej gospodyni, skromnie,



107
884 (001)

PC

przystojnie a układnie przełożył nam konieczność zawarcia podniebiennej znajomości z zawsze uosabiającymi spokój najwyższy a wyjątkowo zielonemi zwierzęty, których miano ostryga, co z należytą skwapliwością przyjęto i wykonano;

jako wiadomo, tenże wielolicznie wspomniany Adalberugs, po licznych po onych OSTRYGACH, peregrynacyach i stacyach, (kędy mówić nam w przystojnej społeczności nie przystoi a iż ten, coby to czedł a jako oczekiwać słuszna, rzeczy świadom jest, sam łącno się domyśli), smętny, melancholijny, o łożu porzuconem mile wspominający i wiązanką jeno fjołków nadwiedłłą duszę krzepiący, znalazł się nad wielkiem ranem, pod małym szyldem nieznanego nam lecz słynnego z burgundów między fiakry i gorliwie — jako świadczyło wycinanie „pamiętników Gorona“ — literaturę piękną piastującego (co miłe dusze nasze wzruszyło) m a r s z a n d e w e n a ;

jako nam wiadomo, tamże, czyniąc jego znanej na autografy chciwości oraz zwykłej każdemu śmiertelnikowi, ku uszczęśliwianiu innych, własnymi autografy skłonności, ręką jednego z nas spisujemy, co powyżej, a życząc temuż Adalbergusowi i sobie lubego o onych ostrzyżanowędrownych chwilach wspomnienia, wszyscy ręce przykładamy, pieczętować, z braku pieczętek, nie pieczętujemy, a jako niepiśmienni, krzyżami się podznaczamy i autentyczność każdego umieszczonego pod krzyżem podpisu, kontestujemy.

Nieautentycznego osiemnastego Januarego 1899,
w mieście, które Adalberg bierze za Paryż.

+

F. Siedlecki

+

Z. Przesmycki, zwan Miriamem

+

Wł. St. Reymont.

+

Jan Lorentowicz

Uszczęśliwiony Adalberg położył dokument około siebie i, rozgadawszy się, nie zauważył, że schowałem go do kieszeni. Gdyśmy całą bandą przyszli na obiad do pani Kambrejskiej, zastaliśmy naszego amfitrjona wielce przygnębionego. Słuchał ponuro naszych docinków o „katzenjamerze“, a w końcu wziął mnie na stronę i oświadczył niemal z rozpaczą:

— Stało mi się nieszczęście. Zgubiłem ten dokument. Zameldowałem już w biurze zagubionych przedmiotów i w policji, ale wątpię, czy się odnajdzie. Chcę was prosić, abyście, o ile to możliwe, jeszcze raz taki protokół spisali...

Roześmiałem się i — dokument oddałem. Po obiedzie całe towarzystwo poszło do nas na kawę. Wyszli... dopiero na trzeci dzień. Był to tryumf talentu narratorskiego Miriama. Przez długi szereg lat obcował on z wybitnymi dziełami i arcydziełami literatury i sztuki europejskiej, zgromadził w swym mózgu wiedzę olbrzymią i wykształcił sobie w wysokim stopniu zmysł krytycz-

ny. Bezpośrednim wynikiem tej pracy była może utrata zaufania do własnej twórczości poetyckiej; ale utrwaliła się w Miriamie skala najwyższych wymagań artystycznych, którą zastosował w pewnym stopniu w „Chimerze“. W biesiadach koleżeńskich był mistrzem gawędy o bardzo wysokim poziomie. Podczas kilku dni i nieprzespanych nocy zaimprovizował nam kilka... książek wybitnie ciekawych, których, niestety, nie napisał, a których nikt z nas nie stenografował. Były to chwile fenomenalnego napięcia duchowego.

*

Po latach spotkałem Adalberga w Warszawie. Był radcą w Ministerstwie W. R. i O. P. Wspominał z największym rozrzewnieniem o naszych „zielonych“ i udzielił mi kopji naszego protokołu, stanowiącego świadectwo (jedynej bodaj) „rozpusty“ w jego życiu...

POWSZEDNIE TROSKI ŻEROMSKIEGO

Stanowisko młodego literata w Polsce niepodległej polepszyło się gruntownie, pomimo wszelkich kryzysów księgarskich i wydawniczych. Nowy talent otaczany dziś bywa czujnością krytyki, nieznaną dawniej w podobnej skali. Można wyliczyć długi szereg przykładów gorączkowego przeceniania zalet młodego pisarza, który w swych poezjach czy opowiadaniach okazał nieco talentu. Oczekują go, oprócz życzliwych, często entuzjastycznych ocen ze strony starszych kolegów, — stypendja, zasiłki, nagrody a wszystkie pisma otwierają mu chętnie swe szpalty.

Pokolenie poprzednie rozpoczynało swą karierę literacką w warunkach znacznie trudniejszych. Wiemy, ile goryczy i upokorzeń zaznał Stefan Żeromski, gdy usiłował ogłosić drukiem pierwsze swe nowele. „Kurjer Codzienny“ zwrócił mu znakomitą „Siłaczkę“, jako „utwór nieudolny i zupełnie nie nadający się do druku“ *). To samo stało się w „Wędrowcu“ z pięknem „Zapomnieniem“ i innymi nowelami. Nowy ton opowieści przeraził

*) *Stanisław Piółun-Noyszewski*: „Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość“. Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza.

redaktorów, przyzwyczajonych do „łatwej literatury“ nowelkowej. Bolesne a bezskuteczne wędrówki po redakcjach skończyły się dla Żeromskiego fatalnie: genialny pisarz zachorował na tyfus głodowy i umieszczony został w szpitalu...

Blady uśmiech losu zawitał nieprędko: dzięki „stosunkom“ swej narzeczonej, zaczął Żeromski drukować pierwsze utwory w „Głosie“ M. Bohusza i J. Popławskiego. Było to w końcu r. 1889. Nieznany dotychczas autor zyskał odrazu sławę. Cała radykalna młodzież czytała z zachwytem opowiadania, w których odsłaniano własną jej duszę w sposób niezwykle przenikliwy. Niestety, poczytność i sława dawały Żeromskiemu jedynie zadowolenie moralne, gdyż redakcja „Głosu“, pozbawiona środków, nie płaciła wcale honorarjów. Znam autora, któremu za kilkanaście artykułów, nadsyłanych z Paryża, zapłacił „Głos“... egzemplarzem dzieł Spencera, wydawanych jako dodatek do pisma.

Przez jakiś czas ratuje się Żeromski nauczycielstwem prywatnym we dworze nałęczowskim. Za uciulane pieniądze odbywa podróż do Szwajcarii, a potem osiedla się na dłużej w Krakowie, gdzie próbuje dziennikarstwa. Drukuje w „Głosie“ feljetony p. t. „Odgłosy krakowskie“. O popłatności tych prac świadczy list Żeromskiego do narzeczonej z d. 12 lutego 1892 r., gdzie pisze między innymi: „Onegdaj żywiłem się tranem. Wypilem sobie pół butelki na obiad i odrobinę na kolację... ale też miałem brzydkie sny“.

Świetne nowele z „Głosu“ przedrukowywał chętnie Wysłouch we Lwowie i płacił za nie honorarjum niewiarogodne: po dwa guldeny za odcinek! Za pośrednictwem Prusa, który od pierwszych nowel Żeromskiego darzył go wielką przyjaźnią, wszedł p. Stefan „w stosunki“ z domem nakładowym Paprockiego. Otrzymał od niego w r. 1895 za pierwszą edycję „Opowiadań“ — 75 rubli. Paprocki taką samą hojność stosował zresztą do wszystkich pisarzy. W tym samym czasie zjawiają się w piśmiech galicyjskich wstrząsające opowieści Żeromskiego, ogłaszane pod pseudonimem Maurycego Zycha, objęte cyklem p. t. „Rozdziobią nas kruki, wrony...“ Zyskały one odrazu większy jeszcze rozgłos, niż „Opowiadania“. Zdawało się, że nareszcie Żeromski robi „dobry interes“ wydawniczy. Tymczasem Zwoliński zapłacił mu za ten zbiór 70 guldenów, chociaż go wydał w bardzo znacznej ilości egzemplarzy.

Bywały tranzakcje jeszcze gorsze. Za czwartą swą książkę p. t. „Syzyfowe prace“, nie otrzymał Żeromski ani grosza, gdyż firma, która ją wydała (Lwowskie Tow. Wydawnicze) znalazła się „w trudnościach finansowych“.

Z takich „honorarjów“ niepodobna było, oczywiście, zabezpieczyć sobie najskromniejszego nawet utrzymania. W październiku 1892 r. otrzymuje Żeromski stanowisko pomocnika bibliotekarza w Muzeum Rapperswilskiem. I znowu z pensją nieprawdopodobną: 50 franków na miesiąc! Pracę biblioteczną w Rapperswilu opuszcza Żerom-

ski po czterech latach, aby zająć podobne stanowisko w Bibliotece Zamoyskich w Warszawie. Warunki były znacznie dogodniejsze, zwłaszcza, że do posady przywiązane było bezpłatne mieszkanie. Przebył Żeromski na tem stanowisku blisko siedem lat. Wydawcy wciąż jeszcze nisko cenią twórczość p. Stefana: za „Utwory powieściowe“ otrzymuje w r. 1898 od firmy „Gebethner i Wolff“ zaledwie 100 rubli. Sytuacja zmienia się dopiero po napisaniu dwutomowych „Ludzi bezdomnych“. Ukazuje się na widowni wydawca-ideolog, Bronisław Natanson, który kupuje od Żeromskiego tę powieść za 1000 rubli. Zawodowi wydawcy przyjmują wieść o takiej tranzakcji z uśmiechem. Przekonali się wkrótce, że sceptycyzm ich był niesłuszny, bo Natanson wycofał swój kapitał z zyskiem w bardzo krótkim czasie. Już po dwóch miesiącach otrzymuje Żeromski od księgarza Fiszera propozycję drugiego wydania „Ludzi bezdomnych“ za... 300 rubli. Tegoż dnia zgłasza się u niego Józef Wolff i wypłaca mu za to drugie wydanie taką samą sumę, jaką Natanson dał za pierwsze t. j. tysiąc rubli.

Od tej pory Żeromski mógł już inaczej rozmawiać z księgarzami. Płacono mu wprawdzie honorarja niezbyt wysokie, ale dalekie od dawnego wyzysku. Jednej tylko rzeczy nie zdołał znakomity powieściopisarz zrozumieć: Książki jego cieszyły się wielką poczytnością, a jednak pierwsze ich wydania rozchodziły się bardzo powoli. Postanowił skontrolować przyczyny tego dziwnego zjawiska. W r. 1908 sprzedał „Kasie przezorności i pomocy war-

szawskich pomocników księgarskich“ swą „Dumę o Hetmanie“. Za zgodą wydawców, wszystkie egzemplarze tej książki opatrzone były specjalnymi markami, parafowanymi przez autora i numerowanymi. Markę wykonał Edward Okuń. Jest to rodzaj ex-librisu, wyobrażającego genjusza, wpatrzonego w gwiazdy, ale przykutego łańcuchami do ziemi. Publiczność powinna była zrozumieć, że wszelki egzemplarz „Dumy“, nieopatrzony taką marką i podpisem, wydany został ze szkoda autora.

Czyn ten wywołał w świecie literackim i wydawniczym długotrwałą burzę.

Prosił mnie Żeromski, abym sprawę jego marki ochronnej podniósł publicznie i wyjaśnił jej znaczenie. Zrobiłem to w „Nowej Gazecie“ (4.VIII. 1908), w krótkim artykuliku, w którym podkreśliłem, że czas już, aby literat polski przestał „żyć nad stan“ t. j. odmawiać sobie najelementarniejszych potrzeb, wówczas, gdy wydawca umie ślicznie „związać koniec z końcem“. Rację wprowadzenia kontroli wypowiedziałem otwarcie i przytoczyłem (bez wymienienia nazwiska) fakt nadbicia znacznej ilości egzemplarzy pewnej książki, o czym mówiło się szeroko w sferach literackich. Nad treścią tego artykuliku księgarze warszawscy zastanawiali się dość długo, bo aż dwa miesiące. W dniu 1.X. 1908 r. czternastu wydawców nadesłało do „Nowej Gazety“ zbiorowy protest: „Niewątpliwie, jeżeli fakt taki został istotnie stwierdzony, zasługuje na potępienie, winowajca winien być wymieniony i do odpowiedzialności pociągnięty. Nie

wolno jednak nikomu za przewinienia może jakiejś jednostki rzucać kalumnji na całe księgarstwo wydawnicze polskie“.

Protest ten wywołał zorganizowaną reakcję literatów. Zebraliśmy się z kolegami na naradę i razem z Żeromskim, Miriamem i Lemańskim zredagowaliśmy „Deklarację autorów“, ogłoszoną w „Nowej Gazecie“ na pierwszej stronie d. 6.X. 1908. Brzmiała ona tak:

„Z powodu wprowadzonej przez S. Żeromskiego na książki „Duma o Hetmanie“ autorskiej marki ochronnej, nakoniec podniesiono w prasie pierwszorzędną sprawę zupełnej bezbronności autorów polskich w stosunku do wydawców. Głos taki dawno powinien był się odezwać, a gdy raz się odezwał, nie może przebrzmieć bez skutków nieodzownych, bez zmian kategorycznych, w tej sferze wszystkim wiadomych a zupełnie zbyt tajemniczą osłanianych nienormalnych stosunków. Protest księgarzy, orzekający, iż „nie wolno nikomu za przewinienie może jakiejś jednostki rzucać kalumnji na całe księgarstwo wydawnicze polskie“ stara się przedstawić stosunki te w świetle idyllicznej błogości, — szczerze, czy nieszczerze, nie chcemy w to wchodzić. Wobec próby jednak zamknięcia w ten sposób sprawy, uważamy za stosowne stwierdzić kategorycznie, iż położenie autorów naszych nietylko nie ma z idyllą nic wspólnego, ale jest poprostu oplakane; iż konieczne są reformy, ważne dwustronnie kontrakty między literatami i wydawcami, ścisłe prawo kontroli dla pierwszych, usunięcie dla autorów „zawodowych tajem-

nic“ drukarskich i księgarskich, modyfikacje w stosunku honorarjów, i wogóle sprowadzenie mniemanego mecenasostwa wydawców do właściwej miary zwykłego pośrednictwa. Inicjatywa, dana przez Żeromskiego i Lorentowicza musi mieć swój ciąg dalszy. Autorowie muszą się zorganizować, obmyśleć takie czy inne środki dla ochrony swych praw, wyjść z dzisiejszej przewróconej do góry nogami nierówności i wprowadzić zamiast wymaganego przez księgarzy jednostronnego zaufania, wyraźne i jasne zobowiązania obustronne. *Clara pacta claros faciunt amicos*. Wtedy wszystkie skargi na kolumnje staną się zbyteczne“.

Deklarację tę podpisało 194 autorów, od najwybitniejszych zaczęwszy, t. j. niemal wszyscy, którzy w owym czasie miewali stosunki z wydawcami.*) Sprawa nabrała wielkiego rozgłosu. Deklaracja spadła na wydawców jak grom, zwłaszcza po świetnym artykule uzupełniającym, który nazajutrz (9.X. 1908) ogłosił w „Nowej Gazecie“ Ignacy Matuszewski. Zaatakowanie wszystkich autorów

*) „Deklarację autorów“ podpisali między innymi: I. Baliński, Z. Bartkiewicz, W. Berent, W. Bogusławski, W. Bukowiński, B. Chlebowski, T. Jeske-Choiński, I. Chrzanowski, E. Czekalski, Z. Dębicki, W. Feldman, Gamaston, M. Gawalewicz, K. Gliński, W. Gomulicki, B. Gorczyński, Artur Górski, I. Grabowski, W. Grubiński, Hajota, J. A. Hertz, Aleksander Jabłonowski, Wł. Jabłonowski, Czesław Jankowski, Józef Jankowski, T. Jaroszyński, Jordan, J. Kasproicz, St. Kętrzyński, J. K. Kochanowski, T. Konczynski, J. Korczak, W. Kosiakiewicz, St. Kempner, T. Korzon, J. Kotarbiński, St. Kozłowski, A. Kraushar, St. Krzemiński, L. Krzywicki, S. Krzywoszewski, St. Lack, K. Laskowski, J. Lemański, B. Leśmian, J. Lorentowicz,

podpisanych pod deklaracją, nie wydało się dla księgarzy możliwem. Natomiast Zarząd Związku księgarzy polskich nadesłał mi wezwanie (ogłoszone d. 9.X. 1908 w „Nowej Gazecie“), abym ujawnił „odnośne fakty“ (nadbijania egzemplarzy), gdyż w przeciwnym razie „sprawa będzie oddana do rozpatrzenia sądu honorowego“. Przyjąłem sąd honorowy.

Sprawa trwała długo, bo aż do 22 kwietnia 1910 roku. Przedstawiłem 28 świadectw autorskich. Stefan Żeromski złożył mi na piśmie oświadczenie następujące:

„Ze stosunków wydawniczych przypominam sobie kilka szczegółów i te przytaczam:

1) Za pierwszy zbiór nowel p. t. „Opowiadania“ otrzymałem honorarjum w kwocie 75 rb. za 1500 egzemplarzy. Książeczka ta wzbudziła żywe zainteresowanie, wywołała wiele recenzyj, krytyk, sądów, listów dziennikarskich i t. d. i, pomimo znacznej poczytności, była w obiegu sześć lat. Kiedy p. Bronisław Natanson chciał

W. Makowski, Marja Markowska, I. Matuszewski, Miriam (Przesmycki), W. Nałkowski, I. Moszczeńska, A. Niemojewski, A. Nowaczyński, W. Orkan, Or-Ot, Ostoja, B. Piłsudski, Z. Przybylski, St. Przybyszewski, F. Pułaski, W. Rabski, Z. Rabska, M. Rakowska, W. Rapacki, Wł. St. Reymont, W. Rogowicz, Z. Różycki, L. Rygier, Savitri, W. Sieroszewski, A. Grzymała-Siedlecki, E. Słoński, W. Smoleński, M. Srokowski, L. Staff, A. Szczęsny, M. Synoradzki, A. Śliwiński, J. A. Święcicki, A. Świętochowski, K. P. Tetmajer, C. Walewska, Z. Wasilewski, M. Wierziński, M. Wawrzyniecki, A. Zakrzewski, W. J. Zalewski, Kazimierz Zalewski, M. Zaruski, Marjan Zbrowski, Stefan Żeromski.

wybić drugie wydanie owych „Opowiadań“, wydawca pierwszy (p. Teodor Paprocki) zażądał, żeby najpierw wykupić 200 egzemplarzy pierwszego wydania.

2) Za zbiorek nowel p. t. „Rozdziobią nas kruki, wrony“... — otrzymałem honorarjum w kwocie 70 guldenów za 2000 egzemplarzy. Książka ta była niezwykle poczytna, osobiwie w Królestwie (jeden transport z 1000 egzemplarzy utopiony został w pewnej sadzawce) a jednak była w obiegu zgorą 5 lat. Gdy Towarzystwo Wydawnicze we Lwowie chciało wybić drugie wydanie, p. Zwoliński, wydawca pierwszego, oświadczył mi, że on nie powie, ile jeszcze pozostało egzemplarzy niesprzedanych i nie zgodzi się na wykupienie egzemplarzy niewyprzedanych. Wyszło to drugie wydanie, a on pierwsze w dalszym ciągu sprzedawał.

3) Powieść p. t. „Ludzie bezdomni“, po śmierci p. Bronisława Natansona, była na składzie w księgarni p. Jana Fiszera. Rozeszła się w ciągu dwu miesięcy zimowych (2500 egz. po 2 rb. 40 kop. za egzemplarz dwutomowy). Pan Fiszer zarabiał na składowem znacznie więcej, niż 800 rubli. Pomimo to, znając poczytność książki, dawał mi za drugie wydanie 300 rb. (2500 egz. po 2 rb. za egzemplarz dwutomowy) — czyli $\frac{1}{16}$ ceny sprzedażnej egzemplarza. Kiedy inny wydawca ofiarował za tę samą ilość egzemplarzy $\frac{1}{5}$ ceny sprzedażnej egzemplarza czyli 1000 rb. — p. Fiszer w ciągu jednego dnia ofiarowywał mi tę samą sumę czyli rb. 1000. To znaczy, że p. Jan Fiszer chciał na mnie w ciągu jednego dnia za-

robić 700 rubli. Przytaczam ten szczegół, gdyż najjaskrawiej maluje stopę czyli normę wyzysku księgarskiego, jakiemu podlegają autorowie.

4) Pośredniczyłem bezskutecznie w cenzuralnem wydaniu (na Królestwo) dramatów Stanisława Wyspiańskiego. Za 4 tomy żaden wydawca nie chciał dać 500 rubli.

5) Nie miałem nigdy możności sprawdzenia, ile de facto egzemplarzy danego utworu puszczone w obieg. Przeszedłszy nędzę, patrząc na nędzę współkolegów, których świetne nieraz talenty marnują się z braku najpierwszych środków do życia i pracy, — nie mając zamiaru ani możności wykrywania nadużyć, o których dobiegają do uszu tysiączne pogłoski, — postanowiłem po długim rozmyśle przyjąć dla siebie i propagować dwie zasady: a) przyjąć minimum honorarjum, to znaczy $\frac{1}{5}$ ceny sprzedażnej egzemplarzy (zamiast $\frac{1}{4}$ a nawet $\frac{1}{3}$) i b) naklejać na swych pracach markę z numerem porządkowym i sygnaturą.

Sposób ten uważam narazie za wyjście z oplakanych stosunków. Zabezpiecza on przed wyzyskiem księgarskim tych młodych autorów, którzy (jak ja przed kilkunastu laty) pobierają i dziś 75 rubli za tom nowel — i nie krzywdzić wydawcy podejrzeniami, plotkami, kontrolami w drukarniach, szperaniem po księgach i t. d. Sposób numerowania książek był znany w naszych dawnych stosunkach wydawniczych. Praktykował go Skarbek, Łyskowski i inni. Ułatwia on samym księgarzom kontrolę,

służy za motyw zdobnictwa, może stać się nową gałęzią sztuki zdobniczej (*e x-l i b r i s* autorski), daje możność zarobku sztycharzom i wyjaśnia sprawę, co jest rzeczą najważniejszą. Sądzę, że łatwiej jest przyjąć za zasadę markę ochronną, niż być pod wiecznie nieufnem spojrzeniem i godzić się na kontrolę w składach i księgach. Dla autorów — marka jest niezbędną i jedyną ochroną — na dziś.

Stefan Żeromski.“

*

Sąd honorowy rozpatrzył wszystkie świadectwa, przedstawione przeze mnie, ale w orzeczeniu swem zanalizował tylko niektóre z nich i oświadczył, że „uchybień“ wydawców „przypisać należy pewnej arbitralności i bezceremonjalności w stosunkach niektórych wydawców do autorów“. W ostatecznym wyniku Sąd honorowy uznaje: „1) że Lorentowicz był uprawniony do podniesienia w prasie kwestji ochrony praw autorskich i, omawiając je w swym artykule, nie kierował się żadnymi względami prywatnymi, lecz miał na celu sprawę publiczną; 2) że Lorentowicz nie miał prawa, bez należytego sprawdzenia i stwierdzenia autentyczności, powołać się na fakt w rzeczywistości nie istniejący w tej postaci, w jakiej go przedstawił w swym artykule; i 3) że gdyby nawet fakt ten był prawdziwy, to Lorentowicz nie miał prawa rozszerzać oskarżenia na wszystkich wydawców polskich“.

Walka więc o rację stosowania marki ochronnej nie

wydała wyników, jakich się spodziewał Żeromski. Zresztą sam p. Stefan przekonał się wkrótce, że, poza jasnym kontraktem i ścisłą kontrolą odbitych egzemplarzy książki, trzeba jeszcze mieć gwarancję wypłacalności wydawcy. A to już niezawsze da się przewidzieć. Wszedł np. p. Żeromski w stosunki ze spółką wydawniczą „Książka“ w Krakowie, która wydała kilka jego książek, opatrzonych markami ochronnymi. Niestety, spółka zbankrutowała i pozostała winna Żeromskiemu zgorą 30.000 koron.

Wreszcie wzorem zagranicy, znalazł Żeromski swego stałego wydawcę. Był nim Jakób Mortkowicz, rzutki, niezwykle energiczny i pomysłowy dyrektor Tow. Wydawniczego a przede wszystkim szlachetny i prawy człowiek. Wydawał u niego Żeromski swe książki, poczynawszy od „Nawracania Judasza“ (1916). Mortkowicz rozumiał, że wydawanie utworów Żeromskiego stać się może nie tylko m o r a l n ą podstawą jego domu wydawniczego. Otaczał p. Stefana czujną opieką, zgadzał się na wszelkie z jego strony kontrole egzemplarzy, wypłacał mu, tytułem zaliczek, stałe pensje miesięczne. Długoletnia choroba Żeromskiego osłabiała z każdym dniem jego wątły organizm. P. Stefan zdawał sobie z tego sprawę, ale, na kilka tygodni przed zgonem, remanent jego honorarjów u Mortkowicza był tak znaczny, iż znakomity pisarz nie czuł obawy o los swoich najbliższych. Tragiczna śmierć Mortkowicza sprawę tę ciężko skomplikowała.

NAGRODA, KTÓRA GO NIE DOSZŁA...

Stefan Żeromski, od pierwszej do ostatniej chwili swej twórczości, był nadzwyczajnie wrażliwy na wszelkie sądy krytyczne o swych książkach. Było w nim dwóch ludzi: jeden — niezmiernie skromny, nieśmiały, skłonny (pod wpływem długotrwałej choroby) do nastrojów pesymistycznych; drugi — pełen głębokiej dumy, której fenomenalny gatunek zrozumieją wszyscy, obcujący dłużej z postaciami jego powieści. Pierwszy nie zdawał sobie nieraz sprawy z istoty i rozpiętości wpływów uczuciowych, jakie wywierał w Polsce swym potężnym talentem; drugi przywiązywał często nadmierną wagę do sądów namiętnych, tendencyjnych, wylęgłych w walkach partyjnych lub też wynikających z braku kultury estetycznej. W jego tryumfalnym pochodzie ku sławie zdarzały się epoki, gdy wielki pisarz bywał przedmiotem ostrych napaści z powodu samego tematu swych utworów. Burza, którą wywołały swego czasu „Dzieje Grzechu“, boleśnie dotknęła ich autora. Zuchwałstwo niektórych pismaków posuwało się do granic niewiarogodnych. W nieco wyższej skali, ale ze skutkiem znacznie przykrzejszym dla

Żeromskiego, toczyły się polemiki, padały złośliwe wyroki po „Przedwiośniu“ i zatruwały ostatnie miesiące życia znakomitego twórcy. Jeden z laureatów nagrody państwowej oświadczył wówczas wprost, że „za mniejsze przewinienia Francja odmówiła Zoli miejsca w Akademji i zdegradowała Margueritte‘a, odbierając mu krzyż Legji Honorowej“.

Żeromski dręczył się niezrozumieniem jego idei i — milczał. Ani o swoich utworach, ani o swych krytykach nie lubił mówić. Gdy mu wypowiedano w oczy wyrazy uwielbienia dla tej lub owej jego powieści, uśmiechał się z zażenowaniem i nie dawał żadnej odpowiedzi. A przecieź sądy krytyczne o sobie zbierał z systematycznością zawodowego bibliotekarza. Cokolwiek o nich myślał, musiał przecieź rozumieć, że przez całe dziesiątki lat był wodzem duchowym pokolenia i że w literaturze polskiej, na całej jej przestrzeni, zajął jedno z miejsc najpierwszych.

Najżywiej interesował się Żeromski sprawą przekładów na języki obce. Marzenie o podboju czytelników poza Polską jest dla każdego pisarza polskiego rzeczą naturalną. Żeromski wiele się spodziewał w tej dziedzinie od Pen-Clubu i nakłonił mnie do zorganizowania tej instytucji, chociaż nie bardzo wierzyłem w jej istotną celowość. Największą poczytność wśród obcych zyskały pisma Żeromskiego w Rosji, zarówno carskiej, jak bolszewickiej. Już w roku 1908 wyszło w Petersburgu w dwunastu tomach, jego „Sobranje soczinienij“. Wielką popular-

ność zdobył Żeromski również w Czechach, gdzie przetłómaczono dziesięć najwybitniejszych jego utworów. Taką samą ilość wydali u siebie Włosi. W Niemczech zostały rozgłos: „Dzieje grzechu“, „Wierna rzeka“, „Rozdziobią nas kruki, wrony“, „Uroda życia“ i „Popioły“. Anglja wchłonęła tylko „Popioły“. Najgorzej było, niestety, z Francją, gdzie, poza przekładami nowel Żeromskiego w czasopiśmie, wydano z wielkim trudem pięć jego utworów powieściowych, tłómaczonych przez Polaków i przemilczanych przez krytykę. Księgarze francuscy rozumieją tylko wydawanie przekładów, płatnych przez „osoby zainteresowane“.

*

W r. 1920, zaraz po zwyciężskim ukończeniu wojny z bolszewikami, wytworzyła się w Instytucie Nobla w Sztokholmie konjunktura przyjazna dla kandydatury polskiej. Konjunkturę należało poznać dobrze na miejscu, aby umiejętnym przygotowaniem materiału informacyjnego pomódz do jej pomyślnych wyników. Tak postępują przedstawiciele wszystkich państw, mających szanse powodzenia w tajnym konkursie nagrody Nobla.

Duszą propagandy w Szwecji stał się sekretarz naszego poselstwa, p. Konrad Czarnocki, człowiek wybitnie energiczny i zabiegliwy, bardzo wykształcony i doskonale z literaturą polską obznajmiony. Z zamiłowania był malarzem, ale pociągnęła go nieodparcie służba publiczna na placówce dyplomatycznej. W ciągu czterech lat

swego urzędowania, umiał skupić około Poselstwa cały szereg przednich krytyków i uczonych szwedzkich, założył Towarzystwo naukowe szwedzko-polskie, prowadził pertraktacje z wydawcami, organizował wystawy i odczyty polskie, dostarczał Szwedom materiałów o nas. Działacza takiej inicjatywy i sprężystości nie mieliśmy bodaj na żadnej placówce cudzoziemskiej. P. Czarnocki zajął się wraz z żoną z największym zapalem sprawą kandydatury Żeromskiego na nagrodę Nobla. Oboje robili wszystko na własną rękę, nietylko bez najmniejszej pomocy, ale nawet z utrudnieniami Centrali M. S. Z. Ówczesny poseł nasz w Sztokholmie, p. Michałowski, żyjący z p. Czarnockim w najlepszej przyjaźni, popierał urzędowo jego poczynania propagandowe, aż z całym zaufaniem zostawił mu *carte blanche* w tej dziedzinie pracy. Nie mógł pomagać materialnie, bo Centrala nie przewidywała wydatków na podobne cele. Gdy chodziło o tak skromną rzecz, jak o zaopatrzenie „Biblioteki Nobla“ w komplet dzieł Żeromskiego, to i tego nie można było wydobyć za pośrednictwem Wydziału prasy M. S. Z. Inaczej działali nasi sąsiedzi: poselstwo Czeskie np. ofiarowało w tym czasie Bibliotecę Nobla 300 tomów utworów różnorodnych. Państwo Czarnoccy pozbiali, co się dało a resztę otrzymali wprost od Żeromskiego, który również dostarczył, ile mógł, przekładów swoich utworów na języki obce. Potrzebne były jeszcze wybitniejsze prace krytyczne o Żeromskim, zwłaszcza cudzoziemskie, aby ich można było udzielać krytykom i dziennikarzom szwedzkim. Na

prośbę państwa Czarnockich, i ten materiał (kilkadziesiąt tomów i broszur) nadesłał Żeromski. A przecież M. S. Z. mogło być zdobyć łatwo zarówno wszystkie przekłady, jak i studia krytyczne, gdyby ich zażądało od własnych placówek.*)

Referentem literatur słowiańskich przy Instytucie Nobla („Svenska Akademiens Nobelinstitut“) był dr. Jensen, uchodzący wśród rodaków za „potężnego sławistę“, chociaż języka polskiego gruntownie nie badał. Znał niektóre tylko utwory Żeromskiego, a o wspaniałem ich pięknie dowiedział się dopiero od pani Czarnockiej. Wyjaśniła mu, czym jest twórczość Żeromskiego nie tylko w literaturze polskiej, ale i w uczuciach Polaków. Jensen zabrał się z zapałem do wertowania pism Żeromskiego i stał się gorącym jego wielbicielem. Opracował o nim olbrzymi, entuzjastyczny memoriał, z którym zapoznali się członkowie „Svenska Akademien“. Dnia 10 listopada, na posiedzeniu Akademji, była rozpatrywana i komentowana kandydatura Żeromskiego. Pomimo tajemnicy posiedzeń, wiadomo było, że kandydaturę przyjęto życzliwie. Ale nawet kandydaci, oceniani przychylnie, muszą czekać swojej kolei, której wyprzedzić nie można. Trzeba było przygotować najpierw grunt w szwedzkiej opinji publicznej, z którą Akademia liczyła się bardzo.

P. Czarnocki zajął się żarliwie sprawą przekładów

*) Cały materiał krytyczny, dostarczony przez Żeromskiego, zawieruszyl się, niestety u referenta Instytutu Nobla.

pism Żeromskiego. Niestety, Szwedów, znających język polski, było niewiele. Najlepszą tłumaczką okazała się panna Wester, która przełożyła najpierw „Wszystko i nic“, a potem „Wierną rzekę“, do której wstęp napisał Jensen. Na prośbę firmy wydawniczej „Alund i Akerlund“, Żeromski pomieścił na czele przekładu wspinały list do tłumaczki, który winien być dołączony do pism wielkiego twórcy. Książka wywołała bardzo gorące oceny. Dr. Anders Osterling, członek akademii („Svenska Akademien“), delegat do Instytutu Nobla, podkreślił, że Żeromski, „uzbrojony w heroiczny patos i pióropusz fantazji, prastare godła polskiego geniuszu, witany jest przez Europę, jako naczelną herold odrodzonej literatury polskiej“. Niemniej gorące sprawozdania pisali krytycy: O. Holmberg, A. F. Bryk, A. Stender-Petersen, Kjel Stromberg.

Żeromski stał się odrazu popularnym w całej Szwecji. Wydawca nadesłał mu nawet honorarium za prawo przekładu w wysokości 300 koron szwedzkich. Jensen przyjechał do Warszawy i podejmowaliśmy go w małym kółku (z pp. Żeromskimi na czele) w restauracji hotelu Europejskiego.

Korzystając z rosnącej popularności Żeromskiego, p. Czarnocki przeniósł jego sprawy wydawnicze do wybitnego księgarza sztokholmskiego, Gebera, który wydał w roku 1922 „Urodę życia“ w przekładzie panny Wester i znowu wypłacił autorowi honorarium 300 kor. szwedzkich. W miesiąc po wyjściu z druku, „Uroda“ rozeszła

się w tysiącu egzemplarzy. Panna Wester, z namowy p. Czarnockiego, który był w stałym porozumieniu z Żeromskim, przystąpiła do przekładu „Popiołów“, z tem samem co poprzednio honorarjum za prawo przekładu. Żeromski staje się przedmiotem szerokich zainteresowań krytyki.

Uczony sławista, dr. Kalgren, który po śmierci Jense-
na objął referat literatur słowiańskich w Instytucie No-
bla, zabrał się do studjowania utworów Żeromskiego. Po-
dzielił on w zupełności poglądy Jense-
na, wyrażone w jego
memorjale. Niespodzianką stało się wystąpienie prof.
Bööka, wybitnego krytyka, który był członkiem „Sven-
ska Akademien“, decydującej o wyborze kandydata do
nagrody literackiej Nobla. Böök pisywał zrazu bardzo
przychylnie o Żeromskim. Jego recenzje o „Wiernej rze-
ce“ i „Urodzie życia“ były znakomite. „Wierna rzeka“
wyszła w biblijotece, redagowanej przez Bööka. Nagle,
z powodów... jeszcze nie ujawnionych, stanął wrogo wo-
bec kandydatury Żeromskiego. Zaraz po wyjściu z druku
oryginału „Wiatru od morza“, prof. Böök, który poznać
mógł treść tego utworu jedynie z relacji jakiegoś krytyka
niemieckiego, napisał o książce napastliwie, podkreślając
jej „wrogie stanowisko wobec Niemców“, co u Szwedów
było niepopularne. Wystąpienie to, uznane przez innych
krytyków za niesłuszne, sparaliżował narazie p. Czarnoc-
ki, drukując przekład fragmentu „Wiatru od morza“
w czasopiśmie „Idun“ Carlssona. Prof. Böök działał da-
lej w nieprzyjaznym dla Żeromskiego kierunku. Miał do

rozporządzenia najpotężniejsze pismo szwedzkie, „Svenska Dagbladet“, którego był współredaktorem a w prasie miał wogóle wielki autorytet. Wkrótce doskonałą rozprawę o „Wietrze od morza“ napisał Stender-Petersen, polemizując energicznie z Böökiem. „Popioły“ zyskały znowu wielkie powodzenie, zwłaszcza po świetnym artykule Petersena. Wydawca Geber, zachęcony dotychczasowym sukcesem utworów Żeromskiego, gotów był wydać nową jego książkę przed wyjściem z druku oryginału polskiego.

Chodziło jeszcze o poparcie ze strony sfer naukowych. Jeden z punktów statutu Fundacji Nobla zezwala na popieranie kandydatur literackich nie tylko przez akademię i uniwersytety, ale nawet przez profesorów literatury, estetyki lub historii z uniwersytetów szwedzkich. Na tej zasadzie prof. Ekblom z Upsali postawił, wraz z kilkoma kolegami, kandydaturę Żeromskiego.

Trudniej poszło z polską Akademią Umiejętności, której stanowisko w tej sprawie było chwiejne. Zrazu Akademia była za kandydaturą Reymonta. Nie przekonała jej wiadomość, otrzymana przez Poselstwo ze szwedzkich sfer miarodajnych, że „nadzieja na uzyskanie dla Reymonta nagrody literackiej jest zupełnie znikoma, — że natomiast, ze względu na wzrastające zainteresowanie się szwedzkich kół literackich twórczością S. Żeromskiego, polecenie Instytutowi Nobla kandydatury tego ostatniego jest ze wszech miar wskazane“. Trzeba było użyć na Aka-

demję presji ubocznej. Będąc w Krakowie, p. Czarnocki rozmawiał z profesorami: Nitschem, Sobieskim, Chrzanowskim i Kutrzbą i wyjaśnił im, że byłoby do pewnego stopnia skandalem, gdyby Akademia Umiejętności nie wysłała podania w sprawie kandydatury polskiej i gdyby wyręczyła ją w tem grupa profesorów szwedzkich. Akademia ustąpiła i w końcu stycznia 1921 r. wniosła do Instytutu Nobla kandydaturę Żeromskiego. W połowie grudnia tegoż roku Poselstwo nasze przypomniało Akademii, że, według istniejących przepisów, należałoby corocznie postawioną kandydaturę ponawiać. Otrzymało na to lakoniczną odpowiedź, że „Zarząd Akademii w sprawie nagrody Nobla nie wysyłał żadnego pisma“. W dalszym ciągu Akademia kandydatury Żeromskiego nie ponawiała.

Tymczasem przekłady utworów Żeromskiego zyskiwały coraz większy rozgłos. Mniej szczęścia miał Reymont. Najbogatszy wydawca szwedzki Bonnier wydał pierwszy tom „Chłopów“, ale książka nie miała rezonansu, więc nie chciał wydawać tomów dalszych. Pisma szwedzkie zaczęły pisać otwarcie o kandydaturze polskiej. Przyjaciele Żeromskiego oczekiwali z całym spokojem wyniku kilkoletniej akcji propagandowej.

Dnia 13 listopada 1924 r. Polska Agencja Telegraficzna rozesłała dziennikom depezę następującą:

„Akademia Szwedzka przyznała nagrodę Nobla w dziale literatury na rok 1924 Władysławowi Reymontowi za jego powieść p. t. „Chłopi“.

Żeromski zamknął się w sobie i nie okazał nikomu z obcych, jakie na nim wrażenie wywarł ten ciężki zawód. Martwił się podobno tylko ze względu na swoich najbliższych, którzy z nagrodą Nobla dla drogiej im Osoby już się oswoili i oczekiwali niecierpliwie chwili jej ogłoszenia. Jedną tylko pani Czarnocka, entuzjastyczna wielbiicielka talentu Żeromskiego, która wraz z mężem pracowała nad propagowaniem jego utworów w Szwecji, „rozpląkała się, jak ktoś, kogo ciężko i boleśnie skrzywdzono...”.

Cóż było powodem takiej niespodzianej zmiany w nastrojach sędziów Akademii Szwedzkiej? Wersje krążyły różne i, dopiero w kilka miesięcy po przyznaniu nagrody Reymontowi, zrozumieliśmy istotę zwycięstwa jego kandydatury. Wpłynęły na to decydująco kolejne rządy Witosy i Władysława Grabskiego. Jeden i drugi uważali Żeromskiego za przedstawiciela opozycji, Reymonta zaś — za swego. Witos wciągnął nawet Reymonta do „Piasta“ i urządził dla niego wierzynkową ucztę w Wierchosławicach; Grabski zaliczył go do endecji. Padł rozkaz, aby forsować kandydaturę Reymonta; z Centrali nadesłano nawet komplet jego utworów. P. Czarnocki, jako urzędnik Poselstwa, przystąpił z całą lojalnością do propagandy na rzecz Reymonta. Nakłonił z trudem wydawcę Bonniera, aby przygotował druk dalszych tomów „Chłopów“, informując go poufnie o kandydaturze Reymonta. (Niestety, „Chłopi“ nawet po przyznaniu nagrody

Nobla, powodzenia w Szwecji nie mieli). Równolegle wysuwanie dwóch kandydatów mogło ostatecznie umocnić szanse *polskiego* kandydata wogóle a dopiero ostatnie głosowanie dokonałoby wyboru jednego lub drugiego, albo nawet — podziału nagrody, co przewiduje § 4 statutu Fundacji Nobla i co zdarzało się już przedtem kilkakrotnie.

Żeromski był przez p. Czarnockiego wtajemniczony w przebieg sprawy i zdawał sobie doskonale sprawę z delikatności wszystkich zabiegów. To też p. Czarnocki, nie mogąc uzyskać żadnej pomocy z Centrali M. S. Z., udał się wprost do Żeromskiego z prośbą o nadesłanie jakich studjów książkowych lub broszurowych o Reymoncie. W jednym ze swych listów pisał Żeromski w tej materji: „Co do Reymonta, to niema o nim ani jednej broszury. Piszę to nie jako „ein Rival“, jak mówił Jensen, gdyż z Reymontem jestem w przyjaźni i niebabym mu przychylił, ale, niestety, literackiego wpływu on nie wywarł a ruchu żadnego w literackiej publicystyce nie wywołał. Gdybym cokolwiek znalazł, natychmiast (via Poselstwo) dr. Karlgrenowi prześlę“.

Tymczasem zaczęło działać „energicznie“ M. S. Z. Posła Michałowskiego i p. Czarnockiego odwołano ze Sztokholmu a poselstwo nasze w Szwecji obniżono o jedną klasę.

Nowy poseł, A. Wysocki, który przybył do Sztokholmu z początkiem 1924 r., doprowadził do rozwiązania „Szwedzko-polskiego Towarzystwa Studjów“, zorganiz-

wanego dzięki staraniom p. Czarnockiego, założył natomiast szwedzko-polskie towarzystwo o celach towarzyskich i handlowych. Poseł Wysocki otrzymał prawdopodobnie z Centrali M. S. Z. dyrektywę pogrążenia kandydatury Żeromskiego, energicznego zaś popierania kandydatury Reymonta. Jako człowiek nowy na gruncie sztokholmskim, miał zadanie trudne. Trzeba było używać okólnych zabiegów i propagandy w prasie za pośrednictwem pierwszorzędnych piór literackich. Naturalnym sprzymierzeńcem nowego posła był prof. Böök, który atakował Żeromskiego za jego „imperjalizm i germanofobję“. Szwedzi, którym nie przychodziły do głowy animozje partyjne wobec talentu, stracili zupełnie orientację: z kół zbliżonych do „Svenska Akademien“ zapytywano, czego właściwie życzą sobie Polacy, skoro nowe poselstwo polskie odrabia gwałtownie to, co zrobiło poprzednie. Akademia Krakowska, która, od początku kandydatury Żeromskiego była nieszczerą, zyskała teraz swobodę wypowiedzenia swego sądu. W każdym razie kandydatura polska była mocna, czego najlepszym dowodem, że nie zdołały jej obalić starania innych poselstw na rzecz własnych kandydatów. Gdyby pozostawiono w Sztokholmie posła Michałowskiego i p. Czarnockiego chociaż przez kilka miesięcy, nagroda literacka Nobla byłaby, według wszelkiego prawdopodobieństwa, podzielona.

Czynnik polityczny odegrał rolę decydującą: Żeromski nagrody nie otrzymał.

W kilka tygodni później odbyło się posiedzenie Komitetu naszej literackiej nagrody państwowej, po raz pierwszy w r. 1924 przyznawanej. Miałem zaszczyt przewodniczyć w tym Komitecie. Przyznaliśmy jednogłośnie nagrodę Żeromskiemu za „Wiatr od morza“, jako utwór najbardziej odpowiadający pojęciu nagrody państwowej. Na moją propozycję, zredagowaliśmy rodzaj adresu do Żeromskiego z tekstem naszego orzeczenia i z wyrazami hołdu dla Wielkiego Pisarza. Późnym wieczorem zawiozłem Żeromskiemu ten adres do mieszkania, na Zamku.

Przeczytał go w milczeniu i — pobladł. Wielkie, jak groch, łzy spadać poczęły po zmęczonych i schorzałych policzkach. Nie powiedział ani słowa. Wstał, porwał mnie w ramiona i bardzo głęboko uścisnął...

Pierwsza nagroda państwowa była drobną rekompensatą za krzywdę sztokholmską...

„NA TYM PADOLE”...

Gdy matka przywiozła małego Janka Lemańskiego do gimnazjum w Płocku, wysupłała z chusteczki dwadzieścia kopiejek i rzuciła mu na pożegnanie takie słowa:

— Masz tu pieniądze, ale pamiętaj oszczędzać.

„Oszczędzał“ przez całe życie, bo musiał stale „żyć nad stan“, to jest walczyć z niedostatkiem. Gimnazjum przebył w zwykłych warunkach szkoły rosyjskiej; miał gremjum profesorów, które było „jak słońce, bo mając oświecać, wszystkim dopiekało“. Nie powiodło mu się z greczyzną w czwartej klasie. Prof. Masłowski, niezadowolony z odpowiedzi Janka, powiedział mu pewnego dnia w łamanym mozolnie języku rosyjskim, którego się nigdy nie nauczył: — „Uczeń Lemański, tutaj zdzieś na dłoni włosy mi wyrastut, jeśli ty pierediosz w piatyj klas“. Zarwał się pod chłopcem grunt. Co powie matka, ostatnich sił dobywająca, żeby synów wyprowadzić na ludzi?

Ratunku szuka Janek w modlitwie. „Codzień — pisze we wspomnieniach szkolnych — raniutko chodziłem do Fary, gdzie klęczałem na stopniach bocznego ołtarza ze świętym Jerzym, pogromcą smoka i żarliwie się modli-

łem. — Boże mój — szeptałem: — zaszczep we mnie prawidła gramatyki greckiej i uczyni cud, żeby profesorowi Masłowskiemu dłoń pokryła się włosami!... Ślubuję uczyć się tak, że moja cenzurka kwartalna będzie odtąd pokryta samemi piątkami z niewielką ilością czwórek... no i z kilkoma trójkami“... Zrozumiał chłopiec, że taka modlitwa nie może być pomocna: „Bo chociaż w jednym miejscu Ewangelista mówi: — „Proście, a będzie wam дано“, lecz w drugim uzupełnia: — „Wie Ojciec wasz, czego potrzebujecie, pierwej, niżbyście Go prosili“. Mnie — mówi Lemański — potrzebny był drugi rok w czwartej klasie“.

Ale odtąd poszło już gładko. Małeńka chudoba państwa Lemańskich w Głazewie pod Płockiem spaliła się pewnego dnia i jej właściciele, z resztą zasobów pieniężnych, zamieszkali w Warszawie „dla kształcenia dzieci“. Janek wstąpił na prawo, które go zajmowało znacznie mniej, niż pisanie wierszy, a zwłaszcza bajek szeroko już znanych wśród kolegów. Gdy zdobył dyplom, nie myślał o karierze adwokackiej; pochłaniała go doszczętnie poezja. Matka była w rozpacz. Pod jej wpływem, Lemański przyjął „posadę na koleji“, która go dręczyła niewypowiedzianie, bo w pracy był zawsze bardzo sumienny.

W roku 1897 nastąpiło wydarzenie, które zaciążyło brzemieniem nieszczęścia nad całym jego późniejszym żywotem. Poznał Marję Komornicką, wybitnie uzdolnioną, młodziutką pisarkę i poetkę. Komornicka była fenomenem inteligencji i talentu. Organizacja nawskroś ge-

njalna. Jako czternastoletnia dziewczynka, napisała tom „Szkiców“ powieściowych (ogłoszonych drukiem w dwa lata później), zdumiewających niezwykłą dojrzałością tonu. Poprzedziła je rodzajem manifestu literackiego „zamiast wstępu“, w którym zapowiada nowy okres w literaturze w stosunku do „przeżytej szkoły“ realistów i naturalistów. Po wydaniu tej książki zbliżyła się do sfer literackich, prowadziła żywot bujny, zadziwiała swą wiedzą, nadzwyczajną giętkością umysłu, wielkim talentem poetyckim i świetną prozą. Poznała się bliżej z Cezarym Jellentą, który w jej życiu ważną odegrał rolę. Miał on w owym czasie (1894 r.) głośny w Warszawie zatarg z A. Mieszkowskim, redaktorem „Kurjera Codziennego“. Jellenta odpowiedział w „Prawdzie“ na złośliwą recenzję tego pisma o jego nowelach. Wdrożono sprawę honorową, którą tak zagmatwano, że Jellenta znieważył czynnie Mieszkowskiego na ulicy. Dzienniki ogłosiły ogólny bojkot Jellenty. Wciągnięto do oskarżenia również wybitnego geografa i uczonego, Wacława Nałkowskiego, który był świadkiem znieważenia czynnego. W wyniku tej sprawy, utworzył się tryuwirat literacki: W. Nałkowski, M. Komornicka i C. Jellenta, którzy wydali zbiorową księgę p. t. „Forpoczy“ (1895). Komornicka pomieściła w tej księdze gwałtowny fragment dramatyczny p. t. „Powrót ideałów“, w którym przetransponowała całą walkę Jellenty na zjadliwe djalogi satyryczne. Nadto ogłosiła w tym zbiorze szereg swych rozpraw filozoficzno-społecznych oraz utworów lirycznych wierszem i prozą. Stała

się głośna, jako wybitna bojownica i pierwszorzędna prozatorka.

Gdy ją Lemański poznał, zainteresował się nią od pierwszej chwili. Urody była miernej. Drobna, ubrana skromnie, wywierała wrażenie raczej młodego chłopca, co jeszcze bardziej podkreślały krótkie, po męsku ostrzyżone włosy, dość rzadkie w owych czasach u kobiet. Skryty z natury i małomówny, Lemański żadnym słowem nie zdradził się wobec niej swoim, od pierwszej chwili mocnym uczuciem. Komornicka oświadczyła mu się sama. Opowiedziała mu pewnego razu, że „chcę“ ją wydać za jednego z sąsiadów, zamożnego obywatela, który się o nią „stara“.

— A dlaczegoż pani tę propozycję odrzuca? — zapytał Lemański.

— Bo chcę wyjść za pana.

Sprawa dojrzała szybko. W czerwcu 1898 r. Lemański wziął z panną Komornicką ślub w kościele na Grzybowie. Ukończyła zaledwie lat dwadzieścia. Zaraz po ślubie przekonał się, że popełnił fatalną pomyłkę. Trudno sobie wyobrazić większą dysharmonję wewnętrzną, niż ta, która istniała pomiędzy tem dwojgiem ludzi. Komornicka miała naturę bardzo skomplikowaną; przy umyśle racjonalistycznym, paliły się w niej niesamowite ognie i żądze. Lemański, pomimo swego talentu satyrycznego, był lirykiem wyjątkowej miękkości i słodyczy; usposobienie miał dziecięce niemal, dobroć nadzwyczajną. Zamknięty w sobie, ukrywał przed najbliższymi mu ludźmi mękę,

jaką przechodził. A męka była okropna. Od pierwszych chwil po ślubie, żarła go zazdrość, która wzrastała z dnia na dzień. Nie znamy jej kolejnych etapów; ale musiały być nadmiernie dla poety uciążliwe, skoro w końcu stanął wobec postanowienia tragicznego.

Wybierając się w podróż poślubną do Paryża, pojechali najpierw Lemańscy do Zakopanego. Tam spotkali krewnego Komornickiej, p. Juljusza Oszackiego. Odbywali wspólne wycieczki w Tatry a p. Oszacki służył za przewodnika. Z Zakopanego przyjechali razem do Krakowa. Spędzili wieczór w domu rodziców p. Oszackiego i około jedenastej wyszli w jego towarzystwie. Lemańscy mieli nazajutrz udać się w dalszą podróż do Paryża, postanowiono więc wypić „strzemiennego“ w restauracji Turlińskiego. Wszyscy troje wyszli stamtąd około godziny pierwszej w nocy i, kierując się ku mieszkaniu Lemańskich, usiedli w drodze na ławce, na plantach. Co się stało ostateczną przyczyną szału Lemańskiego w owej chwili — trudno wiedzieć dokładnie. Nie zwierzał się z tego nigdy. Z relacji Komornickiej wypada, że pobudką było zachowanie się p. Oszackiego, który szepnął coś kuzynce do ucha. Lemański wezwał żonę, aby wracała z nim natychmiast do domu. Komornicka odmówiła. Rozdrażniony Lemański wyjął z kieszeni rewolwer. Przerazona Komornicka, krzyknęła: „Co ty robisz?“ i zaczęła uciekać. Lemański w pogoni za nią wystrzelił dwukrotnie. Komornicka upadła a Lemański w rozpędzie pobiegł dalej. P. Oszacki, widząc, że się Lemański odwraca i w oba-

wie, że może do niej wystrzelić ponownie, zasłonił sobą leżącą na ziemi Komornicką. Lemański w szale dał do obojga jeszcze cztery strzały, jeden po drugim. Wreszcie, nie zdając sobie sprawy, że wszystkie naboje są już wystrzelone, zwrócił rewolwer do samego siebie, ale, oczywiście, bez skutku.

Wynik strzelaniny był krwawy: Komornicka otrzymała dwie rany w oba ramiona; trzecią kulą zraniony został p. Oszacki. Rany Komornickiej zagoiły się dość szybko, a jedną z wyjętych kul nosiła później, jako brelok u zegarka. Wkrótce powrócił do zdrowia p. Oszacki. Lemańskiego zatrzymano w więzieniu śledczym. W miesiąc później, dn. 15 października 1898 r. odbyła się w krakowskim sądzie karnym rozprawa pod przewodnictwem radcy Ferensa. Bronił Lemańskiego dr. S. Abłamowicz.

Sprawę potraktowano ze szlachetną wyrozumiałością i z głębokim współczuciem dla oskarżonego. Na zasadzie zeznań świadków, iż Lemański działał „w stanie niepo czytelnym“, trybunał ogłosił wyrok zwalniający go od odpowiedzialności.

*

Dramat ten pogłębił do ostatnich granic przepaść pomiędzy młodem małżeństwem. Pozornie uspokoiło się wszystko i nawet zapanowała pewna harmonja. Lemański ciężko zachorował i lekarze zalecili wyjazd do cieplejszego kraju. Wyjechali państwo Lemańscy do Salzburga,

gdzie w czerwcu następnego roku poddał się Lemański trudnej operacji.

Po powrocie do kraju, dotknął Lemańskiego nowy cios: zastrzelił się młodszy, ukochany jego brat, Bolesław. W papierach pośmiertnych poety pozostało dla niego takie e p i t a p h i u m:

*„Na katafalku czarne podnóże.
Z bolesnych oczu łzy nie padają.
Twe blade czoło'm ustroił w róże,
W dłonie Madonnę'm dał Ghirlandaja.
Śpij, mój biedaku, w wonności chmurze
Śniąc o przeczystej, słodkiej Paniencie.
Dobrze ci... Gorzej tym, co zostają
Na ziemi jeszcze w życia udreće.
Śpij... W włosy'm twoje wpiął róże wonne,
Święty'm obrazek w skostniałe ręce
Dał — Ghirlandaja słodką Madonnę“.*

Stosunki pomiędzy młodem małżeństwem rwały się nieustannie: rozłączali się i znowu na jakiś czas mieszkali razem. Im bardziej Komornicka oddalała się duchowo od męża, tembardziej pogrążał się Lemański w wielkiem, pożerającym dla niej uczuciu. Zeszli się formalnie na gruncie „Chimery“, gdzie oboje drukowali swe utwory. Lemański sekretarzował jakiś czas Miriamowi, a sekretarstwo to polegało głównie na całonocnych gawędach, a raczej improwizacjach Miriama, któremi czarował se-

kretarza i przyjaciela zarazem. Lemański pisał swe prześliczne bajki i satyry, które stały się odnowieniem rodzaju, zwyrodniałego w dydaktyce szkolnej. Miriam uświadomił mu świetność jego natchnień poetyckich.

Komornicka zaimponowała w „Chimerze“ całym szeregiem utworów pierwszorzędnych, jak „Biesiady“, „Czarne płomienie“, „Ze szlaków duszy“, „Sprzymierzenie“, „Z księgi mądrości tymczasowej“ i t. d. Pisywała też krótkie, lapidarne i odważne oceny książek powieściowych pod pseudonimem: „Włast“. Były w tych utworach wybuchy talentu olśniewające. Nie mieliśmy np. w naszej poezji poprzedniej utworów, przepojonych taką tragiczną żądzą, jak jej cykl poematów p. t. „Czarne płomienie“ (1901).

Lemański przejmował się głęboko sukcesami Komornickiej, chociaż pożycie ich rozluźniło się niemal zupełnie. Pod datą 13. XI. 1903 Komornicka nadesłała mężowi z Paryża krótki list takiej treści: „Nie gniewam się, i Ty mi z serca odpuść, i pokój nad Tobą, nad nami, nad nami wszystkimi. Marja. Przyślij mi swe B a j k i“. Był to jakby błysk nadziei na lepszą przyszłość. Tymczasem zły los zrządził inaczej. Pewnego dnia Marja Komornicka, pracując w Bibliotece polskiej w Paryżu, dostała nagle ataku szału. Władysław Mickiewicz zawiadomił o tem Wacława Berenta, przebywającego wówczas w Paryżu. Berent wraz z Antonim Potockim postanowili umieścić Komornicką w sanatorjum i wezwać matkę obłąkanej.

Komornicka mieszkała wówczas przy ulicy Cam-

pagne-Première, w obszernej, biednej pracowni malar-
skiej. Zastali ją w stanie katalepsji. Przy pomocy lekarza
i sanitariusza, przewieziono chorą do szpitala. Szał po
jakimś czasie osłabł o tyle, że Komornicka wróciła do
Warszawy i miewała *lucida intervalla*, z całkowitym nie-
mal powrotem do przytomności. Pozostał jedynie pewien
znamienny uraz: Komornicka wyobrażała sobie, że jest
mężczyzną i kazała się nazywać *Piotrem*. Obłąd wrócił
ponownie i chorą zaopiekowała się rodzina.

Wewnętrzny dramat Lemańskiego pogłębiał się dalej.
Uczucie nie gasło, pomimo wszystko. Bywał wówczas
w moim domu niemal codziennie, ale przy wyrazie „Ko-
mornicka“ milczał jak grób. W wiele miesięcy później,
gdy już sprawa choroby Komornickiej ucichła zupełnie
i miałem wrażenie, że Lemański pogodził się całkowicie
z losem, zaszedłem do jego mieszkania przy ulicy Barba-
ry. Nie lubił, gdy go tam odwiedzano, może dlatego, że
mieszkał bardzo skromnie. Nie było go w domu. Zastałem
tylko jego matkę, staruszkę. Płakała przede mną długo,
opowiadając o cierpieniach Janka; pokazywała mi foto-
grafję Komornickiej, stojącą na komodzie i zawołała
z rozpaczą:

— Niema siły, któraby go mogła oderwać od tej ko-
biety. To jest, proszę pana, jakieś przekleństwo. Żyje tyl-
ko nią i dla niej. Poza nią nic go nie zajmuje.

Czas złagodził nieco ból nieszczęsnego Lemana. Gdy
po śmierci matki przeniósł się z siostrą na ulicę Klono-

wą, fotografia znikła z komody. Ale poeta zamknął się w sobie jeszcze szczelniej.

Nastąpiła wojna. Literaci a zwłaszcza poeci stali się niepotrzebnymi. Komitet Obywatelski udzielał najbiedniejszym z pośród nich drobnych zasiłków stypendjalnych, za pracę w różnych instytucjach. Lemańskiego zaprosili do siebie, do Pruszkowa serdeczni jego przyjaciele, zacni państwo Troetzerowie. Przebył tam bombardowanie miasta, ukryty z p. Troetzerem w piwnicy domu, w który padały pociski. Po zajęciu Pruszkowa przez Niemców, p. J. Troetzer, jako przewodniczący miejscowego Komitetu Obywatelskiego, zajął się z niesłychaną energią i poświęceniem organizacją instytucyj ratowniczych i pomocy społecznej. Lemański zetknął się blisko, poraz pierwszy w życiu, z pracą jednostki, podjętą na tak rozległą skalę: był nią olśniony. Napisał rodzaj pamiętnika a jednocześnie rozprawy społecznej p. t. „Odbudowane miasto“, która pozostała w manuskrypcie *). Zakończył ją słowami: „Dla kogo skarbem dusza, sława, sprawiedliwość — tam i serce jego; o jakże pragnęlibyśmy, ażeby całej Polski serce było tam, gdzie chodzi o duszę, o sławę, o sprawiedliwość!“

Przebywając w domu państwa Troetzerów, nie wiedział Lemański, że o kilka kroków stamtąd, przebywała w Tworkach—Marja Komornicka... Dowiedział się o tem

*) Cała teka pośmiertna Jana Lemańskiego znajduje się w Bibliotece Narodowej. (Przyp. aut.)

dopiero w kilkanaście lat później, gdy p. Troetzerowa doręczyła mu manuskrypt pamiętnika Komornickiej, pozostawionego w Tworkach. Niestety, były to już zapiski zupełnie obłąkańcze. Znalazłem je w jego tece pośmiertnej, zawinięte w gazetę z r. 1932.

Dłuższy czas przebywał potem Lemański u państwa Jabłońskich w Pniewie, pod Łomżą, gdzie również dawał dowody swego głębokiego altruizmu: podczas epidemji na wsi, chodził po chatach chłopskich i dezynfekował je całymi dniami.

Nie wiem, z czego „oszczędzał“ podczas wojny, bo o tem mówić nie chciał; miewał niewątpliwie chwile ciężkie, tembardziej, że przy swej wrażliwości na wszelką nędzę, dzielił się z ludźmi wszystkim, co miał. Siostrą opiekował się tkliwie do końca życia. Po wojnie przyjął posadę cenzora filmowego w Min. Spraw Wewnętrznych. Zabrał się do pracy z wielką gorliwością i począł tępić filmy niskiej wartości artystycznej. Naraził się przez to na wiele przykrości, które go rozdrażniały i rozgoryczały coraz więcej. Do roku 1923 ogłosił drukiem 21 tomów. Nadeszło jednak nowe pokolenie pisarzy i znakomite bajki oraz satyry Lemańskiego nie miały już poprzedniego rezonansu. Z trudem drukował to i owo po czasopismach. Zapominano o nim przy wszelkich odznaczeniach i nagrodach literackich. Otrzymał komandorję za... wzorową służbę, jako radca ministerjalny.

Pewnego dnia rano zastała go siostra z rewolwerem w rękę, w stanie wyjątkowego podniecenia. Ulegając jej

błaganiom, oddał rewolwer i blady, jak trup, poszedł do pracy.

Lemański odsunął się od swych literackich przyjaciół; zrzadka widywał się z nami. Pisywał wciąż wiele i — zostawił w szafie kilkanaście paczek mamuskryptów. Żył najbliżej z kolegami biurowymi, którzy go bardzo kochali. Najczęściej spędzał czas samotnie. Bawił się całymi godzinami ze swym ulubionym kotem, Bobusiem, który siadał mu na biurku i uderzał łapką w obsadkę, gdy Lemański pisał zbyt długo. Gorycz ostatnich lat życia zamknął w obszernym, kilkusetstronicowym poemacie p. t. „To życie“, który ukończył na kilka dni przed zgonem. Jest to ostre, nieraz pamfletowe spojrzenie na rzeczywistość polską. Nigdy nie używał Lemański takiego tonu w swoich satyrach. W momentach lirycznych natomiast żali się w nim smutek beznadziejny:

*O ty, bytu gehenno,
Odrzucam precz tve lenno
Nie pragnę nic już, jeno
Ciałem lec w głusz trumienną,
Mknąc, duch, w nicość promienną!*

*Niech już to jarzmo pęknie
W kraju ohyd, czy w pięknie,
W tęcz istnieniu, czy w mięs ścięgnie;
Niech mnie już nie dosięgnie
Tam, gdzie Kosmos się lęgnie!*

*O, śmierci, zjaw się, błagam!
Przyjdź z burzą, przyjdź w huragan,
Skoś ten życia b a ł a g a n,
Ten form przeżytych stragan,
O, śmierci, zjaw się — błagam!*

Przyszła prędzej, niż się spodziewał. W sobotę 11-go listopada 1933 r., w deszczowy dzień jesienny, otrzymał Lemański od swych kolegów biurowych adres przyjacielski w takich zawarty słowach: „Drogiemu Panu Janowi.— Koleżanki i koledzy biurowi nie mogą dłużej trwać w niepokoju o zdrowie i humor Kochanego Pana — i dlatego proponują: 1) powrót do zdrowia *zaraz*; 2) powrót do biura we wtorek d. 14 b. m.“. Lemański przeczytał ten adres ze smutnym uśmiechem. W kilka godzin później już nie żył.

Opustoszał skromny pokoik męki i pracy. Chodził po nim niespokojnie kot, Bobuś, i szukał wciąż kulek papierowych, które otrzymywał codziennie do zabawy od swego pana. A potem siadał pod drzwiami i długo, żałośnie miauczał...

WALKA Z CIENIEM

Pewnego popołudnia wiosennego w Paryżu, Francisek Siedlecki zaprosił do siebie gromadkę literatów i malarzy. Mieszkał wówczas przy ulicy Notre Dame des Champs, w ślicznej pracowni z ogódkiem, którą przed nim zajmował Chełmoński. Kawę urządził na powitanie Przybyszewskiego i pani Dagny, którzy, po powrocie z Hiszpanji, zatrzymali się w Paryżu na czas krótki. Oprócz miłych gości, szeroko już wówczas znanych w Polsce, chociaż Przybyszewski pisał jeszcze wyłącznie po niemiecku, uczestnikami biesiady byli: wybitny malarz Munch, Miriam, malarz Ślewiński, Reymont, znakomity później przyrodnik, Michał Siedlecki i — ja. Centralnym momentem zebrania była muzyka. Przybyszewski zasiadł do fortepianu i grał długo, długo s w o j e g o Szopena, t. j. wkładał w jego melodie własne, przedziwne akcenty, które go rozśławiły w kołach artystycznych Berlina i które doprowadzały do szału Strindberga. Pani Dagny, kobieta nie tyle piękna, ile pełna uroku, dystygowana, ubrana z wytworną prostotą, niezwykle miła i słodka w obejściu, mówiła niewiele i mówiła niezbyt

pewną francuszczyzną. Przybyszewski ofiarował mi egzemplarz „Auf den Wegen der Seele“ z dedykacją: „W pierwszym dniu poznania, 16 czerwca 1898 r.“. Wyszliśmy razem. Przybyszewscy, idąc po bulwarze St. Michel, trzymali się za ręce, jak dzieci. Widziałem wówczas panią Dagny poraz pierwszy i — ostatni. Dzięki wstawiennictwu Kazimierza Dłuskiego, Paderewski, zawsze hojny w podobnych wypadkach, ofiarował Przybyszewskiemu kilka tysięcy franków, co mu pozwoliło wrócić do kraju. Wyśpiewał Paderewskiemu za to gorący hymn pochwalny, na rok przed śmiercią, w swych wspomnieniach p. t. „Moi współcześni“.

W trzy lata później nadeszła do kolonji polskiej w Paryżu wiadomość o tragicznej śmierci Dagny w Tyflisie, gdzie padła od kuli młodego szaleńca za to, iż miłości jego podzielić nie mogła. Rozbestwiona plotka, która tłumaczyła tę tragedję po swojemu, nie przeraziła Przybyszewskiego. Przełożył zbiorek utworów swej żony: „Kiedy słońce zachodzi“ i wydał go ze sławnym wstępem p. t. „Dzieciom moim, Zenonowi i Iwci puściżną po matce przekazuje ojciec“.

Brzmi on tak: „Wychowana w bogactwie i zbytku, znosiła mężnie i wytrwale kilkoletnią nędzę artysty, co się z trudem przez życie przebijać musiał. Kobieta niezwykłej kultury i poczucia artystycznego, powierniczka najskrytszych moich intencyj twórczych, jedyny człowiek, który znał mój twór do dna, który nieraz wyłowił z głębi

mej duszy to, co dla mnie samego było nieświadome — oto, czem była wasza matka.

Jej tragedją było, że duszę miała zbyt szczerą, zbyt śmiałą i dumną, by mógł na nią paść najdrobniejszy cień fałszu i hipokryzji. Jej tragedją było, że była tem, czem jest jej sztuka: pięknnością i zbytkiem.

Nie była stworzona do tego świata: dusza jej, pełna naiwnej ufności, dziecięcej prostoty, doznała zbyt dużo rozczarowań, zbyt często była oszukiwana i zwodzona; musiała się w końcu przełamać.

Tragedją jej była piękność, i szczerłość, i duma.

Była przepięknym egzotycznym kwiatem, który rzadko wykwita, a który tłum zdeptać musi — i niedość, że zdepcze, ale mści się na nim jeszcze po śmierci.

Więc, dzieci moje, niech pamięć matki będzie dla was święta, jak dla mnie jest święta.

Stanisław Przybyszewski.“

Warszawa, w czerwcu 1901.

To wspaniałe epitaphium wzbudziło zachwyt u jednych, oburzenie — u innych. Aleksander Świętochowski, zazwyczaj chłodny i powściągliwy, poświęcił mu jedno z najświetniejszych swych „Liberum veto“ w „Prawdzie“ (Nr. 46, 1901), w którym pisał między innymi: „Dla tłumy, który przywykł czuć i myśleć w odwiecznych formach gniewu, nienawiści, przekleństwa, kary, odwetu, mordu, — widok ojca, który przyprowadza dwoje małych dzieci na grób wiarołomnej żony, zabitej przez złe żądze

i powiada do nich: czcijcie pamięć waszej nieszczęśliwej matki, bo ona była pięknym, ale złamanym kwiatem — jest jakąś zdumiewającą niespodzianką a zarazem niespodzianką wspaniałą. Przybyszewski jest bezsprzecznie dużym i oryginalnym talentem; w jego książkach są stronicce ujmujące; ale wszystkie jego utwory nie dorównywują swą wartością tym dwudziestu kilku wierszom przemowy do dzieci o ich matce. W tych bowiem prostych a przepięknych słowach brzmi nuta, która coraz bardziej staje się podstawowym tonem pieśni odrodzenia w literaturze, z nich strzelają promienie nowej ilei, która jest wschodzącą gwiazdą natchnień poetyckich, one są jednocześnie i rzewnem wzruszeniem i męskim, śmiałym czynem. Wielkie miłosierdzie z wielką odwagą pisało tę kartę, a obie te siły przyjmą pierwszorzędnny udział w kształtowaniu i tłumaczeniu życia filozofją i sztuką. Nieszczęśliwych i cierpiących dusz niepodobna dłużej rzucać na pastwę mizernemu robactwu, które rozumie tylko cel swoich ukąszeń i potrzebę swego głodu. Te dusze muszą być ujmowane przez dobre, miękkie ręce, zbadane przez rozumne i litościwe oczy, które umieją spoglądać głęboko i dostrzegać w nich powikłany zwój sprężyn przyczynowości“.

Jednocześnie rozeszła się wiadomość, że jeszcze przed zgonem pani Dagny, Przybyszewski skomplikował sobie życie nowym dramatem: rozerwał małżeństwo Kasprowicza i ożenił się z jego b. żoną, Jadwigą w okolicznościach bardzo przykrych. W tym samym czasie, z powo-

du mego studjum o Przybyszewskim w „Mercure de France“, otrzymałem od niego obszerny list, w którym mi w szczególny sposób zaleca utwory... Kasprowicza. Naturę tej opieki zrozumiałem znacznie później: dykto- wała ją poczucie wyrządzonej krzywdy. Podkreśla Przy- byszewski, że Kasprowicz wywiera na nim wrażenie „nie talentu, ale — geniuszu“, charakteryzuje dzieła jego i tak dalej pisze:

„Niezmiernie się ucieszyłem, gdym przeczytał, że Pan również go tak bardzo ceni i nieskończo- ną radość by mi to sprawiło, gdyby Pan w obszernem studjum zapoznał Francję z tym nieporównanym twór- cą. Ponieważ Kasprowicz jest bardzo niedbały o te rze- czy, więc zwróć się Pan z tem wprost do mnie. Do bio- grafji jego użyczę Panu szczegółów dokładnych, bom się z nim razem chował, a raczej sąsiadowaliśmy o miedzę... Byłoby to wielką zasługą Pana, jako artysty, gdybyś Pan człowieka takiej miary, jak Kasprowicz, którego nasza krytyka łaskawie klepie po ramionach, przedstawił w ob- szernem studjum w jakimś piśmie zagranicznym, bo wte- dy dopiero pozna się Polska, ta „małpa narodów“, na jego wielkości. O jedno proszę Pana: niech się Pan w sprawie Kasprowicza wprost do mnie zwraca. Nie miałbym prawa wtrącać się w sprawy Kasprowicza, ale, znając jego niedbałość i nonszalancję w rzeczach literac- kich, zdaje mi się, że jest moim obowiązkiem zwracać uwagę zawsze i wszędzie na człowieka, który jest chlubą wszechliteratury europejskiej“.

Po powrocie do kraju, zbliżyłem się do Przybyszewskiego po koleżeńsku. W początkach 1904 r. złożyli nam oboje z panią Jadwigą wizytę i zaprosili nas na głośnego w sferach literackich „zajączka“. Gdyśmy z żoną zadzwonili do ich mieszkania, służąca odpowiedziała nam szorstko, że „państwo nikogo nie przyjmują“. Po wyjaśnieniu, że jesteśmy zaproszeni, służąca zachnęła się znowu, rzuciła krótkie: „ja tam nie wiem“, ale w końcu wzięła mój bilet i zaniósła państwu. Powitał nas zażenowany i podniecony Przybyszewski i objaśnił, że żonę boli głowa, więc się położyła; ale o „zajączku“... nie wspomniał. Wyszliśmy rozbawieni. Później dopiero dowiedzieliśmy się od wspólnej znajomej, Francuzki, że wizytę naszą poprzedziła jedna z najgwałtowniejszych burz domowych, jakie szalały nad życiem codziennem państwa Przybyszewskich. Zczasem zrozumiałem, czego się trzymać należy w tej sprawie. Związek, który powstał nie z miłości, ale z momentu szału, zamienił się wkrótce we wzajemną katuszę, która miała dwie fazy. Pierwsza była okresem walki. Pani Jadwiga, niezwykle nerwowa i rozdrażniona, wyobrażała sobie, że wszyscy ją potępiają i stronią od niej; Przybyszewski zaś stale podniecał się alkoholem i w stanie przyćmionej świadomości trwał aż do końca życia. Dnie schodziły na wzajemnym torturowaniu się z najbliższych powodów. Pani Jadwiga, stwierdziwszy, że ma do czynienia z zatwardziałym nałogowcem, zrozumiała, że oczekuje ją ciężki żywot małżeński. Pewnego razu Przybyszewski, leżąc na kanapie, rzucił

w ożywionej dyskusji z żoną zdanie: „moja matka jest święta“. Gdy to powtórzył kilkakrotnie z uporem manjaka, pani Jadwiga zagroziła, że, jeżeli nie zaprzestanie natichmiaast, to ona wyskoczy przez balkon. Przybyszewski powtarzał wciąż swoje: „moja matka jest święta“. Pani Jadwiga wybiegła na balkon i — groźbę swą spełniła. Na szczęście zaczęła się suknią i — przerażona służąca przeniosła ją do łóżka. A Przybyszewski wciąż powtarzał: „moja matka jest święta!...“

Pani Jadwiga spostrzegła, po pewnym czasie, że „Stach“ jest człowiekiem nieskończenie dobrym i miękkim; że jego nałóg, który żarliwie zwalczała, osłabia mu wolę, którą należy wyprostować. Postanowiła stać się jego Egerją. Pobudzała go do pracy, czytała skwapliwie jego manuskrypty, prowadziła z nim dyskusje bez końca, kontrolowała jego listy, niektóre pisała sama za jego dyktandem, on zaś podpisywał pod nimi swoje nazwisko. Wyprawiał często do swych adresatów dwa rodzaje listów: jeden „urzędowy“, skontrolowany przez żonę; drugi — poufny, zawierający treść właściwą, odwołującą niekiedy treść listu pierwszego. Pani Jadwiga, wychowana w atmosferze myśli Kasprowicza, inteligentna, chociaż mało wykształcona, żyła głównie twórczością męża. Brała się sama do przekładów (tłumaczyła „Alraune“ Eversa, „Pannę Elzę“ Schitzlera), czytywała skwapliwie wszystko, co o Przybyszewskim pisano, nakazywała mu reagowanie na sądy, które jej się nie podobały.

Wiedziała dokładnie, jak wielką rolę odegrała w jego

życiu Dagny i rozpoczęła walkę z jej cieniem, który ją niepokoił przez długie, długie lata. Epitaphium Dagny, napisane dla dzieci w przedmowie do „Kiedy słońce zachodzi“, stało się dla niej ciężką zmorą. Przybyszewski przechodził z tego powodu udręczenia bez końca. Nie miał sił, aby ocalić swoją cześć dla pamięci ubóstwianej niedawno Dagny. Pani Jadwiga pokonała go nareszcie i zmiażdżyła doszczętnie. Wymusiła pod grozą omdleń, łez i choroby, że najpierw w listach do przyjaciół i bliższych znajomych odwoływał swe dawne zachwyty nad pierwszą żoną. Żarła ją wciąż ambicja; chciała być za wszelką cenę tą jedyną, którą Przybyszewski wybrał sobie na zawsze; chciała, aby tamtą uważał za błahy epizod, który należy wyżenąć z pamięci. W utworach swych pomieszczał Przybyszewski często złośliwe charakterystyki Dagny, które dla czytelników nie były zrozumiałe, ale jasne — dla krytyków. Wreszcie do swej książki p. t. „Krzyk“ napisał okropny wstęp, w którym składa wrzaskliwe hołdy pani Jadwidze, o Dagny zaś takie pomieszcza odwołanie: „to, co w mojem Epitaphium po jej śmierci napisałem, zrobiłem jedynie i wyłącznie dla jej dzieci, by je uchronić przed konsekwencjami błędów matki, w tem mniemaniu, że będą w polskiem społeczeństwie chowane. I to tłumaczy całą tę nieszczerą, przesadną i w błąd wprowadzającą frazeologję, jakiej użyłem w tem pośmiertnem homagium“.

Przybyszewski zdawał sobie doskonale sprawę, iż popełnił czyn niski. Spowiadał się z tego poczucia w listach

do przyjaciół, a do p. Geszwinda wprost napisał: „Shańbiłem duszę „Krzykiem“. To była najkrwawsza ofiara“. A potem poszedł do niego i dał mu niejako testamentowe zlecenie, aby po jego śmierci podał do wiadomości publicznej, które ustępy z książki należy wykreślić. Przy tych ustępach dopisywał własnoręcznie uwagi: „Falschspieler, by odrobinę spokoju zdobyć“; „Czasem kłamstwo najwyższą cnotą, by się ratować“.

Publiczne unicestwienie Dagny było największym (o, jakże żalonym!) tryumfem pani Jadwigi w jej ćwierćwiekowem pożyciu z Przybyszewskim. Nie poprzestała jednak na tem. Pilnowała z całą bezwzględnością, ażeby cień Dagny nie przesunął się nigdy w ich domowem ognisku.

Pewnego dnia zaprosili Przybyszewscy do siebie na obiad: Jana Adolfa Hertza i Wacława Grubińskiego, młodziutkiego przyjaciela, nazywanego tkliwie „synu-siem“. Podczas obiadu, Przybysz odezwał się do żony ni-by od niechcienia, chociaż przygotował „chytrze“ cały plan działania:

— Wiesz, Inciu, dostałem na dzisiaj lożę do opery. Pójdziemy wszyscy czworo, dobrze?

Projekt przyjęto chętnie. Nagle, pod wieczór, Przybyszewski zaczął się skarżyć na silny ból głowy. Pani Jadwiga nałożyła mu kompres i chciała zrezygnować z opery. Przybyszewski oparł się temu stanowczo:

— Pójdiesz ty z Grubińskim, a mnie tu doglądać będzie pocziwy Hertz.

Skoro tylko wyszli, Przybyszewski zrzucił szybko kompres z czoła i wyznał Hertzowi cel osobliwego forte-lu: postanowił zobaczyć swego maleńkiego synka, Zenu-sia, którego, po przyjeździe z Kaukazu, zabrała do siebie p. Laura Pytlińska. Zenuś, jako żywy łącznik z Dagny, był dla pani Jadwigi szczególnie niebezpieczny. Mógł go Przybyszewski widywać w największej tajemnicy. Wy-szedł zaraz z Hertzem, który go odprowadził do p. Py-tlińskiej, sam zaś oczekiwał jego powrotu w pobliskiej cukierni. Kiedy pani Jadwiga powróciła z opery, Przy-bysz leżał na kanapie z obwiązaną głową, z miną bole-ściwą a przy nim siedział współczujący g a r d e - m a - l a d e, Hertz...

Pani Jadwiga nie pojmowała, że mąż jej w takiej atmosferze będzie pisywał rzeczy coraz słabsze. Czuwała nawet nad tem, aby przyjaciele jego nie wydawali o Da-gny sądów nadto pochlebnych.

Pewnego razu przyszedł do mnie Przybyszewski do redakcji „Nowej Gazety“ z prośbą, abym mu nie przy-syłał do domu wydanego w tym czasie studjum mego o nim, pomieszczonego w „Młodej Polsce“. Sądziłem, że chodziło mu o moje żarty z jego pseudo-satanizmu. Po-równałem go do dziecka, które podpaliło stóg siana i tak się swym czynem przeraziło, że pobiegło do wsi z krzy-kiem, iż nie kto inny, jeno sam djabeł stóg podpalił. Do-wodziłem, że na dnie „nagiej duszy“, której kazał wypo-wiadać jaknajmocniej wszystkie swe pożądanja, bóle i rozpacze, — ujrzał Przybyszewski rzecz starą, znaną po-

wszechnie, a mianowicie: sumienie społeczne. Domysły moje były mylne: zachodziła obawa, że pani Jadwiga ujrzy w mojej książce znowu niepokojący cień Dagny, o której napisałem kilka stronik uwielbienia...

Zresztą pani Jadwiga miewała przesadne złudzenia co do swego współpracownictwa w utworach Przybyszewskiego. Czuwała nad tem, aby je oceniano według jej myśli. Gdy o „Ślubach“ ogłosiłem recenzję nie wolną od poważnych zastrzeżeń, Przybyszewski nadesłał mi z Monachjum (12.IX.1908) taki list: „A mnie się zdawało, że Ty, właśnie Ty posłyszysz najcichszy, najboleśniejczy szept mej duszy. Tyś słyszał, ale nie chciałeś słyszeć. Przerażały was moje okrzyki, a mojego szeptu słuchać nie chcecie. Przecież szept daleko piękniejszy i boleśniejczy od krzyku. Jeszcze ciszej będę mówił. Teraz tylko sam z sobą. Gdym pisał „Śluby“, to pisałem dla jednego na tysiąc, a dla dwóch na dziesięć tysięcy, według słów Basylydesa. Czemuś Ty, któryś rozumiał, zrozumieć mnie nie chciał? Wstydzę się tego listu, ale Ty jesteś jeden z tych bardzo, bardzo rzadkich, których poważam. I nie bądź zdumiony, jeżeli Ci powiem, że jesteś mi bardzo drogim“. W dopisku: „Jeszcze się dowiesz, kto jest czerwona Krystyna“.

Nie dowiedziałem się nigdy...

*

Płynęły lata a widmo Dagny nie przestało nękać. W roku 1913 ukazała się w Berlinie opowieść Franciszka Junga p. t. „Dagne“. Była to fikcyjna historia jej pożycia z Przybyszewskim. Widocznie Przybyszewski dał ją również do przeczytania swojej żonie, bo ogłosił niezwykle gwałtowną replikę, wydrukowaną w tygodniku berlińskim „Die Aktion“ (Nr. 15 z d. 9 kwietnia 1913 r.). Ten bolesny a nieznany biografom Przybyszewskiego dokument, ważny jest wskutek tego, że sprawę poniżającego wypierania się Dagny przenosi na grunt międzynarodowy. Replika jest długa (250 wierszy), bo porusza różne momenty „szkicu“ Junga. Przytoczę ustępy, dotyczące Dagny i pani Jadwigi:

„Każdy, kto jest wtajemniczony w moje stosunki życiowe, wie, że w tym szkicu „Dagne“ (ma to brzmieć przypuszczalnie: Dagny), chodzi o moją pierwszą, przez pewnego studenta zastrzeloną żonę, o Strindberga i o mnie. Rozumiem doskonale, że dla niejednego namiętnego młodzieńca z Schwabingen bohaterka nędznego skandalu może uchodzić za najwyższy ideał — ale nie dla mnie!... Moje hymny, które nie są „wyciem czy krzykiem“, lecz, jak powiedział Dehmel, mają najgłębszy charakter metafizyczny, nie były zwrócone do żadnej „krwią dyszącej“ damy, — przeciwnie napisane były dwa lata przedtem, nim ujrzałem po raz pierwszy oblicze Dagny. Jedyne hymn, jaki napisałem wprost do pewnej kobiety, to hymn, którym poprzedziłem, jako dedykacją i zarazem zasadniczą dominantą mój dramat „Odwieczna

baśń“ i który poświęciłem obecnej mojej żonie. — Mojej żonie, którą poznałem jeszcze za życia Dagny, — której jestem oddany z najserdeczniejszą miłością i która jest mi od wielu lat najczulszą kochanką, najwierniejszym towarzyszem i najlepszym doradcą w najcięższych troskach życiowych.

...Owe Dagny, owe uwielbiane wielce ideały młodzieńców z Schwabingen, nie strzelają do kochanków (jakby pan Jung chciał w nas wmówić) „dziko-romantycznie“: przeciwnie one same bywają pozbawiane życia przez młodzieńców, zapalonych do „wolnych stosunków miłosnych“. Taki jest koniec tej mętnej i właściwie bardzo płytkiej pieśni, której chciano dać koniecznie, z dyktancką płytkością, jakąś niewiarogodną głębię. I takie musiało być zakończenie tej smętnej pieśni o katastrofie w Tyflisie.

...Młodego „bohatera“ skandalicznej przygody na Kaukazie — czemu nie wymieniono miasta, a mianowicie Tyflisu — żal mi szczerze, bo żałuję tylko tych ludzi, którzy się rozbijają na płytkich wodach zatargów miłosnych — i Bóg jeden wie, czemu się rozbijają; ale i ci inni, których pan Jung chciałby koniecznie pogrzebać żywcem (jak okrutnie i po katowsku jest ten pan nastrojony!), ci inni przechodzą z cichym uśmiechem do porządku dziennego nad tego rodzaju nieprzyjemnym epizodem i nie rozumieją, dlaczego ludzie robią „wiele hałasu o nic“? Tak, panie Jung, uwierzę łatwo, że wy, przy takich zdarzeniach moglibyście dać się pogrzebać; — dla

mnie ten epizod był początkiem nowego życia, w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa, zazaczył się rozwojem niesłychanym wszystkich moich sił twórczych. Dla was moja „Msza żałobna“, moje „Wigilje“, odwieczne tam-tam, w które uderzacie, są to dzieła, w których przedstawiłem w rzeczy samej, z zimno uśmiechniętym spokojem, psychologję waszej namiętności; dla mnie oraz dla ludzi, którzy są dostatecznie dojrzały, aby zrozumieć moją twórczość, ten po-Dagnyński okres oznacza właśnie początek właściwej mojej twórczej działalności. (Wszystkie moje dramaty powstały w tym czasie).

...Jak się urodziła legenda o stosunku Strindberga do Dagny, który był zaledwie przelotny, to pozostało dla mnie zagadką. Nie znałem jeszcze wówczas Dagny, kiedy odprowadzałem Strindberga i jego żonę, którą niedawno poślubił, na dworzec w Wiedniu — było to dokładnie dwa miesiące przedtem, zanim poznałem Dagny. Więc nie chodziło tu o taką małą-malutką samiczkę, kiedy nagle wybuchła u Strindberga nienawiść do mnie, do dzisiaj zupełnie dla mnie niepojęta.

...Jeżeli wziąłem Dagny w obronę w mojej, dość pompatycznej przedmowie do jej dramatu, który dawno poszedł na makulaturę, stało się to z powodu moich dzieci — zresztą fortel zupełnie chybiony — a także, ponieważ chciano przy tej sposobności poniżyć moją sztukę oraz moim kochanym kolegom dać przytyczka w nos.

...Dla Strindberga Dagny nie znaczyła prawie nic, a ja musiałem jej zamknąć na długo przed jej śmiercią

drzwi mojego domu, chociaż robiła pożalowania godne próby dla odzyskania tego domu i mojego serca, które już dawno należało do innej kobiety, mojej obecnej żony.

...Dagny nie szła, igrając, bez pożegnania, ani też uśmiechając się, jak chce tego pan Jung (głupota liryczna) na spotkanie śmierci... Umierać pięknie! — krzyczą esteci z Schwabingen — ale to nie była śmierć piękna; Dagny została podczas snu postrzelona w głowę i zabita z tyłu przez młodego człowieka, a ten młody człowiek uważał, że najlepiej osiągnie swój cel życiowy, jeżeli wpakuje sobie przez usta kulę do mózgu. „Trop de bruit pour une omelette“! Dla mnie jest to zupełnie niezrozumiałe, że tak mała rzecz mogła wywołać tak niesłychane wrażenie, taką ekstazę, taki podziw na tym Bożym świecie, na którym zaprawdę rozgrywają się zupełnie inne tragedje.

....„Wyjący krzyk u jej stóp“ jest dla mnie wstrętną niedorzecznością; do takiego krzyku, skowytu i beku mógłby być może zdolny człowiek o masochistycznych skłonnościach — ale nie ja. Tu już kończy się wszelki literacki wybryk i liryczny idjotyzm, tu już pan Jung przekroczył granice najprostszego poczucia przyzwoitości. I nietylko to — nie, jeszcze coś więcej: to jest wprost brutalność wobec mojej obecnej żony, Jadwigi, którą kocham i szanuję i w której domu pan Jung był gościnnie przyjęty“.

*

Ten fatalny dokument był może najokropniejszym aktem walki pani Jadwigi z cieniem Dagny. Otrzymała przerażającą satysfakcję: cień został rozproszony na zawsze. Biedny Przybyszewski dokonał morderstwa na wspomnieniu o uwielbianej kobiecie. W „Moich współczesnych“ poświęcił jej kilka zaledwie obojętnych wierszy; za to napisał długi panegiryk na cześć pani Jadwigi.

We wstępie do „Synów ziemi“ mówił Przybyszewski: „Miłość — to ta wielka tęsknota, która może się stać i wielką męczennicą, ku zupełnemu zespoleniu się płci, by ród ludzki wyszlachetniał i do Absolutu doszedł. Do tego rdzenia życia chciałem dotrzeć i wobec tego najgłębszego zagadnienia bytu, nie myślałem o rzeczach ubocznych, które wszystkie tkwią w tem jednym ognisku“.

Może gdzieś, w zaświatach, słodka Dagny powtarza sobie te słowa androginiczne i uśmiecha się smutnie, gdy rozpamiętywa Absolut miłości pani Jadwigi i Stanisława Przybyszewskich...

KATASTROFA BOLESŁAWA PRUSA

Podczas pierwszych dwudziestu lat po Powstaniu, życie w Warszawie, jak wnioskować można z relacyj społecznych, było wyjątkowo uciążliwe. Atmosfera wypełniona była smutkiem i żałobą po doznanej klęsce, a terror cenzury, żandarmerji i policji łamał wszelkie odważniejsze poczynania. Nad publicznem słowem polkiem rozłączano wyteżoną i wyrafinowaną kontrolę. Dawano pozwolenia na odczyty naukowe, ekonomiczne, przyrodnicze, z wielką jednak ostrożnością zezwalano na odczyty literackie. Wolno je było wygłaszać jedynie autorom, których „błagonadziejność“ nie ulegała żadnej wątpliwości. Takim był np. hrabia Stanisław Tarnowski, który nazwał Powstanie „samogwałtem politycznym i marnowaniem szpiku własnych kości“; takim był również Włodzimierz Spasowicz, sławny adwokat petersburski, pisarz tyleż rosyjski, co polski, promotor „ugodowości“, która rozwinęła się później, ku pohańbieniu imienia polskiego.

Trudno dzisiaj uprzytomnić sobie dokładnie, jak wielkiem wydarzeniem kulturalnem bywały w Warszawie ich odczyty. Wspomnienie o nich pozostało w trady-

cji starszych ludzi, ale wystarczy przejrzeć pisma z owych czasów, aby się przekonać, że stawały się przedmiotem nieskończonych dyskusyj, sporów i komentarzy, wybiegających daleko poza ramy samego tematu.

Dnia 9 marca 1878, zarząd Towarzystwa Osad Rolnych podał w „Kurjerze Warszawskim“ zawiadomienie, że Włodzimierz Spasowicz, „obronca przysięgły“, wypowie w sali ratuszowej d. 12-go i 14-go marca tegoż roku dwa odczyty o Wincentym Polu. „Pieśni Janusza“ były jeszcze na wszystkich ustach, więc zapowiedź odczytów wywołała sensację. „Kurjer“ informował, że „bilety na wszystkie miejsca numerowane są już rozprzedane i tylko bilety na miejsca stojące, na galerji lub na sali, będą do nabycia na dwa dni przed prelekcją“. Istotnie, na obu odczytach sala była zapełniona po brzegi. Spasowicz, analizując utwory Pola, a zwłaszcza jego „Przygody Benedykta Winnickiego“ zaatakował ostro życie społeczne i obyczajowe w dawnej Polsce i krytykował metody wychowawcze, zgodnie z którymi ojcowie wymierzali starszym nawet synom bizuny na kobiercu. Słuchacze byli do głębi oburzeni tą krytyką bez pardonu, poraz pierwszy wypowiedaną w pogrzebionej Warszawie publicznie. W pewnym momencie odczytu odezwały się frenetyczne oklaski gromadki młodzieży uniwersyteckiej, co jeszcze mocniej rozdrażniło słuchaczy a zwłaszcza licznych przedstawicieli prasy. Okazało się, że oklaski biła grupa studentów-socjalistów, która stanowiła wówczas pierwsze kadry naszego socjalizmu. W grupie tej były jednostki

wybitne: Stanisław Mendelson (późniejszy działacz socjalistyczny), Stanisław Krusiński (genjalny socjolog, zmarły przedwcześnie), Jan Popławski (późniejszy działacz i ideolog Narodowej Demokracji), Kazimierz Dłuski i inni.

Po odczytach wszystkie dzienniki wystąpiły przeciw Spasowiczowi, licząc się oczywiście, z cenzurą. W dyplomatycznej, wytwornej recenzji „Kurjera Warszawskiego“ (15. III. 1878) pisze znakomity krytyk, b. zesłaniec syberyjski, Władysław Bogusławski: „Tak jest, przeszła chwila, której Wincenty Pol był szczerym i naiwnym wyrazem; przeszła tak dalece, że obawa o „szkodliwość“ takiej książki, jak „Przygody Benedykta Winnickiego“, o ponętności takich ideałów, jak bizuny, choćby z dodatkiem kobierca, mogła tylko uśmiech na ustach dzisiejszego słuchacza wywołać. Prelegent niedobrze zrobił, bo za pole zapasów wybrał sobie nie miejsce poważnych studiów, w których prawda może, pod osłoną nauki, przedstawić się we wszelakiem oświeteniu, ale — przybytek lekkich rozrywek umysłowych, napełniony słuchaczami, których najgłówniejszem przygotowaniem do dyskusji w tym przedmiocie były dotąd artykuły „Przeglądu Tygodniowego“. Niedobrze wreszcie zrobił, zapomniawszy, że w tem zgromadzeniu, hołdującem więcej modzie, aniżeli wiedzy i zachwycającem się w równej mierze wytwornym wyglądem prelegenta, jak treścią jego odczytu, znaleźć się muszą żywioły, w obecności których usta przygotowane do najślusniejszego nawet procesowania na-

szej przeszłości, zamknąć się powinny... Okłaski, jak wszystko na świecie, podlegają krytyce, sądzymy więc, że do nich prelegent zastosuje prawo ścisłej analizy“.

Inne pisma były mniej oględne, chociaż musiały zręcznie maskować swe poglądy. Wyjątek stanowiły jedynie „Nowiny“ (gazeta świąteczna), redagowana przez Erazma Piltza, rzecznika późniejszej „ugody“. Artykuł wstępny (z dn. 17.III.1878) p. t. „Spasowicz wobec krytyki warszawskiej“, rozpoczyna Piltz taką przygrywką: „Po gorączkowym nastroju sprawozdań, po niedomówionych zdaniach, tajemniczych kursywach i dwuznacznych kropkach, najmniej spostrzegawczy czytelnik mógł odgadnąć, że na nieruchomym i bezbarwnym widnokręgu naszego społecznego życia, zdarzył się fakt, wybiegający daleko poza kresy powszedniości“. Następuje szczegółowa analiza głosów prasy i — dość bezwstydnym panegiryk dla Spasowicza, jeżeli się weźmie pod uwagę intencje patriotyczne sprawozdawców, którym odebrano prawo szczerego wypowiedzenia swych myśli.

W tym samym numerze „Nowin“ znalazł się w odcinku tygodniowy „Feljeton warszawski“ Bolesława Prusa, który rozważa złe i dobre strony odczytu, a w końcu oznajmia: „sumienie nakazuje mi powiedzieć, — że koledzy z prasy codziennej powtórzyli zasadniczy błąd p. Spasowicza, to jest widzieli tylko jego wady, a nie spostrzegli jego zalet“. Przyzwyczajony do tonu swoich sławnych „Kronik tygodniowych“ w „Kurjerze Warszawskim“, postanowił Prus skarcić w „Nowinach“ ostro stu-

dentów, którzy manifestacyjnie oklaskiwali niektóre ustępy odczytu Spasowicza. „Na drugim odczycie, — mówi Prus — kiedy p. Spasowicz rzucił słówko, że Pol był tylko znakomitym a n t y k w a r j u s z e m, nie zaś historykiem, stojące z boku stadko młodzieży uderzyło brawo. Ten wybuch ciełej wesołości był tak niestosowny i dziwny, że ludzie rozsądni do dziś nie mogą zrozumieć powodu, dlaczego podobał im się tak wyraz a n t y k w a r j u s z i dlaczego np. nie dali brawa po wyrazie w s z a k ż e, albo p o n i e w a ż. Tajemnicze zjawisko, dowodzące nietyłe pomieszania pojęć, ile raczej klepek, niedobrze widać zlepionych. Ja sądzę, że powód oklasków był głębszy. Pol apoteozował b a t o g i, stosowane do niesfornej młodzieży, więc, gdy p. Spasowicz zrobił Pola antykwariuszem, a tem samem usunął bat, niby miecz Damoklesa zawieszony nad dzieciuchami, zainteresowana w sprawie część publiczności w taką wpadła uciechę, że aż zrobiła głupstwo. Osoby, kształcące swoje umysły w zakładach naukowych, uczynią dobrze, gdy zdań ludzi poważnych nie będą stawiać na wysokości piruetru, wykonanego przez baletnicę, a widzianego z paradyzu. Dobrze też uczynią, gdy na uroczystej prelekcji, na której krytyk druzgocze jedną z wybitniejszych dotychczas postaci i kiedy tysiące serc smutek ściska, zechcą zachować się inaczej, niż na „Orfeuszu w piekle“. W razie przeciwnym będziemy się domyślali, że w młodzieży tej, która przecie naszą przyszłość stanowi, zamarło uczucie i nie zakiełkował rozsądek“.

Cała Warszawa rozchwytywała numer „Nowin“ z feljtonem swego ulubieńca. Komentarzom nie było końca... Dziś sprawa takich oklasków przeszłaby bez żadnego wrażenia; wówczas, w najgorszej epoce niewoli, urosła do wielkiego wypadku, którego ofiarą padł niespodzianie Prus.

Nazajutrz po wyjściu z druku feljtonu o „cielęcej wesołości“ i „batogach“ zawrzało w grupie młodych socjalistów w Uniwersytecie. Zredagowano wspólnie wzór odwołania i zażądano od Prusa, aby je drukiem ogłosił. Odmówił. Wówczas grupa socjalistyczna przybyła do Prusa i zażądała od niego satysfakcji honorowej. Znacomity feljtonista nie zdawał sobie sprawy z rozdrażnienia młodzieży; chciał obrócić jej żądanie w żart.

— Moi panowie — zawołał — stanę wam na mecie, ale pod warunkiem, że będziecie do mnie strzelali wszyscy pokolei.

Treść tej odpowiedzi pochwyliła wnet plotka warszawska. Zaczęły krążyć różne ponure wersje o zamierzonej zemście obrażonych. Doszły one do wiadomości członków redakcji „Kurjera Warszawskiego“, którzy postanowili nie puszczać Prusa samego na ulicę. Po ukończonej pracy redakcyjnej, około trzeciej, grywał Prus za zwyczaj w szachy z redaktorem Wacławem Szymanowskim. Pewnego dnia wyszedł z redakcji w towarzystwie Bogusławskiego i redaktora faktycznego, Czapelskiego, którzy go odprowadzali do domu, przy ulicy Marjańskiej.

Gdy weszli na Plac Grzybowski, otoczyła ich gro-

madka studentów-socjalistów, ze Stanisławem Mendelso-
nem na czele. O tem, jak się ci studenci zachowali wobec
Prusa, krążą oddawna sprzeczne legendy. Ci i owi wy-
mieniają różne nazwiska uczestników, przypisując im na-
paść zbiorową. Najbardziej wiarogodna jest relacja Zy-
gmunta Herynga, pomieszczona w „Niepodległości“¹⁾,
Twierdzi on, że obrażeni za „cielejącą wesołość stadka
młodzieży“ studenci, postanowili na tę obelgę odpowie-
dzieć policzkiem. „Jeden z działaczy — mówi Heryng —
a mianowicie Sawicki, zgodził się wyrok ten wykonać,
a pozostali członkowie w milczeniu przypatrywali się te-
mu czynowi. Petersburskiej młodzieży socjalistycznej,²⁾
a zwłaszcza mnie i Wysłouchowi, zagorzałym wielbicie-
lom Prusa, wydała się ta brutalna napaść czemś wprost
ohydnem. To też, gdy Sawicki, po wygnaniu go z Uniwer-
sytetu Warszawskiego, zaszedł do nas (mieszkałem pod-
ówczas z Wysłouchem) i z zapalem o swym bohaterskim
czynie zaczął opowiadać, nietylko nie oszczędziliśmy mu
słów oburzenia naszego, lecz poprosiliśmy go, aby oso-
bistych stosunków z nami nie podtrzymywał“.

Napaść na placu Grzybowskim wywołała zbiego-
wisko. Nadeszła policja i zaprowadziła wszystkich stu-
dentów do cyrkułu przy ulicy Twardej. Podczas badania
wstępnego, Prus oświadczył:

— Nie mam do tych panów żadnej pretensji. Szukali

¹⁾ Tom III, zeszyt 1 (5), Warszawa, 1930.

²⁾ Heryng brał najpierw udział w ruchu socjalistycznym wśród
młodzieży polskiej w Petersburgu, skąd przyjechał do Warszawy.

kogo innego i napadli na mnie przez pomyłkę. Proszę ich uwolnić.

Wobec takiego postawienia sprawy, nie spisywano żadnego protokołu. Nazajutrz zavrzało ponownie w Uniwersytecie, ale tym razem już na wszystkich wydziałach. Zwołano zebranie i wyznaczono delegatów z każdego kursu. Odbyli oni posiedzenie, w liczbie sześćdziesięciu, w mieszkaniu przy ulicy Elektorальной, u kolegi Szyfra, późniejszego adwokata, a po odzyskaniu niepodległości, sędziego okręgowego. Na zebranie to wezwano kolegów-socjalistów z zamiarem odbycia nad nimi sądu koleżeńskiego. Wypowiedziano szereg mów, a najgoręcej przemawiał Józef Boguski, który później zasłynął jako znakomity chemik i uczony. Oskarżeni socjaliści żadnych napomnień koleżeńskich słuchać nie chcieli. Przyjmowali dawane im uwagi drwinami i opuścili zebranie.

Sprawa zatoczyła szerokie kręgi. W kilka dni później niektórzy z delegatów, biorących udział w zebraniu u Szyfra, otrzymali wezwanie do prokuratora Izby Sądowej. Był nim Wiaczesław Plehwe, głośny następnie minister spraw wewnętrznych, zamordowany w Petersburgu przez rewolucjonistów rosyjskich w r. 1904. Nie miał on widocznie dostatecznego doświadczenia żandarmskiego, zabrał się bowiem do badania w sposób dość naiwny. Uspokoił studentów zgóry, że wezwał ich nie w charakterze oskarżonych, ani nawet poszlakowanych. Zapewniał, że mogą z nim rozmawiać otwarcie, gdyż jest dokładnie poinformowany o zebraniu u studenta Szyfra, na dowód

czego zaczął im przytaczać treść poszczególnych przemówień delegatów. Za cel wezwania podał im niedwuznacznie nadzieję, że mu pomogą do wykrycia „szkodliwej“ organizacji studentów-socjalistów. Wezwani udali jeszcze bardziej naiwnych i odpowiedzieli, że nic nie wiedzą o socjalizmie wogóle i nie słyszeli o żadnej organizacji tego typu na terenie Uniwersytetu. Plehwe pożegnał ich z żandarmską uprzejmością.

Łatwo zrozumieć konsternację młodzieży. Wiadomość, iż prokurator przytoczył wezwanym prawdziwą treść ich przemówień na zebraniu u Szyfra, uderzyła jak piorun w organizacje studenckie. Wybrano przecież na delegatów sam kwiat młodzieży uniwersyteckiej, a tymczasem miał się wśród nich znaleźć zdrajca. Nikt temu uwierzyć nie chciał.

Zagadka wyjaśniła się później. Szyfer przypomniał sobie, że, na chwilę przed zebraniem, przybył do niego w odwiedziny student weterynarji, Huzarski, który jakoś sam wsiąkł w gremium delegatów, chociaż nikt go nie prosił, aby pozostał. Podejrzanie padło, oczywiście, na niego. Dalsze wypadki potwierdziły je najzupełniej. Dla pozorów, aresztowano Huzarskiego z kilkoma studentami, aby, mieszkając z nimi w jednej celi, mógł łatwiej dowiedzieć się od nich tajemnic organizacji. Później przyszło do studentów warszawskich zawiadomienie z kolonji polskiej w Paryżu, że spodziewają się przyjazdu prowokatora, nazwiskiem H u z a r s k i i proszą o jego fotografię.

Socjalistyczna grupa studencka rozproszyła się niebawem: Mendelson i Dłuski zbiegli zagranicę; Krusińskiego wysłano do Rosji, a po powrocie stamtąd osiadł w Warszawie i zmarł przedwcześnie w dwudziestym dziewiątym roku życia; Sawickiego zesłano na Syberję; Popławskiego do gubernji Wiatskiej i t. d.

Prus bardzo głęboko, niemal tragicznie odczuł napad na Placu Grzybowskim. Była to dla niego katastrofa moralna, której nigdy nie mógł zapomnieć. Narazie przestał pisać, wyjechał do Nałęczowa. Wstrząs nerwowy, jakiego doznał, wywołał w nim cierpienie, które go nękało przez całe życie a mianowicie: obawę przestrzeni (agorafobia).

*

Poznałem go w dwadzieścia lat później, w Paryżu. Pewnego dnia państwo doktorstwo Zielińscy zawiadomili mnie, że Prus przyjechał do Paryża i u nich zamieszkał. Zbieraliśmy się w ich mieszkaniu co wieczór niewielką gromadką i dążyliśmy do tego, aby w naszych rozmowach zwracać uwagę Prusa na te lub inne objawy życia francuskiego, zazwyczaj fałszywie u nas oświetlane. Podczas tych gawęd prześcigaliśmy się wzajemnie w informacjach. Dowiedziałem się wówczas poraz pierwszy o chorobie Prusa i o napadzie na Placu Grzybowskim, oświetlanym zresztą niedokładnie. Dopiero po powrocie moim do kraju, szczegółowszych wiadomości o tej sprawie udzielił mi jeden z delegatów młodzieży uniwersy-

teckiej z r. 1878, mecenas J. Śliwowski. Okazało się, że podróż do Paryża zaostrzyła jeszcze chorobę Prusa. Nie mógł wejść na oświetlone schody, nie mógł patrzeć przez okno, nie mógł przejechać przez most. Wynikały stąd niekiedy bolesne następstwa: w Berlinie Prus potłukł się mocno, wyskakując z dorożki, gdy ta wjeżdżała na most. Kolejami jeździł, o ile się dało, w nocy, a pomimo to odczuwał dotkliwie każdy wiadukt: ogarniało go nerwowe drżenie, po którym długo nie mógł dojść do jakiej takiej równowagi. Obawa przestrzeni sprawiła, że autor „Lalki“ zobaczył tylko jedną stronę Paryża, a mianowicie ulice, znajdujące się na prawym brzegu Sekwany.

Pragnęliśmy namówić go koniecznie, aby pojechał do Quartier Latin. Nie mogliśmy wyobrazić sobie nawet, ażeby świetny obserwator z „Kronik“ nie zobaczył w Paryżu tej jedynej na świecie pełni, frenezji i różnorodności życia, jakie tętniło w owe czasy na bulwarze St. Michel i w jego okolicach. Usiłowaliśmy przekonać Prusa, że go przewieziemy do Quartier Latin w taki sposób, iż nie poczuje zgoła mostu.

— Jakże się to stanie? — zapytał niedowierzająco.

— Właśnie w Auteuil jest jedno takie miejsce... — tłumaczyliśmy kłamliwie.

— W Auteuil? Co? może po tym najwyższym wiadukcie? — zawołał z oburzeniem.

Podstęp się nie udał. Prus wystudjował plan Paryża wybornie i chodził po ulicach z całą swobodą. Jeden z le-

karzy polskich osiadłych we Francji, próbował na swoją rękę tego samego podstępu. Wsiadł z Prusem do tramwaju przy Gare de l'Est i nie powiedział, dokąd jadą. Nagle, gdy tramwaj zatrzymał się na pięknym placu, zamkniętym z dwóch stron dwoma wielkimi gmachami, Prus zapytał:

— Co to za gmach?

— Teatr Châtelet — objaśnił towarzysz podróży.

— Ach, to zaraz będzie Sekwana, — zawołał Prus i wyskoczył z tramwaju.

Pewnego dnia zgłosił się do państwa Zielińskich jeden z organizatorów napadu na Placu Grzybowskiem z prośbą, aby mu wyjednali przyjęcie u Prusa. Pragnął złożyć mu swe hołdy i uzyskać przebaczenie za szaleństwo z przed lat dwudziestu.

— Nie, nie mogę — odpowiedział Prus z przygnębieniem. — Życie całe mi złamali...

Państwo Zielińscy otaczali znakomitego gościa najserdeczniejszą i najtkliwszą opieką. Niestety, mieszkali na pierwszym piętrze i w dodatku przy jedynym z największych placów paryskich, a mianowicie przy Place de la Nation. Każde przechodzenie przez ten plac męczyło Prusa niewymownie. Przechadzki po Paryżu odbywał sam. Nadmierna delikatność nie pozwalała mu korzystać z pomocy rodaków, którzy tłumnie oświadczyli gotowość do usług wielkiemu i ukochanemu pisarzowi. Obawa przestrzeni nękała Prusa coraz więcej. Zamie-

rzony dłuższy pobyt w Paryżu skrócił do dni dziesięciu. Pragnął, aby copędzej minęła męka powrotu koleją, po tylu, tylu mostach. Gdyśmy go odprowadzili gromadnie na kolej — był bardzo smutny, milczący i blady...

BOHATERSKI ŻYWOT

(W czterdziestolecie pierwszej książki
Wacława Sieroszewskiego)

W r. 1894 ukazała się w handlu księgarskim opowieść nieznanego pisarza, Wacława Sirki, p. t. „Na kresach lasów“. Dla zmylenia czujności cenzury, wydano ją w Petersburgu, chociaż nakładcą był L. Zwoliński w Krakowie. Krytyków olśniły nietyłe przygody głównego bohatera, Pawła Szczerbiny, ile wspaniałe opisy północno-syberyjskich krajobrazów, jedne z najpiękniejszych w naszej literaturze. W zakończeniu książki autor pomieścił wyrazy: „Jakutska Oblast“, 10 lutego 1891 r.“

Stawiano sobie pytania, jakie nazwisko ukrywa pseudonim: S i r k o? Sprawa wyjaśniła się szybko. Mieszkała w Warszawie siostra zamaskowanego autora, było też sporo kolegów i przyjaciół, którzy znali dramatyczne dzieje jego młodości. Ustna legenda ustaliła wkrótce takie szczegóły: Miał nazwisko — Wacław Sieroszewski. Urodził się w okolicach Radzymina, w starym polskim dworze, wypełnionym atmosferą bogatej tradycji. Ojciec a głównie jeden ze stryjów zamieszani byli w Powstaniu,

więc waliły się na Wólkę Kozłowską kontrybucje i postoje. Długi przyprawiły państwa Sieroszewskich o utratę majątku. Ojciec wyemigrował zagranicę, matka umarła a dzieci zabrali krewni, mieszkający w innych okolicach Polski. Gdy Wacio ukończył siedem lat, oddano go na naukę do III gimnazjum w Warszawie. Wykładano tam jeszcze po polsku. Wacio uczył się nietęgo, ale czytał namiętnie. W piątej klasie należał już do grupy „wolnomyślicieli“, którą utworzyło grono kolegów. Stał się zapalonym darwinistą i zwolennikiem lektury przyrodniczej. Zaniedbał łacinę i grecki, więc pragnął przenieść się do gimnazjum realnego. Zła cenzura zagrodziła mu i tę drogę. Waclaw, posłuszny ówczesnemu hasłu „pracy u podstaw“, postanowił nauczyć się rzemiosła, pomimo oporu swych opiekunów. Przez dwa lata terminował u ślusarza przy rogu Brackiej i Widoku. Po roku ciężkiej pracy, zaczął żarliwie studjować mechanikę i matematykę. Zapisał się do szkoły technicznej, założonej przez zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a kierowanej przez inspektora Wojnę. Jednocześnie pracował w warsztatach kolejowych, jako robotnik, z płacą 4 złotych dziennie. Posiadał więcej wykształcenia, niż wymagał kurs szkolny, więc inspektor Wojno zaopiekował się nim specjalnie, dostarczał mu książek, dopuścił go nawet do laboratorium chemicznego.

Oddychał młodziutki technik całą pełnią życia umysłowego, jednocześnie bowiem należał do tajnych, robotniczych kółek samokształcenia, w których czytano Milla,

Buckla, Büchnera i dyskutowano nad sprawami moralności, filozofji i polityki. Namiętne spory wywołało pytanie, postawione raz przez jednego z członków kółka: c o t o j e s t o j c z y z n a ? Wywołało ono rozłam wśród całej grupy młodzieńców. Sieroszewski, po długich rozmyślaniach, stworzył sobie sam taką definicję: „Ojczyzna — to szczęście i przyszłość prostego ludu“. Szukając do niej drogi, spotkał się z pierwszymi bojownikami socjalizmu polskiego.

W jesieni 1878 r. został aresztowany i osadzony w Dziesiątym Pawilonie, gdzie przebył rok i kilka miesięcy. Naczelnikiem więzienia był w owe czasy major Aleksandrowicz, człowiek śmieszny, ale wyjątkowo pobłażliwy dla uwięzionych. Okradał ich na jedzeniu, natomiast patrzył przez szpary na przekroczenia regulaminowe. Rozzuchwalili się do tego stopnia, że wydawali nawet własne, manuskryptowe pisemko rewolucyjne p. t. „Głos więźnia“, do którego artykuły i utwory składano w... pewnej ubikacji, skąd je zabierał redaktor. Sieroszewski nie miał podobno szczęścia do tego osobliwego sekretarjatu redakcyjnego: artykuły jego nie dochodziły jakoś do „redakcji“. Ocalał jedynie jego płomienny wiersz p. t. „Czego chcą oni?“, który w sferach robotniczych zyskał nadzwyczajną popularność i przetrwał w swej sławie do dnia dzisiejszego. Jest to pierwszy głos twórczy Sieroszewskiego: liczy już okrągłe 55 lat! Kończy się gorącym hymnem na cześć czerwonego sztandaru.

Rządy naczelnika Dziesiątego Pawilonu doprowadziły

do wypadku, który zaważył na całym życiu Sieroszewskiego. Młody, osiemnastoletni robotnik, Józef Bejte, usiłował zjednywać dla socjalizmu żołnierzy, stojących w Cytadeli na warcie. Pewnego razu, gdy odginał, jak zwykle, blachę nad lufcikiem, aby porozmawiać z nowym, nieznanym mu wartownikiem, rozległ się strzał: Bejte padł martwy, z przestrzeloną czaszką. Tragiczna wieść rozeszła się natychmiast po celach i wzburzyła do najwyższego stopnia wszystkich więźniów. Rozbijali stoły i stołki, łamali łóżka żelazne, rozwalali piece. Przybiegł natychmiast komendant Cytadeli, generał Ulrich. Gdy go ujrzał w swej celi Sieroszewski, wpadł w szal: wyrwał ramę okienną i uderzył nią generała w ramię.

Groziła mu w sądzie wojennym kara śmierci. Ocalił go sam gen. Ulrich, zeznając, że rama mimowoli wypadła z rąk oskarżonego. Skazano Sieroszewskiego na sześć lat „katorgi“.

*

Drogę na Sybir odbywał według starych przepisów rosyjskich o „katorżnikach“ i „zsylnych“*), najpierw w „aresztanckich“ wagonach i na statkach rzecznych z postojem w okropnych więzieniach etapowych, a później na „trójkach“, t. j. kibitkach, zaprzężonych w konie, które zmieniano na stacjach pocztowych. W ten sposób dowieziono się po wielu, wielu tygodniach do Krasnojarska.

*) Opisał ją później szczegółowo w relacji p. t. „Ciupasem na Sybir“ (Warszawa, wyd. „Roju“).

Tu, w więzieniu, wywołuje Sieroszewski nowy „bunt“: Jeden z zesłańców miał w kieszeni butelkę wódki, którą przemycał dla kolegów. Dostrzegli ją żołnierze-wartownicy, rzucili się na zesłańca, aby mu ją odebrać. Koledzy-zesłańcy nie domyślając się, o co chodzi, wyrwali towarzysza z rąk wartowników. Zjechały władze sądowe i policyjne. Zakuto więźniów w kajdany, a Sieroszewskiego i niektórych innych skazano pozatem na miesiąc „karceru“. Dalszą drogę do Irkucka (1000 kilometrów) odbywali skazańcy pieszo, wśród czterdziestu stopni mrozu i śnieżnych zawiei.

W Irkucku dowiedział się Sieroszewski, że na skutek starań siostry, zamieniono mu katorgę na „wieczne osiedlenie“ w najdalszych miejscowościach Wschodniej Syberji. Zesłano go do Wierchojańska, małej miłościny za kołem biegunowem, mającej zaledwie 23 domy. Mrozy dochodzą tam do 67° C., śnieg leży przez osiem miesięcy, a w zimie, w przeciągu sześciu tygodni, słońce wcale nie wschodzi; panuje nieprzerwana noc. Zastał tam Sieroszewski czternastu zesłańców politycznych, wśród których był także uczestnik Powstania 1863 r.

Pewnego dnia otrzymał dar wspaniały: siostra nadesłała mu całą skrzynię książek. Został uratowany: melancholja zniknęła, zrodziła się szalona myśl wyzwolenia. W r. 1882 małe miasteczko za kołem biegunowem wstrząśnięte zostało wydarzeniem niezwykłym: dziewięciu zesłańców zbudowało potajemnie łódź i zbiegło rzeką Janą do Oceanu Lodowatego, aby stamtąd, brzegiem morskim,

dotrzeć do Ameryki. Schwytano ich w mglistą, burzliwą noc na wyspach Oceanu. Śledztwo wykazało, że konstrukcją łodzi kierował Sieroszewski; że on również wykonał plany rzeki i wybrzeża morskiego, według wskazówek amerykańskich rozbitków ekspedycji podbiegunowej De-
longa.

Jako „pozbawionego praw“, skazano go na karę „plet-
ni“, t. j. pięciu uderzeń batogiem o trzech końcach, za-
opatrzonych w ostre szpony żelazne. Kilka uderzeń takie-
go batoga zabija człowieka lub czyni go kaleką na całe
życie. Na szczęście, brakło w Wierchojańsku samego na-
rzędzia oraz kata do tej operacji. Generał-gubernator
Wschodniej Syberji przeznaczył Sieroszewskiemu wieczy-
ste osiedlenie „na kresach lasów“, w miejscowości odle-
głej o sto wiorst od wszelkiej rzeki, drogi handlowej oraz
miasta. Dodano mu w drogę, jako strażnika, młodego ko-
zaka oraz przewodnika. Musieli przebyć w zimie 1200
kilometrów do Kołymska, wśród straszliwych mrozów. Gdy
reny, które ich wiozły, padły ze znużenia, wsiedli na ko-
nie. W pewnym momencie Sieroszewski zasnął, zdawało
się na śmierć, z mrozu. Z wielkim trudem zdołano go
ocalić.

W Kołymsku naczelnik kraju, Polak, Kaczorowski,
z miejsca pokazał Sieroszewskiemu papier, nakazujący
wysłanie go do miejscowości „odległej o 100 wiorst od
miasta, 100 wiorst od rzeki i 100 wiorst od drogi han-
dlowej“. Dwa lata przetrwał Sieroszewski w Andyłachu
i w Jąży, wiosce posuniętej jeszcze dalej na północ. Na

mieszkanie otrzymał lodowaty grób: ciemną jurtę jakucką. Tubylcy trudnili się w lecie rybołówstwem i myśliwstwem a w zimie przeważnie spali, zagrzebani w futrach; Sieroszewski zaś, siedząc u płonącego ogniska, tonął w rozpacz bezsilności i osamotnienia. Stworzył wówczas „Chajłacha“, „Jesienią“ i „Skradzionego chłopca“, utwory drukowane później w „Głosie“ warszawskim. Z braku papieru, pisał na marginesach starych gazet, na tabliczkach drewnianych, używając atramentu własnej fabrykacji.

Dzięki nowemu manifestowi i usilnym staraniom siostry, osiedlono go w r. 1884 nad Ałdanem, dopływem Leny. Po kilku latach przenoszą go do Namskiego Ułusu, miejscowości o klimacie łagodniejszym, o sto wiorst od miasta Jakucka. Próbuje teraz Sieroszewski zorganizować sobie życie codzienne. Otrzymałszy kawał ziemi, oddaje się rolnictwu: sam sieje, orze, kosi i zbiera zboże. Jednocześnie gromadzi z zapalem materiały etnograficzne, czyta namiętnie książki, pożyczone od swych towarzysów-zesłańców w Jakucku. Wieczorami pisze, teraz już z pewną swobodą. W Namskim Ułusie ukończył właśnie opowieść „Na kresach lasów“.

*

Manifesty carskie wracają Sieroszewskiemu stopniowo prawa: w r. 1893 został chłopem i przeniósł się do Irkucka. Spóźnił się na parowiec i drogę odbywać

musiał na łodzi, holowanej przez „burłaków“ (opisał ją w powieści „Powrót“). W Irkucku żyje jakiś czas z zarobków dorywczych: otrzymał nominację na... nauczyciela tańców w gimnazjum żeńskim, ale w ostatniej chwili żandarmerja zabroniła mu dostępu do młodzieży szkolnej; pracuje więc u architekta miejskiego, pomaga sekretarzowi magistratu, pełni funkcje maszynisty przy parowej maszynie straży ogniowej i t. d.

Zabłysła wreszcie szczęśliwsza gwiazda, która zaprowadzi go niebawem do lepszej przyszłości. Bogata firma Gromowych, handlująca futrami, ofiarowała Sieroszewskiemu 50 rubli pensji miesięcznej dla opracowania materiałów etnograficznych, które zebrał wśród Jakutów. Nadto zobowiązała się wydać książkę swoim kosztem. Przez półtora roku ślęczy Sieroszewski nad tą pracą. Słynny podróżnik i uczyony, N. Potanin (późniejszy prezydent Rzeczypospolitej Zachodnio-Syberyjskiej) poradził mu, aby, dla uzyskania powrotu do ojczyzny, zwrócił się do instytucji, która mu przyrzeknie wyrobienie tego prawa. Dał mu list polecający do wice-prezesa Tow. Geograficznego w Petersburgu, Siemionowa. Wyrusza Sieroszewski do Petersburga i otrzymuje obietnicę, że po wydaniu po rosyjsku swej książki o Jakutach, będzie mógł wrócić do Polski.

Przekazuje Sieroszewski Tow. Geograficznemu 5000 rb., które na wydanie książki ofiarowała firma Gromowych, pracuje w ciągu kilkunastu miesięcy po bibliotekach i muzeach etnograficznych i wreszcie — ogląda swe

dzieło p. t. „Jakuty“ na półkach księgarskich. Towarzystwo Geograficzne przyznało księdze Sieroszewskiego złoty medal, inne towarzystwa naukowe obsypały go zaszczytami. Rząd zezwala Sieroszewskiemu na powrót do ojczyzny za paszportem „irkuckiego mieszczanina“.

*

Po piętnastu latach osiedlenia na Syberji, przyjeżdża Sieroszewski w r. 1896 do Polski, jako znany już pisarz. Jakiś czas przebywa na Suwalszczyźnie, w majątku towarzysza lat szkolnych, p. Górskiego i tam pisze: „W matni“ (1897) i „Wśród lodów“ (1898). Następnie zwiedza Krym, pobrzeże morza Kaspijskiego i Kaukaz, skąd przywozi powieść „Risztau“ (1899). W następnym roku ogłasza „Brzask“ i „Latorośle“ oraz polski przekład swej wielkiej pracy etnograficznej p. t. „Dwanaście lat w kraju Jakutów“.

Nie na długo pozwolono Sieroszewskiemu cieszyć się odzyskaną wolnością. W r. 1900 zamknięto go znowu w Dziesiątym Pawilonie. Żandarmerja znalazła podczas rewizji u prof. Korzona jakiś list, w którym wymieniono nazwiska Żeromskiego i Sieroszewskiego. Na podstawie tego listu, oskarżono ich o zorganizowanie pochodu robotniczego dookoła pomnika Mickiewicza, w dniu jego odsłonięcia i przypisano im autorstwo płomiennej proklamacji, jaka kursowała po Warszawie z tej okazji. Autorami tej proklamacji byli: Józef Piłsudski i Stanisław

Wojciechowski; żandarmi jednak dopatrywali się w niej koniecznie „literackiej ręki“.

Zeromskiego ocalił przed więzieniem krwotok; Sieroszewskiego wypuszczono z Cytadeli za kaucją, ale, po roku, zawiadomiono go, że będzie musiał wracać „na rodzinę“, t. j. do... Irkucka, gdzie go wpisano do ksiąg ludności. Znowu Sieroszewski kołacze do Siemionowa w Tow. Geograficznem. Tym razem sprawa jest trudniejsza, wobec autonomji politycznej generał-gubernatora warszawskiego. Siemionow zaproponował Sieroszewskiemu wyjazd do Mandżurji i Japonji w charakterze kierownika ekspedycji naukowej dla badania życia Ajnów. Ciężko było Sieroszewskiemu porzucić dom rodzinny (świeżo się ożenił) i ojczyznę, ale propozycję przyjął pod warunkiem, że dodany mu będzie do pomocy Bronisław Piłsudski (starszy brat Marszałka), zesłaniec, przebywający wówczas na Sachalinie. Bron. Piłsudski poznał doskonale język Ajnów i był wśród nich tak popularny, że go tytułowano zazwyczaj „królem Ajnów“. Zwiedził więc Sieroszewski pod przymusem: Chiny, Mandżurję, Japonję, Sachalin i Koreę i wrócił do Europy w r. 1904, w przededniu wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej. Przywiózł obfity materiał naukowy i powieściowy, anegdotyczną zaś stronę wyprawy opisał w książce p. t. „Wśród kosmatych ludzi“.

Nadeszła rewolucja 1905 r. Sieroszewski bierze gorący udział w ruchu „wolnościowym“, jeździ wielokrotnie do Moskwy i Petersburga, jako delegat dla pertrakta-

cyj z działaczami rosyjskimi. Aresztowany dwukrotnie, zostaje zwolniony pod naciskiem zrewolucjonizowanej ludności stolicy. Ucieka do Galicji i w Zakopanem oddaje się znowu pracy literackiej. W r. 1910 wyjeżdża do Paryża, gdzie pisze „Beniowskiego“ i „Ocean“ a jednocześnie ćwiczy się do przyszłej służby żołnierskiej w paryskiej sekcji „Związku Strzeleckiego“. W r. 1914, Sieroszewski, — 54-letni żołnierz — wcielony zostaje do drugiej kompanii kadrowej, walczy w pierwszych bitwach w Kielcach, pod Brzezinią i w szeregu innych bitew, zrazu jako piechur I pułku a następnie jako ułan oddziału Beliny.

Po roku pobytu na froncie, wysłała go Komendant do Krakowa, Lwowa, Wiednia i Warszawy dla prac politycznych. Wchodzi Sieroszewski do Centralnego Komitetu Narodowego, w którym prowadzi tajne biuro prasowe. W r. 1916 zjawia się w Lozannie, na „Kongresie Ludów uciśnionych przez Rosję“ i broni zasady niepodległości Polski. Jako członkowi P. O. W., grozi mu, po aresztowaniu Komendanta, wywiezienie do obozu koncentracyjnego. Ukrywa się Sieroszewski mozolnie. Tuła się z miast do miasta, potem wraca potajemnie do Warszawy, gdzie w r. 1918 aresztują go Niemcy na zebraniu Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, którego był prezesem. W zamęcie aresztowań, zdołał Sieroszewski zbiedz. Dopiero po wystąpieniach zbrojnych P. O. W., ukazuje się jawnie w Warszawie, prowadzi z ramienia lewicy pertraktacje z rządem Świeżyńskiego o utworzenie gabinetu nie-

podległościowego. Gdy się to nie udało, wyjeżdża do Lublina, i tam, po wypędzeniu okupantów, wchodzi w skład rządu lubelskiego, jako minister propagandy. Prezydent gabinetu lubelskiego, Daszyński, wysyła go do Warszawy dn. 9 listopada 1918 r. dla zorganizowania akcji wypędzania Niemców ze stolicy. Przybywa Sieroszewski do Warszawy i zastaje już Piłsudskiego, pod którego rozkazy oddaje się niezwłocznie.

Po odzyskaniu Niepodległości, wraca Sieroszewski do literatury. Jednocześnie współdziała gorąco w organizacji życia literackiego, staje na czele „Związku Zawodowego Literatów“ oraz „Centralnego Związku Stowarzyszeń Literackich“, wreszcie — mianowany zostaje pierwszym prezesem Akademii Literatury.

*

Fenomenalny żywot Wacława Sieroszewskiego jest najciekawszym i najbardziej przejmującym jego utworem. Pisał go krwią serca, krwią bohaterską. Wiąże się z nim najściślej cała jego twórczość, będąca już to transpozycją wrażeń „osiedleńca“, już to historją jego najgłębszych przeżyć własnych. Przywiózł Sirko na Syberję takie bogactwo młodzieńczego zapału, że zesłanie umocniło raczej jego dzielną postawę wobec życia. Obserwował z zupełną pogodą obyczaje i uczucia dzikich ludzi i poczuł się ich bratem. Nie przeraziły go groźne obrazy przyrody polarnej; przeciwnie, gdy wchłaniał ich piękno, uczuwał frenetyczną radość życia. Budzi się w nim, wśród najokrop-

niejszych warunków, artysta, który maluje grozę wydarzeń z dosadnością barw, nieznaną najzuchwalszym naturalistom.

Egzotyizm Sieroszewskiego — to przedewszystkiem historia ideowych Robinzonów polskich, zepchniętych na samo „dno nędzy“, z którego mają już nigdy nie wrócić do swego środowiska, do swego społeczeństwa, do budowania jutra swego kraju. Sieroszewski przywiózł do dzikich Jakutów: dziecięcą niemal prostotę serca i — głęboki, niczem nie zmącony optymizm. Pozwoliły mu one nie tylko odnaleźć biednego człowieka na najdalszych „kresach lasów“, na biegunie zimna, ale nie utracił ani na chwilę wiary w lepszą przyszłość ludzkości. Wiary tej udziela Sieroszewski w opowiadaniach wszystkim swym zesłańcom, którzy budują wciąż... olbrzymie pałace marzeń o wolności i ojczyźnie. Żaden z nich nie poddaje się całkowicie rozpaczcy osamotnienia. Tęsknoty ich i katyjsze wiążą się od pierwszej chwili z życiem i niedolą ciężkiego bytu tubylców. W ten sposób najboleśniejże poczucie niemocy przestaje być oderwaną tragedją jednostki, wyrzuconej poza społeczeństwo cywilizowane.

Bohaterów swych stawia Sieroszewski przedewszystkiem przed obliczem natury, którą maluje z mistrzostwem. Z tego źródła mają czerpać siły i otuchę do dalszego istnienia. Napozór taki zesłaniec jest tylko drobnym ogniwem w ogólnym układzie życia mieszkańców dalekiej północy. Wkrótce jednak spostrzegamy, że rozpalony duch „posieleńca“ rzuca na tych dzikich ludzi

i przyrodę tak osobliwe światło, że, odtwarzając w wyobraźni krajobrazy, rozważając czyny i troski tubylców, mimowoli kierujemy wzrok ku samemu ognisku światła. I dzieją się wówczas rzeczy szczególne: chociaż o cierpieniach swych bohaterów mówi Sieroszewski z niezmierną powściągliwością, — wystarczy pierwsze lepsze zdanie, rzucone przez któregokolwiek z nich, aby się przed oczyma duszy czytelnika rozwarła czarna bezdeń bólu ludzkiego. Najgłębsza treść mieści się wówczas nie w słowach wypowiedzianych, ale — w potężnej wymowie m i l c z e n i a. Malownicze przygody stają się epopeją, w której bohater milczy, ale cierpią wraz z nim wszystkie żywioły natury.

Piętnaście lat, spędzonych poza kulturą, na wgłębianiu się w tęsknoty własne i cudze, na obcowaniu z życiem pierwotnem — odsunęły Sieroszewskiego od skomplikowanych przejawów psychiki, którą znalazł w ojczyźnie. Szuka wokół siebie ludzi, ulepionych z jednej bryły, do jedyne go dążących celu, prostych a niezłomnych, przepełnionych do dna swego jestestwa ideałem. Jeden wzbudził w nim podziw nad podziwy, więc mu poświęcił najpłomienniejszą swoją książkę („Józef Piłsudski“).

Z pisarza tęsknoty i nostalgji, stał się Sieroszewski po powrocie do Polski epikiem egzotyizmu, który pozostaje w ciągłym porozumieniu z działaczem społecznym. Potrzebuje zawsze bezpośredniego oddziaływania środowiska realnego na swoich bohaterów. W naszym środowisku nie dostrzega ani tej prostoty, którą kocha nadewsz-

stko, ani też dostatecznej ilości barw. Zajmuje go nieustannie taki tylko człowiek wewnętrzny, który cierpi i walczy o wyzwolenie z wszelkiej niewoli. Poza nim, poza dramatem jego wzlotów i przymusowych upadków — wszystko inne jest dla Sieroszewskiego-artysty troską bez głębszego znaczenia.

*

Sieroszewski jest w literaturze naszej zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju. Może o sobie powiedzieć słowami Montaigne'a: „Stworzyłem swoje dzieło tyleż, ile ono mnie stworzyło“. Stąd płynie zadziwiająca jedność całego dzieła.

Przy jubileuszowych rozważaniach tej jedności niech mi wolno będzie złożyć koleżeński hołd Wacławowi Sieroszewskiemu, jako męczennikowi syberyjskiemu, znakomitemu Pisarzowi, żarliwemu Bojownikowi Niepodległości, Człowiekowi szlachetnego i wielkiego serca.

„SZTANDAR ZE SPÓDNICY”

Pierwsze nowele Zapolskiej zyskały osobliwy rezonans, którego skalę odnaleźć można chyba w rezonansie dzisiejszej kampanji o „świadome macierzyństwo” i „życie ułatwione”. W zdławionej przez zaborców działalności politycznej, ukazanie się zuchwałego, samorodnego talentu urastało łatwo do rozmiarów wielkiego wydarzenia, około którego tworzyła się natychmiast sensacyjna legenda. Tak się stało zwłaszcza po „Małaszce” Zapolskiej, którą „Przegląd Tygodniowy” wydrukował w r. 1884 po „Kurjerze Lwowskim”. W dobie literackiego panowania Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, jaskrawość Zapolskiej drażniła i gorszyła wszystkich świętoszków i obłudników. Adam Wiślicki w owe czasy był gorącym zwolennikiem naturalizmu, wydawał przy „Przeglądzie Tyg.” pisma Zoli, więc nowele Zapolskiej przyjmował chętnie, płacąc... po dwie kopiejki od wiersza. Młoda, dwudziestoosmioletnia pisarka stała się przedmiotem szerokich zainteresowań personalnych. Skąd się wzięła? Jakie są szczegóły jej życiorysu?

Ustalono je łatwo:

Urodziła się w pałacu magnackim, w Kiwircach, pod Łuckiem. Ojciec jej, Wincenty Korwin Piotrowski, człowiek wyjątkowo religijny, prowadził za młodu życie ascetyczne. Zbudował sobie w pałacu kaplicę, w której modlił się nieustannie. Matka, zaniepokojona tym stanem rzeczy, uprosiła raz jednego z sąsiadów, aby pojechał z jej synem do Warszawy, gwoli rozerwania go i wydobycia z monomanji religijnej. Wycieczka ta miała skutek nieprzewidziany: pan Wincenty poszedł z towarzyszem do Opéry, zobaczył tam słynną ze swej piękności primabalerinę, Józefę Karską, zakochał się w niej z miejsca i wkrótce potem ją poślubił. Obrany marszałkiem szlachty wołyńskiej, p. Wincenty Piotrowski żył na wielkiej stopie. Oprócz Kiwirc, posiadał jeszcze Podhajce, utrzymywał mieszkanie w Warszawie, jakiś czas — we Lwowie, gdzie Gabryela, pod opieką matki, uzupełniała swe domowe wykształcenie na pensji pani Horoszkiewiczowej. W r. 1878 wyszła za mąż, za syna ziemianina kresowego, Konstantego Śnieżko-Błockiego, porucznika gwardji rosyjskiej. W roku 1880 wystąpiła poraz pierwszy na scenie teatrzyku przy Tow. Dobroczyńności, pod egidą M. Gawalewicza. To zdecydowało o jednym z dwóch kierunków jej przyszłej działalności artystycznej. W tym samym czasie zaczęła pisać. „Literaturze — mówi w swej autobiografji — poświęciłam się, próbując sił z nudów, jako „piękność warszawska“ — a potem odrzuciłam nudy i zrozumiałam, że w tem tkwi właściwe moje życie“. Po trzech latach Zapolska opuściła męża

śródm fatalnie skomplikowanych okoliczności, które stały się obfitym żerem dla zgłodniałej zawsze plotki warszawskiej. Wyjechała na jakiś czas do Wiednia. Ulegając naleganiom rodziców, powróciła do Warszawy. Rodzice niechętni byli jej zamiłowaniu scenicznemu, nie wierzyli zapewne w jej talent aktorski. Przyszłość pokazała, że się nie mylili: Zapolska była aktorką drugorzędną, chociaż złudzenia w tej dziedzinie nigdy jej nie opuszczały: podobno kazała sobie włożyć pod głowę do trumny szarfę od wieńców, które otrzymała na scenie. Rodzice, po jej powrocie z Wiednia, pragnęli ją skłonić do całkowitego poświęcenia się twórczości literackiej, ale o kierunku mniej jaskrawym, niż dotychczas. P. Piotrowski wyjednał swymi stosunkami, że Zapolską przyjęto do klasztoru Wizytek w charakterze pensjonariuszki. Spodziewali się rodzice, że tą drogą odzyska równowagę i zejdzie z oczu plotkarzom warszawskim, którzy zbyt skwapliwie zajmowali się młodą aktorką i literatką. U Wizytek przebyła Zapolska cztery miesiące, aż pewnego dnia oświadczyła: „Chcę ze mnie zrobić nową Genowefę, ale — nic z tego“. Rzuciła klasztor, wyjechała do Krakowa, wstąpiła do wędrownego trupy Woźniakowskiego, z którą jeździła po miastach prowincjonalnych wszystkich trzech zaborów.

Z pobytu u Wizytek narodziło się później „Przedpiekle“, a tymczasem pisywała dalej Zapolska nowele. Powstał z nich obszerny zbiór p. t. „Akwarele“, wydany w r. 1885 przez Teodora Paprockiego. Ta pierwsza

książka uzyskała rozgłos, jakiego nie oczekiwał nikt, a przedewszystkiem — sama autorka. Krytyka rzuciła się na „Akwarele“ w sposób niezwykle w ówczesnej atmosferze brutalny i gwałtowny. Nie dziwiono się zbytnio, że Publicola (pseudonim Włodzimierza Zagórskiego) zaczął w „Słowie“, w imię obrażonej cnoty, rąbać nowe Zapolskiej wielkiem szabliskiem, bo na szczęście to szablisko było drewniane a może nawet sklezione z „papier maché...“ Ale powodem długotrwałego skandalu literackiego stał się obszerny, zjazdliwy artykuł w „Prawdzie“ (Nr. 35 z d. 29. 8. 1885) p. t. „Sztandar ze spódnicy“, podpisany pseudonimem: Wiat. Artykuł ten (jak się potem okazało) napisał Jan Popławski, jeden z późniejszych twórców ideologii narodowo-demokratycznej, który w owym czasie przebywał w Wiatce, dokąd go zesłano za działalność socjalistyczną. Popławski zmiażdżył „Akwarele“ z niewiarogodną pasją. „Rozmaite — pisał — Marje, Magdaleny, Elwiry, Maranthosy i t. d., cała ta wyjątkowa nędza literacka, to — wesołe i obdarzone dobrą pamięcią papużki, które powtarzają cudze myśli, cudze zdania, cudze obrazy, przedrzeźniając je w swym ptasim świergocie. W utworach tych nie znajdziesz nic nowego, nic żywego, żadnych spostrzeżeń, żadnych rysów kopjowanych z natury, ale jedynie oklepane ogólniki, przerobione aforyzmy, sto razy powtarzane szablony. Do tej kategorii należą „Akwarele“ p. Śnieżko-Zapolskiej“.

Utrzymana w tym tonie analiza poszczególnych utworów zbioru, mogła była zabołec młodą autorkę, ale nie

wychodziła jeszcze z zakresu specyficznje pojmwanej „krytyki“. Popławski jednak nie poprzestawał na tem: dotknął Zapolską osobiście. Nazwał ją „osobą romansową z rozkiełznaną wyobraźnią“, twierdził, że „we wszystkich prawie utworach p. Zapolska występuje sama jako bohaterka“, że w nowelach jej „widoczne są reminiscencje przeżytych uczuć i zdarzeń“. Wreszcie odważył się na zarzut bardzo ciężki: zapewnił, że „Małaszka jest nieudatną przeróbką rosyjskiej powieści, drukowanej w jednym z pism wychodzących w Charkowie“, zaś „obrazek: G d y b y ś o ż y ł a jest przeróbką z francuskiego, przeróbką tak bliską oryginału, że nudny formalista nazwałby ją plagiatem“. W zakończeniu Popławski wyjaśnia tytuł swego artykułu taką... wyszukaną „pointą“: „Marta Orzeszkowej jest powieścią słabą, ale autorka podniosła w niej sztandar idei, około którego zgrupowali się jej zwolennicy; p. Zapolska, zamiast chorągwi, wywiesiła czerwoną spódnice; pod takim znakiem odbywać się mogą tylko zapasy miłosne młodych byczków“.

*

Zapolska poznała te oskarżenia we Lwowie, gdzie była wówczas na występach. Ogłosiła w „Kurjerze Codziennym“ (Nr. 249 z d. 9.9.1885) list, w którym, stwierdzając rzuconą na nią potwarz, pisze: „Autor artykułu „Sztandar ze spódnicy“ zarzuca mi kradzież literacką, pisząc o jakimś charkowskim dzienniku, w którym pierwotnie miała wychodzić nowela, służąca mi za wzór

do „Małaszki“. Rosyjski język jest mi zupełnie obcy, więc z trudnością przyszedłoby mi przeczytać kilka słów w tym języku. W każdym razie, pragnąc wyświetlić istotny stan rzeczy, wzywam autora artykułu o złożenie w redakcji „Świtu“ pierwodruków dwóch zakwestjonowanych nowel, a to „Małaszki“ w języku rosyjskim i „Gdybyś ożyła“ w języku francuskim. Jeśli to uczyni do dni dziesięciu, sąd z osób kompetentnych, z zaproszonym przeze mnie, czcigodnym J. I. Kraszewskim na czele, porówna oba utwory i wyda wyrok, którego ze spokojnem zupełnie sumieniem oczekiwać będę“.

Popławski na wezwanie odpowiedzieć zaraz nie mógł, bo był w Wiatce; Kraszewski zaś odsiadywał więzienie w Magdeburgu. Do zamierzonego sądu honorowego nie doszło. Wydawca „Akwarel“ poradził Zapolskiej, aby wniosła skargę do sądu. Popławski, w odpowiedzi na list ogłoszony w „Kur. Codziennym“, nadesłał w dwa miesiące później „wyjaśnienie“ wydrukowane w „Prawdzie“ (Nr. 46 14.XI. 1885), w którym wycofuje się zlekką z jednego zarzutu i mówi, że nie może „napewno twierdzić, czy „Małaszka“ jest rzeczywiście przeróbką z rosyjskiego, zarzut ten jednak w tej formie uczyniony został publicznie w prasie i autorka nie uważała za stosowne zbić go“. Natomiast wzmacnia swój drugi zarzut, oświadczając: „powiastka „Gdybyś ożyła“ jest co do treści w drobnych szczegółach nawet podobną do utworu Enaulta „Mademoiselle Galathée“, takie zaś przywłaszczenie cudzego pomysłu jest poprostu plagja-

t e m, ja zaś przez grzeczność nazwałem go tylko p r z e-
r ó b k ą“. Popławski wrócił właśnie w tym czasie z ze-
słania, więc „Wyjaśnienie“ podpisał już swoim nazwis-
kiem. Był również na wstępnej rozprawie w sądzie po-
koju (d. 7. XI. 1885), gdzie wyznał, że jest autorem ar-
tykułu „Sztandar ze spódnicy“.

Proces właściwy odbył się d. 9 kwietnia 1886 r. w
drugim wydziale sądu okręgowego, pod przewodnic-
twem Timanowskiego. Rozprawa była istotną „cause
célèbre“. Zapolska na sprawę nie przybyła, co jej niewąt-
pliwie zaszkodziło w oczach sądu; dała pełnomocnictwo
swemu adwokatowi, Antoniemu Pileckiemu. Oskarżenie
skierowano nie tylko przeciw Popławskiemu, ale i prze-
ciw redaktorowi „Prawdy“, Aleksandrowi Świętochow-
skiemu. Obronę prowadził adwokat Szyff. Salę wypeł-
nili po brzegi: literaci, dziennikarze oraz studenci Uni-
wersytetu, dla których Świętochowski był bożyszczem.
Obowiązki tłumacza przysięgłego pełnił Franciszek No-
wodworski, który jednocześnie ogłaszał w „Kurjerze
Warszawskim“ przez trzy dni bardzo wyczerpujące spra-
wozдания z procesu. Popławski, w odpowiedzi na pyta-
nia, dlaczego tak późno dał swe „wyjaśnienie“ po liście
Zapolskiej w „Kur. Codziennym“, oświadczył, że od r.
1878 zajęty był niemal ustawicznie „podróżami na koszt
rządu, do różnych mniej lub więcej odległych miejsco-
wości Cesarstwa“ („putieszestwował na kazionnyj szczo-
pa mienieje ili boleje atdalonnym gubernijam im-
pierji“).

Pilecki miał przed sobą przeciwników bardzo groźnych. Szyff szydził, ironizował i znęcał się nad Zapolską; Świętochowski zaś, który wysunął się na czoło rozprawy, wyniosłością swą i okrucieństwem zaimponował sędziom rosyjskim. Oto kilka ustępów z jego przemówienia: ..., „Powieści p. Zapolskiej nie czytałem był wtedy. Zbyt jestem pracą zajęty, iż bym mógł czytać takie rzeczy. Dopiero teraz, gdy z ich powodu stałem się oskarżonym, przeczytałem je. Gdyby p. Popławski nie był stawiał się dobrowolnie do sędziego pokoju, naturalnie przyjąłbym na siebie całą odpowiedzialność za artykuł. Lecz jeśli pierwotnie uczyniłbym to dla redakcyjnego honoru, to teraz uczyniłbym to z przekonania; ponieważ przeczytawszy owe „Akwarele“, nietylko nie mogę uznać winy w inkryminowanym artykule, ale przyznaję, że gdybym ja pisał tę krytykę, to napisałbym ją daleko ostrzej. Mówię to nie dla tego, iżbym się tem chciał bronić od kary, boć wiem, że są tu sprawozdawczy dzienników, którzy moje słowa podadzą do publicznej wiadomości. Wyrażam zatem swoje głębokie przekonanie o tych utworach. Jest to jedno nic; jest to fabrykat najmizerniejszy i najniedorzeczniejszy, i jeśli czego żałuję w tej sprawie, to chyba tego tylko, że mnie skazała na mękę i niesmak odczytania 280 stronic „Akwareli“. Są to rzeczy niemożliwe. Jest to walka z logiką i artyzmem na każdym kroku. I dopiero teraz rozumiem intencję skargi. To jest skarga małości, która gwałtem chce zostać wielką... Przed wydrukowaniem artykułu, ja sam go czytałem i nie znalazłem

w nim nic obelżywego. Nie znalazł tam nic takiego i cenzor. Nie myślę bynajmniej zasłaniać się cenzurą od własnej odpowiedzialności. Aleć skoro cenzor artykuł puścił, to znaczy, że w nim nic ubliżającego autorce nie dostrzegł... Wielką obrazę widzi p. Zapolska w zarzucie przeróbki literackiej. Widocznie mniema, iż należy do wyjątkowo genialnych osób. Tylko genjusz bowiem daje bryłę swego samorodnego złota, z którego talenty wyrabiają monetę i rozdają ją po całym świecie, a świat tem żyje. Talenty zaś takie, jak p. Zapolska, nie tworzą nic samodzielnie; ale to jej nie ubliża, bo nie może być czynem krzywdzącym to, co jest uprawnionym obecnie rodzajem literackim... W interesie literatury, który mi tu bardziej niż własny leży na sercu, proszę szanownych sędziów, iżby nam nie tworzyli niebezpiecznego precedensu dla ludzi, którzy, tak jak pani Z., zapragną skarżyć nie nasze istotne winy, lecz nasze surowe o nich sądy“.

Do takich samych wniosków doszedł obrońca oskarżonych, adw. Szyff, który wyraził nadzieję, że wyrok „przekona p. Zapolską niewątpliwie, iż autorka średniego pokroju, chorująca na wielkość, nie może żądać od sądu uznania jej talentu“.

Pilecki oskarżenie swe podtrzymywał słabo, bez swady. Pozwolił obrońcy ominąć zarzut plagiatu ze strony J. Popławskiego.

Sędziowie wydali orzeczenie następujące: „1) W inkryminowanych przez powódkę ustępach zamieszczonej w „Prawdzie“ recenzji jej utworów nie przytoczono żad-

nym określonych faktów, któreby czci i sławie pani Śnieżko-Zapolskiej zaszkodzić mogły; 2) Zarówno owe oddzielne ustępy, jakoteż cały wogóle artykuł p. Popławskiego, pod względem swej formy, charakteru i treści nie zawierają żadnych danych, któreby stwierdzały, iż sprawozdawca rozgłosił jakiśkolwiek bądź fakt hańbiący, odnoszący się do prywatnego lub społecznego życia pani Śnieżko-Zapolskiej; 3) W danym razie cały inkryminowany artykuł — i co do swej istoty, i co do formy zewnętrznej — aczkolwiek napisany ostro i uszczypliwie, nie wykracza jednak poza szranki upowszechnionego sposobu krytyki literackiej; 4) Wytoczone przez panią Śnieżko-Zapolską dochodzenie karne o potwarz, nie tylko jest nieudowodnione, lecz nawet w zasadzie nie posiada cech prawnych, które stanowią istotę przestępstwa zagrożonego § 1535 kod. karnego, albowiem przeróbka literacka, o jakiej wspomniał p. Jan Popławski, nie stanowi czynu, przeciwnego zasadom honoru; 5) Wobec braku w czynach p. Jana Popławskiego cech tych przestępstw, które mu skarga prywatna przypisywała, upada też sama przez się kwestja odpowiedzialności redaktora „Prawdy“ p. Aleksandra Świętochowskiego“.

Młodzież uniwersytecka, zgromadzona na sali, powitała ten wyrok oklaskami, na co przewodniczący oświadczył: „Sala sądowa — to nie teatr!“...

*

Proces ze Świętochowskim i Popławskim przegrała Zapolska w sądzie. Ale w opinii publicznej przegrana nie była d o w i e d z i o n a. Niektóre szczegóły obrony (zwłaszcza ze strony Świętochowskiego) budziły niesmak a nawet oburzenie. Szereg publicystów wystąpił z ostrą krytyką postępowania Świętochowskiego i bronił Zapolskiej. Pierwszy atak rozpoczął dotychczasowy wydawca i przyjaciel Świętochowskiego, Adolf Dygasiński, który w „Wędrowcu“ (Nr. 15 z r. 1886) ogłosił art. p. t. „Literacki atak przed sądem“. Podkreślił on, że adw. Szyff, na udowodnienie, iż Zapolska przerobiła swój utwór „Gdybyś ożyła“, przedstawił... telegram od księgarza w Paryżu, donoszący, że oryginał „Mademoiselle Galathée“ Enaulta jest wyczerpany w handlu. Artykuł cały utrzymał Dygasiński w formie chłodnej ironji. „Pani Śnieżko-Zapolska — pisał — jest kobietą, a na kobiecie łatwo wywierać kwasy i gorycze własnego humoru. My, kapłani smaku dobrego, stróże czystej etyki, nie mając lepszego pola do popisu, wylewamy przy takiej okazji całe potoki frazesów o dobrych obyczajach. Bo jakże też ta p. Zapolska mogła gorszyć ludzi najnotliwszych w koronie polskiej?... Tryumf p r a w d y był tem zupełniejszy, że w sali rozległy się sute oklaski. Bo r o z u m, c n o t a i m ę s t w o zawsze zwyciężają na tym padole płaczu. A kto przegrywa? Mierne siły, które genjuszom stwarzają n o w e ograniczenia“.

Znacznie ostrzej wystąpił w „Kłosach“ (22.IV.1886) były współpracownik „Prawdy“, Władysław Wścieklica,

w artykule p. t. „Do światła“. I on również podkreślił jaszkrawo, że Popławski, jako jedyny dowód plagiatu, przedstawił telegram od wydawcy książki Enaulta i — sam zeznał, iż nie widział na oczy gazety charkowskiej, w której miała być drukowana opowieść podobna do „Małaszkii“. Pod adresem Świętochowskiego napisał Wścieklica taki ustęp: „Zabrawszy głos w sądzie, wysilił całą swoją pomysłowość na to, ażeby autorkę ośmieszyć i utwory jej zohydzić. Kiedym słuchał tych jego katowskich dowcipów ze wstydem, smutkiem i oburzeniem, szeptałem mimowoli — niemiecką nazwę takiego humoru“. Namiętną kampanję przeciw Świętochowskiemu wszczął również „Kurjer Warszawski“, zazwyczaj bardzo umiarkowany w swych sądach o ludziach. W trzech długich feljetonach (Nr. 112 b., Nr. 113 a i 121 z r. 1886) p. t. „W imię prawdy i moralności“ zanalizował tam cały proces Ludwik Straszewicz, również były współpracownik „Prawdy“. Krzywdę Zapolskiej uwydatnił dobitnie. Jednocześnie usiłował zrewidować działalność publicystyczną Świętochowskiego. Przypomniał mu jego hasła z pierwszego „Liberum veto“ i zakończył artykuły swe takimi słowy: „Ileż hasel i co się z niemi stało! Ileż czynów zaprzeczyło każdemu frazesowi, każdemu słowu! Ze wszystkich „cnót podwójnej buchalterji“ p. Świętochowski jedną rzeczywiście nie splamił się dotąd nigdy — ultramontanizmem. Bohaterzy i bohaterki naturalistycznych romansów, możecie jeszcze wyglądać biało przez porównanie, macie mniej „śmiałości“. E c c e

h o m o v e r i t a t i s !“ „Użył sobie“ także na Świętochowskim w swym zwykłym, płaskim stylu Teodor Jeske-Choiński w tymże „Kur. Warszawskim“ (Nr. 136a i Nr. 137b. z r. 1886), który zsumował wszystkie ataki i oświetlił je po swojemu. Wreszcie ze słowami pociechy dla Zapolskiej wystąpiła w „Świcie“ (20. IV. 1886) Ostoja, która zapewniła, że „pomimo wyroku sądu, p. Zapolska sprawy swojej za przegraną uważać nie powinna; jest jeszcze opinia publiczna, wcale nie prowadzona na pasku prasy, nietylko w kwestji sprawiedliwości, ale nawet w przyznawaniu autorskiego talentu“.

Zbiorowy atak zrozumiał Świętochowski w sposób właściwy: skończyła się rozprawa sądowa, ale rozpoczął się istotny proces o krzywdę Zapolskiej wobec opinji publicznej. Wystąpił w „Prawdzie“ z dwoma artykułami: „Veto Meletusów“ (Nr. 16 z r. 1886) i „Szturm Meletusów“ (Nr. 18 z r. 1886). Artykuły te, pełne niebotycznej pychy i —talentu stanowią niejako szczytowy moment publicystyki „Posła Prawdy“. Nigdy nie był wymowniejszy, bardziej napastliwy, bezwzględny i okrutny, jak w tych pamfletowych glossach. Zmaltretował po kolei swych przeciwników, wyszydził ich, ośmieszył i obdarzył bez pardonu nazwami, które wyławiał skwapliwie Jeske-Choiński: błazny, miernoty, szczypawki, laseczniki, zaraźliwe krosty, Konrady skandalu, krzykliwe karły, świeże mucharki, liliputy, elegiści operowi, typy zuchwiałych potwarców, cyniczni kłamcy, męty liberalizmu polskiego i t. d.

Filozoficzny sens całej burzy prasowej usiłował wy dobyć Spasowicz w „Kraju“ (27. IV. 1886), gdzie między innymi napisał: „Z trzech oskarżycieli Sokratesa wymieniony został Meletos, lichy pisarz — rymotwórca. Ależ pisarków było i jest co niemiara; nie przez to przyłożył się Meletos do sądowego mordu nad Sokratesem, że pisał wiersze, ale, że partja, której służył, trzymała rząd i władzę w swoim ręku, i że oskarżenie miało miejsce w epoce gwałtownej restauracji. Wszystkie gwałtowne restauracje są do siebie podobne, ateńska w r. 39 przed Chrystusem była demokratyczna, a jednak ofiarą jej stał się Sokrates. Żaden z naszych, obecnie żyjących literatów nie znajdował się w analogicznem położeniu, ani może marzyć, że się znajdować będzie. Wszyscy są równi z p. Świętochowskim w tem, że mają zupełnie jednaki przywilej bezpieczeństwa. Więc gdyby nie wzgląd, że Meletos był tylko lichym pisarzem, mógłby p. Świętochowski zastosować do siebie to miano, którem chciał napiętnować swoich przeciwników“.

Przypuszczam, że ten wywód akademicki przeczytał Świętochowski, jako pogromca Meletusów, z pewną melancholją...

A Popławski? — Podczas procesu nakrył go Świętochowski całkowiec swoim cieniem. Popławski dowodów plagiatu nie przedstawił ani wówczas, ani później. Wielki talent, który okazała w dalszej swej twórczości Zapolska, poderwał ostatecznie wiarę w możliwość takiego plagiatu. Popławski wyszedł z całej afery, jaką wywołał

„Sztandarem ze spódnicy“ — bez szwanku. Miał tylko z powodu Zapolskiej drobną nieprzyjemność osobistą: ubliżył mu w „Dzienniku dla wszystkich“ H. Nagiel. Popławski wyzwiał go na pojedynek. I tu nastąpił moment żałośnie groteskowy: ani jedna, ani druga ze stron nie miała pieniędzy na wypożyczenie pistoletów. Pojedynek odbył się dopiero w kilka tygodni po wyzwaniu i — zakończył się „bezkrwawo“...

ZAPOLSKA W „THÉÂTRE LIBRE”

Pierwsze osiem lat scenicznej i literackiej kariery Gabryeli Zapolskiej połączone były z takimi komplikacjami i wstrząśnieniami życiowymi, że postanowiła Warszawę opuścić. W r. 1888 rozpałać ją poczęło marzenie o sławie Modrzejewskiej, która, już po roku pobytu w Ameryce, nauczyła się po angielsku i wystąpiła w San Francisco w roli „Adrijanny Lecouvreur“. Echa tryumfów Modrzejewskiej, od chwili zwłaszcza, gdy zorganizowała „tourné“ po miastach amerykańskich z własną trupą, rozbrzmiewały donośnie po całej Polsce. Zapolska postanowiła dokonać takiego samego cudu na terenie sławy znacznie bliższej, a mianowicie — paryskiej. Wybrała sobie na powiernicę Marję Szeligę, starszą od niej pisarkę, która po ogłoszeniu siedmiu tomów powieści i tomu poezyj, zerwała z rodziną, kraj opuściła i nigdy już do niego nie wróciła. Stała się w Paryżu bojownicą emancypacji kobiet. Napisała do niej Zapolska długie listy, po brzegi wypełnione goryczą i zawierający taką między innymi, spowiedź: „Nie mam nikogo na świecie, jestem sama, bo rodzina mnie nie zna, — z mężem się

rozwiódłam, dzieci mi umarły. Pomyśl tylko: Młoda, z głową palącą się jak pochodnia, z sercem gorącym, z urodą nie codzienną — sama, sama! bez celu w życiu — bez serca, do którego przytulić się choćby chwilę jedną... bez opieki... bez oparcia! A dokoła mnie świat podły, nikczemny — ci „nasi“, którzy kobietę idącą samą przez życie, otruci chcieli, błotem obrzucić, znieważyc, zbęszczęścić a potem kamieniami obrzucić... Zresztą Ty ich znasz! Oni i Tobie ileż krzywdy wyrządzić chcieli. Proces ze Świętochowskim zламаł mnie i zgnębił. Kobieta jestem przedewszystkiem i to szarpanie mego nazwiska po sądach boli mnie do dziś i wstydem przejmuję. Ile ja tu cierpię — czy ja ci wypowiedzieć mogę! Jakaś straszna, piekielna furja opanowała serca tych ludzi. „Kaškę Karjatydę“ — wiesz jak przyjęli a mnie samą, gdy występowałam na scenie, pomimo entuzjazmu publiczności, jakże prasa przyjęła? Pan Zalewski, z powodów obrażonej miłości własnej mężczyzny, dla którejgo kobieta shańbić się nie chce, nazwał mnie „jejmością szastającą się po scenie i robiącą na widzu wstrętne wrażenie“. Pan Bogusławski kazał mi grać role starych paniel!! Pani tak samo znasz lepiej odemnie tych nikczemnych wyzyskiwaczy ciała i pracy kobiety! I nic ich przeciw mnie rozbroić nie zdoła — talent mój w wściekłość ich wprowadza, zmysł obserwacyjny przywodzi im na myśl ich błędy i głupotę; uroda moja, zamiast mi dopomagać, szkodzi, chęć do pracy — ośmiesza. Stanęli przede mną zwartym murem i — patrzą ironicznie, kiedy

w przepaść runę... I mamże Ci wyznać wszystko? — ja zniecierpliwiona kraj mój i ludzi w nim żyjących! Nie — ziemię, nie — niebo nasze, ale ich, tych śmiesznych, głupich, bezczelnych, z oczyma wyblakłymi od rozpusty mężczyzn — te kobiety-literatki, gęsi pretensjonalne, poważne jak chińskie pagody a w głębi duszy kryjące bezwstyd i histeryczne wybryki. I chciałabym od nich uciec do obcych, — gdzie inaczej pracę cenią, gdzie teatry są także „Maison Tellier“, bo to trudno — ale nie takie trywialne schronienia prostytutek, noszących na swych sukniach niezaschłe jeszcze błoto ulicznych wycieczek.

I oto plan mój, usnuty podczas długich nocnych rozmyślań. W ciągu dwóch miesięcy mogę ocalić okruchy posagu, skradzionego mi przez człowieka, który był moim mężem. Mogę mieć gotówki do 500 rubli i przez dwa lata po 60 rubli miesięcznie. Z tem przyjechać chcę do Paryża i rozpocząć studja, poczem wstąpić na scenę. Francuski język posiadam bardzo dobrze — powiem Pani na próbę, że tłómaczę Teofila Gautier bez słownika. Wymowa jest nieskazona — naturalnie dziś mi brak prawdziwego akcentu, ale mam szaloną ochotę i zdolność lingwistyczną — w rok będę mówiła, jak rodowita Francuzka... Czytam prawie ciągle francuskie dzieła i przez to nie zapominam języka, bo nie mam z kim w otoczeniu mojem mówić po francusku... Spójrz Pani na moją fotografię, oblicz sumę mej inteligencji i talentów — przedstaw sobie, że głos mój jest może tem, co mi zjednywa najwięcej sympatji w słuchaczach i powiedz teraz — co

miała Modrzejewska, idąca na scenę angielską: czterdzieści lat, zupełną nieznaną najtrudniejszego języka pod słońcem. Ale silna wola była w niej wielka. Tę silną wolę ja mam, chcę ją mieć. Praca mnie nie przeraża. A zresztą wszak nie palę mostów za sobą. W każdej chwili powrócić mogę do mej ojczyzny (!), gdzie mnie tak... kochają!“

Zamiar dojrzał nie odrazu, bo przyjechała Zapolska do Paryża dopiero w końcu lata 1889 r., podczas wystawy powszechnej. Towarzyszył jej w podróży kuzyn, Józef Łoziński, późniejszy krytyk teatralny „Kurjera Porannego“. Nie mając żadnych znajomości francuskich, zaprzyjaźniła się z Marią Szeligą, która ją zapoznała z kolonią polską i odgrywała wobec niej przez kilka lat rolę dwulicową, wciągnęła ją w sieć intryg i plotek, kierowała niewidocznie jej krokami wobec różnych ludzi a przede wszystkim wobec tych, na których Zapolskiej zależało. Była jej rywalką a udawała zawsze najserdeczniejszą przyjaciółkę. Wynikało stąd wiele niesnasek, których źródła nikt się na razie nie domyślał. Płatanie się wśród prywatnych spraw kolonji polskiej nie mogło wyjść na dobre artystce, marzącej o scenicznym podboju Francuzów i pragnącej w trzydziestym piątym roku życia, przyswajać sobie czystą dykcję paryską.

*

Zapolska rozpoczęła naukę u D. Talbota, b. „sociétaire“ Komedji Francuskiej, będącego w owych cza-

sach już emerytem. Talbot był profesorem dość wziętym. Jeździł z uczniami po teatrach prowincjonalnych a w Paryżu dawał z nimi co niedziela popisowe przedstawienia w „Salle des Capucines“.

Zapolskiej nie pokazał Talbot na tych popisach ani razu przez cały rok. Była z niego niezadowolona. Zwróciła się po naukę do artystki teatru „Vaudeville“, pani Samary, kobiety — jak pisała Zapolska — „wzorowo doskonałej“, która zajęła się nią bardzo gorliwie. „Odżyłam — pisze w liście — nabieram jaśniejszego na świat poglądu“. Przez trzy tygodnie skorzystała więcej, niż tam u Talbota, przez cały rok. Samary zapoznała ją z Wormsem (z Komedji Francuskiej) i z Lenormandem. Uradzili wspólnie, iż powinna zacząć od występów w teatrach dzielnicowych, na Batignolles lub na Montmartre. Tak postępowały nieraz w Paryżu najwybitniejsze artystki, jak np. sławna Agar z Komedji. Rozpoczęły się długotrwałe wędrowki po różnych gabinetach dyrektorskich. W teatrze Batignolskim przyjął ją dyrektor „w koszuli i w kalesonach, co nie przeszkadza, że mieszka jak udzielny książę“. Dał jej jakąś rolę bez znaczenia. Przez protekcję pani Samary otrzymuje do grania epizodzik w teatrze „Déjazet“. Satysfakcji żadnej nie miała. „Co do mnie — pisze do pana S. Z. — to między nami mówiąc, doskonale czułam i widziałam, że akcent mój wyłazi jak szydło z worka a strach go jeszcze psuje. Pracuję wytrwale, będę pracowała rok jeszcze. Potem plunę i niech to wszystko djabli wezmą... Dyrektor jest bardzo

dobry i szczęściem lubi chłopców, więc mi daje pokój, a tylko chce mnie dobrze postawić na nogi“. Ale i ta impreza nie wróży jakiej takiej przyszłości. Nie udaje się również szturm do „Gaité“. Zapoznaje się Zapolska z Koningiem, dyrektorem „Gymnase“ i otrzymuje od niego przychylną obietnicę. Proponuje mu N o r ę na swój występ. Odmówił: „Trzeba — oświadczył — N o r ę przerobić. Najlepiej Meilhac to zrobi. Niech Nora sprzeniewierzy się mężowi, to będzie sens. A tak, u nas we Francji ç a n e v a p a s“. Radził Zapolskiej, żeby się porozumiała z Ibsenem i podsunęła mu tę myśl.

Bywały zawody jeszcze gorsze. Dnia 12. VII. 91 r. pisze Zapolska do p. S. Z.: „Dwa lata męki, łamania języka, idjocenia poprostu! I co? jaki rezultat? Oto — w „Porte Sain Martin“ dali mi dziś... rolę! W „Miserables“ Wiktora Hugo. W czwartym obrazie mówię: „Tiens! monstre!“ Potem: „Il descend!“ A na zakończenie: „Animal!“ Wspaniałe, co? Ja, co grałam Norę w Petersburgu, Ofelję, Desdemonę — mówię: Animal! w Porte Saint-Martin! Grać będę, bo zawsze mogę powiedzieć, że byłam zaangażowana, — nie chciałam zostać“. Czasem przychodzą kłopoty innej natury: raz otrzymała rolę z monologami, rolę za dużą. „Straciłam — pisze do p. S. Z. — przez te kilka dni zdrowie, apetyt, sen. Chodzę, jak obłąkana. Nie jem, nie śpię. Nie śmiem oddać roli i prosić o mniejszą...“ Zawiesiła sobie na szyi kawałek stryczka wisielca i nosi go przy sobie, bo „ma to być nadzwyczajne porte-bonheur“.

Niestety niewiele to pomogło. Za niepowodzenie swe czyniła Zapolska winnymi — Francuzów. „Wiesz — pisze do p. S. Z. (d. 14. VII. 91) — jak nienawidzę Francuzów, wiesz dobrze chyba, że gdybym była kontenta z mego pobytu w Paryżu, byłabym się inaczej zabrała do nauki i z moją inteligencją dałabym sobie radę. Ale ten niesmak, jaki oni we mnie budzą, strasznie mój zapał ostudził“.

Nie zdawała sobie sprawy, że główną przeszkodą w jej scenicznej karierze francuskiej była właśnie jej polska zaściankowość, unikanie stosunków z Francuzami, pograżanie się całkowite w kolonji polskiej. Interesowała się nie tylko plotkami, ale i działalnością młodych socjalistów, zgrupowanych przy miesięczniku „Pobudka“. Patrzała zresztą na nich stale, jak na „zbikowane“ okazy, które wydrwiwa w swych listach do p. S. Z., chociaż okazuje im jawnie sympatię. Przesadne przeswiadczenie o swej urodzie każe jej widzieć na każdym kroku takich tylko mężczyzn, o jakich pisała w swym liście do Szegeli, przed przyjazdem do Paryża. Pod datą 12. VII. 91 r. informuje p. S. Z., że jednego dnia miała ze strony członków kolonji aż trzy oświadczenia. Śród tych pretendentów znalazł się jeden, którego warto wymienić: był to Emil Meyersohn, wówczas współpracownik Agencji Havasa a później jeden z najgłośniejszych na świecie filozofów. Pisze o nim tak: „Meyersohn przyszedł wczoraj po południu i zupełnie serjo powiada: „Je vous aime!“ Ja pytam: „Depuis quand?“ — „Depuis

longtemps!". Ja wybucham śmiechem. On błędnie i prosi, żebym się nie śmiała, bo on mówi serjo. — „Parole d'honneur?“ — „Parole d'honneur“. Przeprosiłam go za mój śmiech i również za to, że go nie kocham. On milczał. — „Voyons — a potem?“ — „Nigdy“. Wstał i pożegnał się ze mną, prosząc, aby nigdy o tem między nami wzmianki nie było. Przynależało mu to i kiedy poszedł, zaczęłam się śmiać, jak warjatka. Stanowczo cała kolonja przebędzie taką chwilę“.

Po za kolonją zajmowała Zapolską gorączkowa praca literacka. Pisała: *S z m a t ż y c i a*, *W e k r w i*, *M e n a ż e r j ę l u d z k ą*, *W o d z i r e j a* i wiele korespondencyj do „Przeglądu Tygodniowego“. W ten sposób żyła niemal wyłącznie w atmosferze polskiej i nie zbliżyła się do ducha kultury francuskiej zupełnie. Czasem znęciło ją jakieś widowisko jaskrawe. Raz poszła z mężem Szeligi na plac Roquette, aby patrzeć na egzekucję trzech zbrodniarzy: matki, jej syna i przyjaciela. Czekwała od pierwszej w nocy i dreszcz swój tak opisuje w liście do p. S. Z.: „Kobieta gilotynowana!... Szyk, co?...”

*

Wreszcie w pracy scenicznej nadszedł moment szczęśliwszy. Wybitna publicystka, pani Séverine poleca Zapolską bardzo gorąco Antoine'owi, dyrektorowi sławnego „Théâtre Libre“. Dostała rolę. „Gram — pisze do p. S. Z. — chłopkę i mówię akcentem normandzkim, dość łatwym do uchwycenia. Rola nie pierwszorzędna,

ale — nie ogon. Antoine jest bardzo sympatyczny, łagodny, inteligentny i niezmiernie na komplementy łakomy“. Przyrzekł pracować nad akcentem Zapolskiej i dawał jej lekcje wymowy. Zapewniał, że w ciągu roku straci zupełnie swój polski akcent. Ostrzegał jednak, że jeżeli będzie żyła wśród Polaków, to ją „wyrzuci za drzwi“. Antoine znał Stanisława Rzewuskiego, bo wystawiał u siebie jego sztukę „Le Comte Witold“. Zwrócił się do niego po informacje o Zapolskiej, która tak pisze o tem w liście do p. S. Z.: „Naturalnie, Rzewuski rozpadał się nademną i nazwał mnie „une femme géniale“. Antoine zgłupiał. Wczoraj siada przy mnie i mówi o honorze, jaki go spotkał, że ja „daignowałam“ przyjść do niego. Następuje wymiana komplementów. Antoine jest w siódmym niebie. Ja także — bo mi się tam dość podoba — jakkolwiek aktorzy są marni i to wszystko, co robią, to on w nich wkuwa. Podziwiam istotnie genialną intuicję tego człowieka. Głupi jest jak but, a niewiadomo, skąd chwyta takie efekty, że się usta otwiera“.

Pierwszy występ w jednoaktówce „Seul“ dał Zapolskiej zadowolenie. „Odgadałam“ — pisze 11.III.92 — wszystko i nikt nie przypuszcza, że jestem cudzoziemką. Za kulisy przyszła Séverine, Labruyère i Rzewuski do mnie. „Petit Parisien“ napisał tak: „Nikt wśród widzów nie przypuszczał, że pod czepkiem mamki ukrywa się wielka tragiczka polska, pani Zapolska. Prawdą jest, że p. Zapolska, która tym razem przystosowała się do tej skromnej postaci, jest aktorką polską. Przysięgła sobie,

że podbije Paryż, chociaż na to wiele będzie potrzeba czasu. Możemy zapewnić, że dopnie celu przy swej urodzie, talencie i inteligencji“.

Zachęcona życzliwym stanowiskiem Antoine'a, dała mu do przeczytania swoją „Małazkę“, którą w przeróbce scenicznej, sama przetłumaczyła. Antoine przejrzał kilka scen i powiedział jej: „Uprzedzam panią, że my dążymy teraz do rzeczy idealistycznych, więc niech się pani stara nie pozostać w tyle“. Grywała dalej drobiazgi w jednoaktówkach. Pewnego razu przyszedł na próbę Ibsen. O tem zapoznaniu się z wielkim pisarzem tak pisze Zapolska pod datą 11.IV. 1892 r.: „Wczoraj na próbę przyszedł Ibsen. Był pijany jak stok. Taczał się. Jest to potwór zupełnie, widmo z rozczochraną głową. Mówił, że nigdy nic nie napisał inaczej, jak tylko po pijanemu. Słuchałam go uważnie i jakoś uwierzyć mi się nie chciało, że to autor „Nory“. Chwalił się, że go wyrzucono przed chwilą z jakiegoś domu, bo był t r o p s o u l. Ja go sobie inaczej wyobrażałam“.

Stosunki z Antoinem były dobre. Zaprosił ją na obiad, z czego jest rada, bo później pomieści jego sylwetkę w „Przeglądzie Tygodniowym“. Gra małą rolę w „Mirages“ i męczy się na próbach, bo Antoine jest wymagający. Nareszcie otrzymała prawdziwą, chociaż niezbyt wielką rolę: kazano jej grać księżnę Danescoff w „Simone“ L. de Gramonta. Chodziło właśnie o akcent egzotyczny, więc sukces był pewny. Ale Antoine stawiał wciąż zarzuty. „Powiedział mi — pisze Zapolska w liście

z 6.IV.92 r. — że mam minę „d'une poule amoureuse“. Ponieważ jednak innym powiedział także, że wyglądam, jak „culs de poules“, więc się pocieszyłam“. Uczyła się roli po całych dniach. Zwyczajem paryskim, składała Zapolska przed premierą wizyty krytykom. Obstałowała sobie w tym celu bilety... z herbem. „Byłam wczoraj — pisze do p. S. Z. — u Sarcey'a. Głupi jak but, ale pełen grzeczności — roztaczał przede mną swe idee z godzinę. Zdania głupie, jak on. Potem poszłam do Pesarda z „Gaulois“. Ten przyjemniejszy, ale jeszcze głupszy. Powiada mi np.: „j'ai vu Mackbeth... oh!... c'est pas mal, mais Molière avec son Malade imaginaire est beaucoup plus profond“ *).

Do sztuki kupiła sobie Zapolska trzy wspaniałe kostjumy, jakich biedny „Théâtre Libre“ nigdy u siebie nie widział. Nazajutrz po przedstawieniu pisze do p. S. Z.: „Odniosłam triumf nadspodziewany. Gdy wszłam, powitano mnie brawem — powodzenie moje rosło w miarę sztuki. Przerywano mi co chwila ogłuszającymi brawami. Klaki tu niema wcale. Po scenie drugiego aktu brawa trwały tak długo, aż aktorzy stali zdziwieni. Autor, dyrektor, wszyscy ściskali mnie, całowali, winiszowali. Séverine przysłała do mnie do garderoby. Słowem — coś zupełnie odurzającego“. Prasę miała doskonałą. „Gil Blas“ w swoich „Instantanés“ powitał „nową

*) Widziałem Makbetha... tak... to niezłe. Ale Molier w „Chorym z urojenia“ jest daleko głębszy. (Przyp. aut.)

gwiazdę na firmamencie Téhâtre Libre, odkrytą przez panią Séverine“. Nie mniej życzliwie pisali: Henry Pessard w „Gaulois“ i Sarcey. Bywały jednak akcenty, które nie musiały być miłe dla Zapolskiej. W wielu pismach nazywano ją „une Russe“, albo z dodatkiem „une actrice russe, très bien en princesse... russe“. Albo też podkreślano, że mówi „avec un accent garanti pur et de provenance directe“. Znowu więc sprawa czystego akcentu utknęła na martwym punkcie...

Chodziło jeszcze o próbę akcentu w roli, gdzie trzeba mówić w sposób zwyczajny, po parysku. Nadarzyła się sposobność w „Hanusi“, w której Antoine powierzył Zapolskiej rolę Djakonisy, przemawiającej do Hanusi jako widziadło z zaświata. Nazajutrz po premierze Catulle Mendès napisał: „pani Zapolska każe nam uwierzyć, że akcent polski trwa nawet w niebiosach“ (persiste même aux cieux...).

Nadchodzą chwile głębokiego zniechęcenia, które wzmaga się jeszcze pod wpływem choroby Zapolskiej. Zaczyna rozumieć, że drugą Modrzejewską w Paryżu nie będzie. „Sceny nie chcę — pisze 30.IX.92 r. — Sił nie mam, wreszcie mi zbrzydła. Mam co innego do roboty, jak być pajacem. Za wiele mam rozgłosu jako literatka, abym już mogła bezkarnie się szastać po deskach scenicznych“. W końcu tego roku pisze: „Z chwilą, gdy zeszałam ze sceny obsypana oklaskami — powiedziałam sobie: et bien? et après?... I tak mi w głowie utkwiło to „après“, że już na deski nie wróciłam ku

zdziwieniu wszystkich... Nuda i tęsknota mnie pożera. Nie — ja nie jestem stworzona do ekspatrijowania się za światy“.

Zamierzała wrócić do kraju, ale pozostała jeszcze na czas dłuższy. Odsunęła się od kolonji, weszła teraz w stosunki z Francuzami, t. j. zrobiła to, od czego powinna była zacząć. Otoczyła się grupą malarzów i literatów. Bywali u niej członkowie redakcji „La Revue Blanche“ z bardzo inteligentnym ironistą, Fénéonem na czele. Dzięki nim, jeszcze raz wróciła na scenę, tym razem w teatrze „l'Oeuvre“, prowadzonym przez Lugné-Poe'go, którego „La Revue Blanche“ bardzo gorąco popierał. Otrzymała w początku maja 1895 r. rolę starej Szczurołapki, rolę maleńką, ale wymagającą mocnej ekspresji. Zasypano ją znowu pochwałami. Catulle Mendès już nie mówił o akcencie i dał notatkę bardzo ciepłą; „Quotidien“ zapowiedział nawet, że „wymowa i gesty są bardzo pewne“; a stary Sarcey wręcz oświadczył: „Ze wszystkich wykonawców warto mówić tylko o jednej. Jest nią p. Gabriela Zapolska, — vive la Pologne! — która gra rolę Szczurołapki. Co ta postać znaczy w sztuce — niewiadomo. Ale p. Zapolska zdołała nakreślić sylwetkę z fantazją dość malowniczą“.

Ten drobny tryumf przyjęła Zapolska z melancholją. Jedną tylko uczuwała satysfakcję: „pracowałam — pi-sze — ciężko, lecz tę najokropniejszą trudność pozbycia się naszego akcentu zwalczyłam“. Przestała już jednak wierzyć w rację dalszego pobytu w Paryżu, chociaż

uświadamiała sobie pożytek dobrowolnej, kilkoletniej emigracji. „Przez te lata tutaj — pisze — nauczyłam się czuć, myśleć, patrzeć na świat, sztukę, ewolucję społeczną, dążenie i cel istnienia, słowem: stałam się człowiekiem! Czem byłam poprzednio? — maszyną bezrozumną, pchaną wolą wiatrów i wolą moich wydawców“.

W końcu maja 1895 r. wróciła do kraju.

POŁAMANE SKRZYDŁA

Pod wieczór upalnego dnia w Paryżu, w epoce wystawy wszechświatowej 1900 r., zastukano energicznie do mego mieszkania. Ujrzałem dwóch młodzieńców: pierwszy — drobny i szczupły szatyn, ubrany bardzo starannie, z płonącymi oczyma i subtelnym uśmiechem, przedstawił mi się krótko: — „Jestem Kisielewski“; drugi — blondyn o twarzy semickiej, z bujną, kędzierzawą czupryną oświadczył, że się nazywa: Jeżower, a Kisielewski dodał: — „Mój najlepszy przyjaciel“.

Zapoznanie się było bardzo serdeczne. Czytałem wiele o tryumfach teatralnych Kisielewskiego, więc gwędę skierowaliśmy od razu na temat jego twórczości dramatycznej.

— Przyjechałem — oznajmił Kisielewski głosem przyciszonym i opanowanym — na podbój Paryża...

Jeżower zamierzał badać teatry francuskie (pracował później u Reinhardta w Berlinie). Spostrzegłem od razu, że Kisielewski oszołomiony jest niewiarogodnie swoim powodzeniem. Mówił obficie, ale z wielką powagą, przytaczał zdania krytyków, którzy mu przypisy-

wali „genjalność“; niekiedy zrywał zdania tajemniczo i zamyślał się na chwilę, aby później znowu olśniewać mnie obrazami swoich sukcesów. W dyskusji używał ironji giętkiej i dyskretnej, wysuwał argumenty zręczne, rzucał spostrzeżenia plastyczne i trafne. Raz poraz jednak niepokoił mnie akcentami megalomanji, chociaż kładłem je na karb upojenia sławą. Poszliśmy razem na obiad a potem pojechaliśmy do Lasku Bulońskiego, gdzie gawęda zaciągnęła się do późnej nocy. Kisielewski wypytywał chciwie o warunki życia w Paryżu i wciąż wracał do umiłowanego przedmiotu, t. j. do swoich sztuk. Nie mogąc w tej sprawie zabierać głosu, zaproponowałem nagle:

— Pojedziemy do pańskiego hotelu, zabierzemy egzemplarz „Karykatur“, urządzimy u mnie herbatę i będziemy czytali.

— Jakto? zaraz?... Świetnie! — zawołał uradowany Kisielewski.

W godzinę później, o drugiej w nocy zabraliśmy się do czytania. Kisielewski czytał „Karykatury“ sam a raczej g r a ł za wszystkie osoby działające a grał jak pierwszorzędny aktor. Umiał zresztą całą niemal sztukę na pamięć.

Nie byłem oczarowany utworem i nie mogłem pojąć zachwytów naszej krytyki. Tłumaczyłem to sobie brakiem odczuwania atmosfery krakowskiej. Tonąłem wówczas po uszy w symbolizmie francuskim, więc taka naturalistyczna wizja życia niezbyt mi dogadzała. By-

łem jednak powściągliwy w sądach, do czego mi pomagał sam autor, odurzony swoją świetną lekturą i zachwalający gorąco poszczególne fragmenty swej „tragikomedji“.

W kilka dni później postanowiliśmy z Kisielewskim, że pojedziemy we dwóch na świeże powietrze, za Paryż i tam przeczytamy „W sieci“. Wybraliśmy Saint-Germain-en-Laye, znaleźliśmy tuż za pałacem muzealnym piękną polanę z wysoką trawą, zaszyliśmy się w nią i — w przeciągu kilku godzin przełupiliśmy pierwszą część „wesołego dramatu“ z mottem: „Z prochuś powstał, w małą się obrócisz“. Kisielewski był rozpromieniony; grał znowu wszystkie role sztuki jeszcze lepiej, niż poprzednio.

Wyraziłem podziw, że tyle w nim sceptycyzmu i taka przenikliwość w obserwowaniu szczegółów. Gdyśmy wracali do Paryża, zaskoczył mnie pytaniem:

— Czy może mi pan wskazać jakiego dobrego tłumacza? Chciałbym puścić najpierw „W sieci“ i zobaczyć, jak to Paryż przyjmie. W którym teatrze mogą to zagrać najlepiej? Przecież przyzna pan, że od czasów Szekspira nikt tak nie stawiał w dramacie żywych ludzi, jak ja. Któryż z Francuzów może się ze mną porównać?

Przeczytałem później jeszcze „Ostatnie spotkanie“ i „Sonatę“ i napisałem o Kisielewskim we wrześniowym zeszycie miesięcznika „Mercure de France“. Zanalizowałem sztuki bardzo życzliwie i oględnie, ale, oczywi-

ście, nie podzieliłem entuzjazmu samego autora dla jego twórczości. Ośmieliłem się na zapewnienie, że chociaż pierwsze dwa utwory („W sieci“ i „Karykatury“), pomimo olbrzymiego rozgłosu, nie przetrwają może czasów, to jednak dalsza twórczość dramatopisarska Kisielewskiego zapowiada się ciekawie, bo autor nie upaja się niebezpiecznym powodzeniem u tłumów, ale szuka już innego gruntu dla swej sztuki.

Przy pierwszym spotkaniu, Kisielewski powitał mnie wyniośle i oświadczył:

— Przekona się pan, że znajdę dobry teatr w Paryżu, który będzie grał przez cały sezon obie części „W sieci“.

— Bardzo się będę cieszył, bo teatry francuskie są odporne wobec sztuk obcych.

— Nie boję się tego. Obie sztuki są już w tłumaczeniu.

Od tej pory widywałem go rzadziej. Rozmawiał ze mną bez tego zaufania i serdeczności, jakimi mnie darzył z początku. Wkrótce potem poznał się z Marją Szeligą, która się nim zaopiekowała troskliwie. Nie mam zamiaru roztrząsać, jak daleko sięgała ta opieka, ale — znam jej metody. Szeliga miała wówczas około czterdziestu pięciu lat, nadzwyczajna jednak żywotność jej natury potrzebowała nowych wciąż wrażeń. Gdy wśród przybyszów z Polski dojrzała młodą a wybitniejszą jednostkę, zbliżała się do niej umiejętnie i... kazała jej zapominać o swoim wieku. Wybitnie inteligent-

na, wyrafinowana i przebiegła, otaczała Kisielewskiego ponętami paryżanizmu, który znała do gruntu, przebywała już bowiem w Paryżu od lat dwudziestu kilku. Wyrobiła sobie w sferach postępowych stanowisko bojownicy feminizmu, wydawała „Bulletin de l'Union universelle des Femmes“, przemawiała z niemałą swadą na zebraniach politycznych i społecznych, napisała sztukę „l'Ornière“, którą wystawił jeden z teatrów eksperymentalnych. We francuskich sferach literackich miała stosunków niewiele, ale, przy swej niespożytej energii, umiała wyrabiać sobie nowe, gdy zachodziła potrzeba. Informowała Kisielewskiego o wszelkich zakulisowych sprawach paryskiego życia literacko-artystycznego, imponowała mu swem doświadczeniem, łudziła go obietnicami wystawienia jego sztuk a przede wszystkim — pobudzała w nim i tak już olbrzymią manję wielkości. Wpływ jej na Kisielewskiego był pod tym względem fatalny. Poznawał Paryż ze strony najpłytszej. Chodził po kabaretach i kawiarniach, otrzymywał przez Szeligę „invitations“ do trzeciorzędnych teatrzyków „artystycznych“, ubierał się jak d a n d y, szukał w Paryżu tej „radości życia“, którą tam szykują tanim kosztem dla cudzoziemców. A przede wszystkim podlegał opiece Szeligi.

*

W epoce tej starałem się poznać nieco stosunki towarzyskie w Paryżu. Chwytałem wszelką ku temu sposob-

ność. Pewnego dnia, przyjaciel mój, Marc Legrand, poeta neo-klasyk wprowadził mnie do salonu pani Marji Ratazzi. Była ona córką dyplomaty angielskiego, Thomasa Wyze oraz Letycji Bonaparte, czyli wnuczką brata Napoleona I, Lucjana Bonaparte. Po śmierci pierwszego męża, zaślubiła Ratazziego, włoskiego ministra spraw zagranicznych, który odegrał pewną rolę w naszych stosunkach emigracyjnych: dzięki jego poparciu powstała w r. 1862 Polska Szkoła Wojskowa, najpierw w Genui a potem — w Cuneo, zamknięta na skutek interwencji rządu rosyjskiego. Pani Marja znana była w Paryżu pod nazwiskiem Ratazzi, chociaż miała później jeszcze trzeciego męża. Za młodu słynęła ze swej nadzwyczajnej urody i ze swoich nadzwyczajnych przygód. Jeszcze za moich czasów paryskich opowiadano sobie, jak to piękna pani Marja pokazywała się nago na jakichś poufnych zebraniach w pałacu Tuilleryjskim, u Napoleona III. Napisała wiele miernych romansów a w r. 1868 ogłosiła sławną autobiografię, pełną rewelacyjnych i sensacyjnych wynurzeń. Wydawała i redagowała obszerny, mało poczytny miesięcznik „la Nouvelle Revue Internationale“. W r. 1901 miała już sześćdziesiąt sześć lat, ale pełna była pretensyj. Przez salony jej przesuwali się: politycy, ministrowie, deputowani, członkowie Akademji, literaci i artyści oraz pewna ilość „rustaques“ (tak Francuzi nazywają cudzoziemców, którzy żyją w Paryżu na wielką stopę, a których środki utrzymania nie są znane).

Gdyśmy przybyli z Legrandem do mieszkania pani Ratazzi przy bulwarze Poissonière, we wspaniałych jej salonach, pełnych stylowych mebli i obrazów, było już ze stu pięćdziesięciu gości. Pierwszą osobą, na którą natknąłem się w tłumie, był... Jan August Kisielewski, — oczywiście w towarzystwie Szeligi, która go tam wprowadziła, jako współpracowniczką „Revue Internationale“. Chodził pysznie jak paw, miał wielki kwiat w butonierce fraka, był zagadkowo uśmiechnięty i protekcjonalny. Nareszcie znalazł się „w wielkim świetle paryskim“... Powitał mnie z chłodną wytwornością:

— I pan tutaj?

— Przyszedłem właśnie, żeby pana zobaczyć — odpowiedziałem z powagą i zapoznałem go z Legrandem. Zostawiłem ich razem. Obserwowałem zdala, jak Legrand wyteęza słuch, aby zrozumieć, co mu Kisielewski opowiada swym przyociszonym „stylowo“, tajemniczym głosem. Po chwili Legrand zbliżył się do mnie i zapytuje:

— Słuchaj, kto jest ten jegomość, który mówi do mnie w taki sposób, jakby mi proponował karty przezroczyste? (Na bulwarach, wieczorem, „kamloci“ proponują przechodniom poufnie przezroczyste karty do gry z pornograficznymi rysunkami).

Usiłowałem rozmawiać z Kisielewskim; napróżno. Zbywał mnie „salonowymi“ ogólnikami. Nie mógł mi dać artykułu w „Mercure de France“. Widywaliśmy się coraz rzadziej, bo Szeliga odsuwała go od kolonji, ażeby „nasiąkał“ atmosferą paryską. Niebawem ogłosiła

w „Revue Internationale“ obszerne studjum p. t. „Un dramaturge polonais. Jan August Kisielewski“ (Nr. 8, z 30. 6. 901). Po przeczytaniu tego artykułu Kisielewski doznał niewątpliwie nie mniejszego zawrotu głowy, jak po entuzjastycznym przyjęciu swych pierwszych sztuk w Polsce. Szeliga pisała w takim tonie: „W chwili obecnej, Jan August Kisielewski uosabia, że tak powiem, Dramat polski. Od samego początku stanął w pierwszym rzędzie pisarzy polskich... Oczekiwano oddawna, zwłaszcza po śmierci „Moliera polskiego“, hrabiego Fredry, ukazania się człowieka, który obudzi teatr polski z odrętwienia... Kisielewski nie jest ani doktrynerem, ani trybunem, ani leaderem partji: jest Le Dramaturge... Staje przed nami w swych utworach jako artysta absolutnie indywidualny, obdarzony młodzieńczą potęgą, pewny swych środków. Posiada olśniewające bogactwo motywów i wiedzę odcieni, która przypomina orkiestrację wagnerowską“ i t. d.

Panegiryk ten był, niestety, jedynym objawem „podboju Paryża“ przez Kisielewskiego. Wzmocnił jeszcze bardziej jego manję wielkości.

*

Po kilku latach spotkaliśmy się z Kisielewskim w Warszawie. Nie był już sam. Jesienią 1901 r. ożenił się w Paryżu z panną Julją Krzymuską, uzdolnioną pisarką, która ogłosiła tom dobrych „Studjów literackich“

(1903) a potem pisywała przez szereg lat doskonale, bardzo cenione podręczniki z zakresu historii polskiej (dziś jest dyrektorką Państwowego Seminarjum Żeńskiego w Płocku). Osiadłszy na jakiś czas w Warszawie, nie przestał Kisielewski marzyć o sukcesach zagranicznych: w lutym 1904 r. wyjechał do Berlina, gdzie miał nadzieję wystawić w jednym z teatrów swą sztukę „W sieci”. Starania te, ponowione na wiosnę następnego roku, zawiodły.

Sława pierwszych utworów scenicznych Jana Augusta była jeszcze bardzo żywa, więc pobudzano go wsząd do dalszej twórczości. Tymczasem stawała się coraz widocznieszka katastrofa: Kisielewski pogrążył się w niemocy twórczej. Nie był w stanie pisać podczas pobytu w Paryżu, ale wierzył, że to tylko przejściowy wynik rozproszenia wśród rozlicznych wrażeń stolicy świata. Po powrocie do kraju rośnie w nim z każdym dniem poczucie własnej wielkości, a jednocześnie zanika zdolność tworzenia. Już się począł kształtować nowy pomysł „Komedji miłości i cnoty”. Kisielewski jedzie do Lwowa do Pawlikowskiego i zawozi mu pierwszy akt tej sztuki oraz jej plan ogólny. Pawlikowski chętnie zakontraktował komedję i pragnął ją copędzej wystawić. Niestety, Kisielewski n i e m o ż e napisać aktów dalszych.

Próbuje wydobyć się z odrętwienia. Jedzie do Krakowa i, jako bywalec kabaretów paryskich, rzuca projekt założenia polskiego kabaretu artystycznego. Atmosfera bardzo sprzyjała takiemu pomysłowi: Kraków posiadał

wówczas znaczny zastęp wybitnych literatów i artystów, żądnych satyry. Kisielewski redaguje groteskowe zaproszenie na pierwszy wieczór sławnego „Zielonego Balonika“ i d. 7. 10. 905 wypowiada w „Jamie Michalika“ mowę inauguracyjną. Oba te dokumenty drukuje skwapliwie w swem „Życiu dramatu“. Na kierownika kabaretu nie nadawał się zupełnie; to też „działalność“ jego w „Zielonym Baloniku“ skończyła się po pierwszym występie. Wraca do Warszawy i chwytą się... polityki. W dniu wyborów do Dumy (25. 4. 1906) rozrzuca po mieście dziwaczny „list do wyborców“, podpisany: „Jan August Jelita Kisielewski“, w którym ośmiesza wszystkie partje z wyjątkiem endeckiej i stawia swą kadytaturę na posła. Nazajutrz Nowaczyński ogłosił w „Nowej Gazecie“ jeden ze swych zwykłych pamfletów, w którym bardzo ostro zaatakował Kisielewskiego i nazwał go „panem Janem a jeszcze bardziej Augustem“. Kisielewski poprzyśiął mu zemstę. Kupił szpicrutę i poszedł z nią na najbliższą premjerę do teatru Rozmaitości, aby się rozprawić publicznie ze swym antagonistą. Nowaczyński dowiedział się jakoś o tym zamiarze i udał się do Rozmaitości również ze szpicrutą. Ujrzełszy na korytarzu osobliwą scenę: obydwoj wrogowie chodzili obok siebie, jak tygrysy, pożerali się oczami i potrząsali groźnie szpicrutami, ale — żaden nie chciał „zacząć pierwszy“. Obelgi nie były pomszczone „czynnie“: Kisielewski przeniósł walkę na teren czasopism.

Wkrótce Kisielewski porzuca i politykę. Wyjeżdża

do Lwowa z odczytem o Horsztyńskim. Nie był to właściwy odczyt, ale interesująco napisana nowela, osnuta na temacie Słowackiego. Znowu staje się na chwilę bohaterem dnia, znowu przechodzi moment upojenia. Otrzymuje współpracownictwo w „Słowie polskim“, jako sprawozdawca teatralny. Traktuje autorów wyniośle i pogardliwie. Bernarda Shawa np. nazywa „amerykaninem“ (!), widzi w nim „doskonały okaz amerykańskiej psychy“ a z okazji „Candidy“, jednej z najlepszych sztuk Shawa, pisze: „Trzeba mieć tępość zarośniętego nawozem brazylijskiego bawołu, aby w ten sposób tworzyć sztukę piękną“. Taka jednak „swoboda“ wypowiedziania sądów wpływała dodatnio na usposobienie Kisielewskiego. Prowadzi żywot niemal normalny aż do chwili, gdy nikt nie zaczepia jego wielkości. W końcu listopada 1906 wysłał Kisielewski do redaktora „Słowa polskiego“, Z. Wasilewskiego niezwykle gwałtowny list spowodowany, iż jakiś Aldor „w mały sposób parodjuje jego styl“, a inny znów pan A ż. — „ośmiela się zadawać kłam“ jego twierdzeniom. Wobec tego Kisielewski oświadcza, iż nie pójdzie tegoż dnia na premierę „Bolesława Śmiałego“, o ile Wasilewski nie dopełni pięciu warunków, wśród których jeden dotyczy podwyższenia pensji o 50%, drugi — zmiany korektora i gwarancji, że „pomyłki korektorskie nie ponowią się“ a pozostałe brzmią tak: 1) „ponieważ nie mogę bywać w redakcji, której sam szef od 3-ch miesięcy nie zdecydował się, czy ma mówić do mnie „wy“, jak do „swoich ludzi“, czy... „eś pan“, jak do swojego re-

portera — woźny redakcyjny będzie przychodził do mojego mieszkania codziennie o godzinie 9-ej rano z pocztą dla mnie i po dyspozycję; 2) usuwa się wszystko z pisma, aby zrobić miejsce mojej Osobie i nie wandalizować takiej rzeczy jak o Horsztyńskim 70 wierszami co trzeci dzień *)).

Wasilewski odpowiedział, że „takiej posady“, o jakiej Kisielewski mówi, „nie było i niema“; że rezygnację przyjmuje i zwraca uwagę, że „wypowiedzenie pracy na pół godziny naprzód nie jest praktykowane“.

Wrócił Kisielewski do Warszawy i zaczął pisywać recenzje w „Gońcu“. Rozpoczęła się w tym czasie żałosna epoka jego życia: manja wielkości weszła w stadium zdecydowanej choroby, której pierwsze wyraźne objawy ukazały się w styczniu 1910 r. Próbowano zabiegów lekarskich, sanatorjów i szpitali we Lwowie, Kulparkowie, Pruszkowie, Drewnicy; ale manja była chroniczna i nieszkodliwa, więc często zalecano trzymanie chorego na wolności. Nadchodziły niekiedy l u c i d a i n t e r v a l l a i wtedy Kisielewski próbował pisać: w 1911 ogłosił nowelę w „Miesięczniku lit.-artystycznym“ („Träumerei Schumanna“) a w dwa lata później w „Tygodniku Ilustrowanym“ („Tytan“). Były to już ostatnie jego próby powrotu do życia twórczego. Chodził po całych dniach po kawiarniach i opowiadał o swojej sławie.

*) Korespondencja Kisielewskiego z red. Wasilewskim znajduje się w Bibliotece Narodowej (przyp. aut.).

Podczas okupacji stawał często przed cukiernią na Placu Teatralnym i zaczynał przechodzących kolegów lub znajomych prośbą o pożyczanie kilku marek. Gdy tych marek nabierał pewną ilość, wsiadał do dorożki i kazał się wozić po mieście przez kilka godzin. Pewnego dnia padł na ulicy, rażony paraliżem. Zaniesiono go do mieszkania w hotelu Litewskim a stamtąd brat, Zygmunt przewiózł go do szpitala Jana Bożego. Umarł w trzy dni później z zupełną przytomnością umysłu.

*

Chorobę Kisielewskiego wiedza medyczna nazwała: p a r a n o i a, to jest usystematyzowane majaczenie, wynikające z konstytucjonalnej dążności do nadmiernej pychy. Paranoicy dochodzą zazwyczaj do dwóch psychoz, w których znajduje się najczęściej połączenie manji wielkości z manją prześladowczą. U Kisielewskiego przeważała pierwsza. Usiłowano odnaleźć w p a r a n o i Kisielewskiego następstwa choroby nabytej; badania nie dowiodły racji tego przypuszczenia. Źródło obłędu mieściło się może w jakichś tajemnych prądach obciążeń dziedzicznych. Równowagę umysłu stracił Kisielewski zaraz po niebywałym tryumfie sztuki „W sieci“. Już wówczas Przybyszewski bolał, że Jan August jest „opętany manją wielkości“.

Tradycja rodziny Kisielewskiego niewiele przekazała szczegółów o jego przodkach. W każdym razie dziwną by-

ła karjera życiowa jego dziada, Daniela Kisielewskiego. Ukończył prawo we Lwowie, ożenił się z p. Rościszewską, przeniósł się do Tarnowa i kupił pod miastem mały folwarczek. Nie wystarczały mu dochody, więc... stał się nauczycielem tańca w Tarnowie i okolicy. Liczne swe potomstwo schłopił, nie dając dzieciom żadnego wykształcenia. Szukano w tem nakazów jakiegoś pseudo-demokratyzmu i wpływów roku 1848, ale są to domysły jedynie.

Tejże samej sztuki tańca nauczył się ojciec Jana Augusta, August Kisielewski, który zamieszkał najpierw w Rzeszowie a potem w Podgórzu i z trzema kolejnymi żonami urodził 19-ro dzieci. Był on despotą i impetykiem niezwykłym. Miał system wychowania pierwotny. W swej „wie romancée“ pisze Zygmunt Kisielewski (brat Jana Augusta): „Zazwyczaj dzień kończącego się półrocza był dniem oplakany. Ojciec, obejrzawszy świadectwo, udawał się — zależnie od pory roku — do drwalni albo do ogrodu, a dzieci uderzały w bek. Po jakimś czasie bowiem ojciec wracał z kilku starannie wybranymi pretami i po kolei wzywał synów do „bawialni“. Egzekucja odbywała się zazwyczaj na czerwonym fotelu pluszowym, powygryzonym przez mole“.

Jan August nie mógł znieść atmosfery domowej. Wydalony z szóstej klasy za należenie do jakiegoś tajnego związku politycznego, zerwał z ojcem i przyjął miejsce pisarza u adwokata w Krakowie. W owym czasie zaczął tworzyć. Pewnego dnia poszedł z olbrzymią paką folja-

łów do Pawlikowskiego: był to manuskrypt obu części „W sieci“. Pawlikowski powitał małego człowieczka ironicznym zdziwieniem, że udźwignął tak wielką pakę... Ale — zabrał się niebawem do czytania manuskryptu i czytał go przez całą noc. On to zdecydował o karierze Jana Augusta, dał bowiem sztuce zespół wyjątkowo szczęśliwie dobrany i świetny.

Nie przewidywał znakomity dyrektor, że, zaraz po tym szalonym locie twórczym młodziutkiego djurnisty adwokackiego, połamią mu się skrzydła a w mózgu jego otworzy się tragiczna przepaść, którą wypełni po brzegi manja wielkości. Cała twórczość dramatyczna Kisielewskiego trwała zaledwie — osiemnaście miesięcy!...

NARODZINY PROGRAMU

Okolo roku 1890 napłynęła do Paryża znaczna fala polskiej młodzieży uniwersyteckiej. Powiększyła poprzednią już kolonję studencką, która powstała wskutek masowych rugów z Uniwersytetu Warszawskiego po głośnych zaburzeniach apuchtinowskich. Oprócz studentów przybywały z Polski licznymi partjami młode kobiety, których bywało niekiedy na studjach w Szkole Medycznej i w Sorbonie po siedemdziesiąt jednocześnie. Do tej kolonji, mieszkającej na lewym brzegu Sekwany, w okolicach bulwarów: St. Michel, du Port-Royal, Arago, St. Marcel i Avenue des Gobelins, przyłączyła się pewna ilość literatów i malarzy. Studja zawodowe odbywano zazwyczaj długo: zdarzali się tacy, którzy kończyli medycynę po kilkunastu dopiero latach. Przeszkody w normalnej nauce bywały dwie: z jednej strony brak środków, z drugiej — odsuwanie się od Francuzów. Utworzono świątek zupełnie zamknięty, rodzaj Pacanowa na gruncie wielkiego miasta, w którym wszyscy znali się na wylot, wiedzieli o sobie wszystko, wiedzieli nawet zawiele. Plotka była stałym, niewyczerpanym pokarmem duchowym, którym

się sycono przy każdym zetknięciu: na ulicy, w domu, w szkole. Bywali tacy, którzy po siedmiu latach pobytu w Paryżu, nie byli w stanie powiedzieć poprawnie kilku zdań po francusku. Nie chodzono do teatrów, nie szukano łączności z intelektualną kulturą francuską. „Koleżanki“ pożerały co rano zbrodniczo-miłosny feljeton dziennika „L'Eclair“ a przy spotkaniu prowadziły takie djałogi: — „Cóż pani na to? Gaston oświadczył się Alicji!“

Młodzież męska nie miała widoków na powrót do kraju na stałe, więc, zwyczajem ogólnym na wyższych uczelniach zagranicznych, dzieliła się na grupy partyjne. Zdarzało się nieraz, że ludzie, nawet zgodni w sprawach zasadniczych, znajdowali różnorodne powody do osobistych antypatyj, aby się odgradzać od siebie. Podobni byli do niektórych literatów warszawskich: nie wdawali się z byle kim i dlatego unikali się wzajemnie... W ogólnem podrażnieniu i podnieceniu, gdy się zebrało więcej, niż trzech ludzi, tworzył się natychmiast „komitet“, który szukał stronników, prowadził subtelne intryżki, aby rozbić grupę inną. Szarpiąca nerwy bieda pomagała znacznie do takiego rozczłonkowania.

Studentki były naogół zamożniejsze od kolegów, chociaż i pośród nich spotykano bardzo ubogie. Natomiast studenci, w znacznej części przekonani radykalnych, często starsi już wiekiem, żyli nieraz w zupełnej nędzy. Niedostatek nie przeszkadzał im zresztą w zakładaniu ognisk domowych. Gdy się rozeszły po kraju wiadomości, że ta

lub owa kandydatka medycyny lub Sorbony wyszła w Paryżu za mąż (czyli, jak mówiono w kolonji, „przeszła na przyrodę“...), — napływ studentek powiększał się z roku na rok. Kolega, poszukujący stroniczek, wypatrywał sokolem okiem każdą, która dopiero co przyjechała, zapoznawał się z nią natychmiast i, chociaż poważny jak senator, oddawał jej na wstępie wiele drobnych przysług a jednocześnie olśniewał potęgą swego programu politycznego. Entuzjastyczne przyjęcie tak oszałamiało, że jedna koleżanka napisała poprostu odczyt „O studentce w stosunkach koleżeńskich zagranicą“ i wygłosiła go, na podziękowanie, w towarzystwie samopomocy. Jeżeli koleżanka była „dobrym materiałem“ partyjnym, wówczas kolega odwiedzał ją bardzo często. Z początku mówił jej obszernie i mętnie o „materjalizmie dziejowym“, przynosił ze sklepu masło i bułki, ażeby jej samej nie trudzić wchodzeniem na szóste piętro, aż pewnego pięknego poranku składał w darze swe biedne, wytęsknione, wydręczone serce studenckie. Naturalnie, — z dobrym skutkiem i od tej pory zaczynało się klepanie biedy we dwoje. Niekiedy uczącej się córce towarzyszyła matka, ze względu na jej „młody wiek“, a więcej jeszcze dlatego, aby sama mogła poznać Paryż „przy sposobności...“

*

Jedna, dość liczna grupa głodomorków studenckich mieszkała w dużej, pospolitej, sześciopiętrowej oficynie

przy ulicy de la Glacière 20, podzielonej na jednopokojowe mieszkania. Na dole, w tym samym domu mieściła się popularna w kolonji restauracja polska Stanisława Kocha, emigranta specjalnego typu, bo... uciekł z wojny rosyjsko-tureckiej i osiedlił się w Paryżu. Wyświadczał on młodzieży studjującej bardzo poważne usługi. Grupa składała się z samej młodzieży radykalnej. Oprócz słuchaczy medycyny, którzy przeważali ilościowo, należało do niej kilku literatów: Antoni Lange (znakomity później poeta), Edward Przewóski, krytyk, Tadeusz Jaroszyński (uprawiający wówczas malarstwo), dr. Antoni Złotnicki, który nie miał prawa praktyki w Paryżu, więc pisywał do „Przeglądu Tygodniowego“ studia z zakresu psychologii i filozofji. Duszą całej grupy był Stanisław Barański, student medycyny, poświęcający się jednak głównie polityce. Wybitny dialektyk, świetny, pełen temperamentu mówca, pisarz polityczny pierwszorzędnny, wywierał on wielki wpływ na kolegów. Jeszcze jako uczeń ósmej klasy w trzecim gimnazjum warszawskim, zamieszany był w proces „Proletarjatu“ i odsiedział kilka miesięcy w Cytadeli. Gdy się zapisał do Uniwersytetu, rozpoczął propagandę współkoniczności socjalizmu z walką o niepodległość. Podczas zaburzeń apuchtinowskich policzono go do najbardziej winnych i osadzono najpierw na osiem miesięcy w Cytadeli, a następnie razem z Kruśńskim i innymi przewieziono na sześciotygodniowe więzienie do Petersburga.

Przybył Barański do Paryża i zapisał się na studia

medyczne; ale temperament rewolucyjny, oswobodzony z oków knutowej legalności, parł go w jednym wyłącznie kierunku: — pracy społecznej. Widziano go na wszelkich wiecach polskich. Wszędzie zabierał głos śmiały, jasny i wybitny. Polemistą był wyjątkowo zręcznym i zdolnym; czujnie podchwytował słabe strony przeciwnika, własne zaś argumenty wysuwał gładko, roztrząsał logicznie, konkludował mocno. Jego nadzwyczajnie piękna, uduchowiona twarz, okolona bujną czarną czupryną, płonęła ogniem, kiedy mówił publicznie. Gdy się pojawił na bruku paryskim nowy, zwłaszcza młody przybysz z zamiarem studiów lub z postanowieniem dłuższego pobytu, zasięgał o nim Barański najszczegółowszych wiadomości. Wchodził z interesującym kandydatem w dłuższe dysputy, wstrząsał duszą zadrzemaną w niewoli i domagał się wspólnej pracy społecznej.

W grupie „glasjerskiej“ Barański był niemal prorokiem. Podziwiali go nawet tacy, których drażniła jego bezwzględność. Przez kilka lat spędzano na „Glasjerze“ czas w sposób osobliwy. Nie było z czego żyć. Wstawano późno, poczem cała gromada zbierała się w pokoju jednego z kolegów i rozpoczynały się dyskusje, trwające bez końca. Wieczorem wracał kolega Władysław Ratuld (głośny później okulista), który już był na ukończeniu studiów medycznych, więc się tymczasem zaciągnął, dla zarobku, na pomocnika... w aptece. Przynosił co wieczór pięć franków. Posyłano do „crêmerie“ po gotowany groch lub inne „najpożywniejsze“ potrawy jarzynowe, cała gro-

mada rewolucjonistów zasiadała wokoło wielkiej miski na podłodze i — zajadała, przegryzając chlebem. Najgorzej było z herbatą, nie posiadano bowiem dostatecznej ilości szklanek: jeden musiał czekać na drugiego. Ratuld urządził się chytrze: swojej szklanki nie mył z zasady, więc... nikt jej nie ruszał i nie potrzeba było czekać na kolejkę. Okazje zarobków zdarzały się rzadko. Bardzo pożądanym dla „glasjerczyków“ był — śnieg. Niestety, gość to nieczęsty w Paryżu. Gdy się pojawił, gromadka glasjerska zaciągała się do sprząwania ulic, za co płacono po 10 franków dziennie.

Bywali jednak mądrale wybitnie przemysłni w wynajdywaniu sposobów na głód. Kolega Szczypiorski (późniejszy lekarz, osiedlony we Francji) zalecał zbawienną metodę leżenia w łóżku bez ruchu i stwierdzał własnym doświadczeniem, że tą drogą można, przy popijaniu herbaty, wytrzymać a nawet uczyć się przez tydzień bez jedzenia. Inny kolega, zazwyczaj goły, jak święty turecki, przyniósł któregoś dnia kilka franków i tryumfalnie rzucał je całej gromadzie na zakup prowiantów. Wywołało to wielką sensację. Jak? skąd? dlaczego?

— Chodzę — wyjaśnił kolega tajemniczo — na dworce i na hale. Tam zawsze jakiś śpieszący się „burzuj“ gubi pieniądze.

Rewelację powitano gromkim śmiechem. Gdy nastąpiła cisza, Jaroszyński sztucznie ponurym głosem zauważył:

— Porządny człowiek patrzy zawsze przed siebie. Tylko świnia opuszcza ryj na dół...

Miewał też własne „genjalne“ pomysły Antoni Lange. Niektóre zyskały szeroką popularność w kolonji. Pewnego razu postanowił za „ciężko pożyczone“ pieniądze urządzić sobie ucztę: kupić tytoniu i wypić szklanekę „czarnej“. Niestety, na ten zbytek pożyczona suma była zbyt mała: wynosiła zaledwie 15 centymów. Ale od czegoż kalkulacja? Lange wyrozumował sobie tak:

— Tytuń („deux sous à fumer“) — dziesięć centymów; czarna — także dziesięć. Nie wystarczy. Już wiem, co zrobić: pojedę na Batignolles do Auscalera, tam się napiję porządnej kawy, zdobędę nieco tytoniu i pożyczę pieniędzy na powrót.

Kolega Auscaler był „pionem“ (t. j. korepetytorem) w polskiej Szkole Batignolskiej. Podróż do niego omnibusem trwała godzinę w jedną stronę i kosztowała właśnie 15 centymów. Biedny „Lanżuś“ nie zastał go w domu i — musiał wracać na Glasjerę piechotą!...

Restaurator Koch udzielał rozległego kredytu studentom medycyny, którzy już przeszli znaczniejszą część studjów. Układał się z nimi, że po ustaleniu praktyki medycznej, będą mu spłacali dług ratami. Taki wspaniało-myślny kredyt zmienił na lepsze troski żywnościowe glajsjerczyków. Zbierano się na obiadach u Kocha, i tam dalej dyskutowano zawzięcie. Przy wielkim stole zasiadali Polacy, Rosjanie i Żydzi. Przychodził tam również stary rewolucjonista rosyjski, „pułkownik“ Sokołow, który

brał podobno udział po naszej stronie w Powstaniu 63 r. Był to typowy „bywszj dzieławiek“: pił bez miary, aby zalać „tasku“, wspominał lepsze czasy, „plewał“ na carat i „padlecow“ - rodaków. Pewnego razu Sokołow siedział przy stole z Barańskim i gawędził z nim przyjaźnie. Na końcu stołu zasiadło dwóch Litwaków: jeden „iz Wilny“, drugi — „iz Biełostoka“. Prowadzili ze sobą zajadłą dyskusję; „raskusywali waprosy“. W pewnej chwili posłyszano taki ich djalog:

— Nu, czoż wy Ruskije sdieli?

— My sbrosili tatarskoje igo, Polszu pakarili... (zrzuciliśmy jarzmo tatarskie, podbiliśmy Polskę).

Sokołow grubym basem zawołał na cały głos:

— Pamiłujtie, Baranskij, dajtieże etomu pakaritielu w mordu... (zlituj się pan, dajżeż temu zwycięzcy w pysk).

Litwacy powstali i szybko wynieśli się z restauracji.

Niektóre koleżanki urządzały „jours-fixes“ z herbatą i suchymi „albertami“ (herbatnikami). Wtedy dyskusje, odbywane wobec dam, nabierały specjalnego ferworu. Raz, około północy towarzystwo rozgadanych ideologów spostrzegło, że braknie już papierosów. Gorzej, bo stwierdzono, że nikt z obecnych nie ma ani grosza. Przy kominu, na małym stołeczku siedział doktor Żłotnicki, zwany „nirwanistą“, gdyż ze swojej włóczęgi po wschodzie przywiózł kult dla Buddy. Uproszono go, aby poraz setny zaśpiewał swą piosenkę o Nirwanie, pod którą podłożył smętną melodię z jakiejś starej opery. Wiersze nie były

kunsztowne, ale — przepojone beznadziejną melancholją. Pamiętam pierwszą strofę, którą nieraz śpiewaliśmy chórem na podmiejskich spacerach:

*„W błogiej spocząć chcę Nirwanie,
W zapomnienia oceanie,
Tam nie ujrzę łez niedoli,
Nie usłyszę smutnych pieśni,
Serce więcej nie zaboli,
Krew nie tryśnie ze swych cieśni,
Tam w Nirwanie zapomnienia,
Tam w Nirwanie zapomnienia“:*

Złotnicki otrzymywał kiedyś skromne honoraria z „Przeglądu Tygodniowego“, ale chował je zażadośnie przed kolegami. Wiedzieli o tem wszyscy. Figlarny Jaroszyński, po chóralnem odśpiewaniu pierwszej strofy „Nirwany“, oznajmił głośno:

— Proszę państwa, zaraz będą pieniądze na tytoń!

Podbiegł zwinnie do Złotnickiego, schwytał go za nogi, podniósł je do góry i potrząsnął niemi silnie. Posypały się z kieszeni franki... Tytoń natychmiast kupiono u sąsiedniego „marchand de vin“.

Grupa glosjerska prowadziła nieraz spory przez całą noc, ku wielkiemu oburzeniu sąsiadów-Francuzów, którzy nie znoszą głośnych rozmów po godzinie dziesiątej wieczorem. Czekwały ich pod tym względem gorsze niespodzianki. W zażartych sporach ideowych padały miażdżące obelgi takiego pokroju:

— Taki argument może wysunąć tylko skończony idjota!

Nazajutrz rano lekkomyślny ideolog otrzymywał wyzwanie na pojedynek. Całą noc trzaskały w pokojach szpady i rozlegały się głośne lekcje fechtunku. Najbardziej biadał nad taką „sprawą honorową“ restaurator Koch, bo musiał pożyczać pieniądze na wynajęcie szpad czy pistoletów a pogodzeni pojedyńkowicze, wraz z sekundantami i lekarzami, spożywali u niego „eleganckie“ śniadanie, również na kredyt udzielane.

Skargi lokatorów na niesfornych Polaków sprowadzały gospodarza domu, który sobie czasem przypominał, że „ces vauriens“ nie płacą mu komornego od wielu miesięcy. Zaczepiwszy raz Barańskiego, gospodarz delikatnie zagadnął:

— Panie Barański, co będzie z mojem komornem! Kiedy otrzymam pieniądze?

Barański odpowiedział ze sztucznym humorem:

— Jak będę miał pieniądze, to... kupię sobie parasol...

— Pan żartuje, ale u nas we Francji to tak nie można.

Barański otworzył portmonetkę i przekonał gospodarza, że ma tylko dwa franki. Francuz pokiwał głową, uśmiechnął się kwaśno, potem wsunął rękę do portmonetki i zabrał dwa franki, mówiąc:

— Deux francs c'est toujours deux francs...

Śród długich dyskusyj gласjerskich dojrzewała potrzeba organizacji grupy. Sprawa niepodległości wysuwała się na czoło wszystkich rozważań politycznych Barańskiego. Podziwiał Manifest Towarzystwa Demokratycznego, rozczytywał się w pismach emigracyjnych a zwłaszcza w Mochnackim, szukał kontaktu z resztą pozostałych uczestników powstań i spisków rewolucyjnych. Na święta jeździło się do „Dziadziusiów“ w Juvisy, gdzie był Dom Schronienia dla starców, którzy brali niegdyś udział w naszych walkach zbrojnych. Zanoszono im podarki żywnościowe, prowadzono z nimi gawędy o dawnych czasach i niekiedy ofiarowywano im... obietnice. Jeden z „Dziadziusiów“ wyraził raz tęsknotę do zapoznania się z „Ogniem i mieczem“. Kolega Ratuld przyrzekł z miejsca:

— Przyślemy Dziadziowi napewno.

Gdy takich obietnic rzucił kilka, któryś z przyjezdnych zapytał:

— Po co ty ich łudzisz, kiedy nie dotrzymasz obietnicy?

— Niech się pocieszą, — tłumaczył Ratuld — przecież długo nie pożyją...

„Dziadziusiowie“ byli żywym łącznikiem pokoleń w trosce o niepodległość, otaczano ich przeto w grupie gласjerskiej głęboką czcią.

Barański przystąpił wreszcie do realizacji swych zamierzeń. Założył „Gminę Narodowo-Socjalistyczną“, do której zarządu weszli w różnych czasach, oprócz organizatora: Kazimierz Dłuski, A. Złotnicki, Marja Sulicka, Marja Szeliga, Władysław Ratuld, Antoni Lange, Tadeusz Jaroszyński, dr. Janowicz, Jan Lorentowicz. Bliższe stosunki z gminą zawiązał Bolesław Limanowski. Śród sympatyków, którzy zasilali gminę funduszami, wymienić należy w pierwszym rzędzie: doktora Henryka Gierszyńskiego z Ouarville'u, d-ra Ohryckiego i d-ra Szcypiorskiego.

Chodziło jeszcze o własny organ „Gminy“. Barański przedarł się potajemnie do kraju, aby zbadać nastroje młodzieży i przygotować grunt do przyszłej propagandy. Wrócił pełen wiary i energii i wkrótce wyszedł pierwszy, zeszytowy numer miesięcznika „Pobudka“. W programie podkreślono stanowczo punkty, nie uwzględnione dotychczas przez organizacje socjalistyczne: „Dążyć będziemy do odzyskania niepodległości Polski, jako jedynej poważnej gwarancji swobód narodowych, wobec zagrożonych przez najazd praw bytu i pomyślnego rozwoju narodu polskiego“. „Kwestję niepodległości Polski i kwestję socjalną uważamy za nierozdzielne, niezależnie jedna od drugiej do rozstrzygnięcia niemożliwe. Rewolucję międzynarodową rozumiemy jako koalicję rewolucyj, dokonujących się w łonie pojedynczych narodów“.

Artykuły w „Pobudce“, ogłaszane przeważnie przez członków „Gminy“, podpisywane były pseudonimami.

Jeden tylko Bolesław Limanowski, który do każdego niemal zeszytu dawał swe prace, podpisywał je imieniem i nazwiskiem. Dla kolonji polskiej w Paryżu ukazanie się „Pobudki“ było nielada sensacją. „Batignolczycy“ odżegnawali się od naszego socjalizmu; toż samo czynili niektórzy starzy emigranci, którzy niegdyś należeli do Tow. Demokratycznego. Jeden z nich, staruszek Staniewicz, napisał nawet obszernie „pisemko“, rodzaj broszury ślicznie wykaligrafowanej, w której zwalczał nasze „zasady“ i „cele“. Wielką popularność zdobyły poezje Antoniego Langego, podpisywane pseudonimem „Napierski“. Są to nie tylko jedne z najpiękniejszych naszych poezyj rewolucyjnych, ale i jedyne w twórczości poetyckiej Langego wiersze pod względem dynamiki uczuciowej. Deklamowano je na różnych wieczorach paryskich; rozpałała się nimi młodzież uniwersytecka w zaborze rosyjskim. Alzacyjny Chacre, wielki przyjaciel Polski, któremu tłumaczyłem raz niezwykle metafory Langego w jego utworze „Pogrobowcom“, zawołał nagle:

— Diable, où a-t-il vu tout ça? (do djaska, gdzie on to wszystko widział).

Zeszyty „Pobudki“ były kosztowne; węższe środki „Gminy“ nie wystarczały na ich regularne wydawanie. Po dwóch latach zdecydował się Barański na wydawnictwo tańsze, w wielkich arkuszach. Ale i z tem nie było łatwo. Szukając nowych adherentów, założył Barański przy „Związku Narodowym Polskim“ we Francji „Grupę im. St. Worcella“, aby młodsze pokolenie, czasowo lub

stale w Paryżu przebywające, mogło uświadamiać sobie wspólnie konieczność rewolucyjnych dążeń. Tymczasem siły wielkiego zapaleńca wyczerpywały się z dnia na dzień. Gorączkowe życie rozpałał w sobie jeszcze mocniej wskutek własnej bezsilności. Płonął jak krzak gorejący i — spłonął w 32-gim roku życia. Przed śmiercią napisał taką bolesną refleksję: „Całe życie płynąć przeciw prądowi, całe życie toczyć syzyfowy kamień rewolucji, upadając pod jego ciężarem w proch codziennego życia, całe życie wołać na puszcy wśród niemych głazów, o które pustem echem odbija się krzyk zbolelej duszy — oto los dzisiejszego rewolucjonisty. Za wiele kochamy, za silnie nie-nawidzimy, aby wołanie nasze mogło znaleźć oddźwięk w cenzurowanej duszy społeczeństwa, któremu wszelkie silniejsze wzruszenia są przez policję surowo wzbrowione“.

Po śmierci Barańskiego prowadziłem redakcję „Pobudki“ przez dwa lata. Warunki finansowe mieliśmy nie mniej ciężkie, chociaż przybyło nam w gminie nieco ważnych zwolenników. Ale ci, którzy kończyli studja w Paryżu, rozpraszali się po całej Francji i kontakt z nimi był już trudniejszy. Nasze hasło niepodległości poruszyło polskie sfery rewolucyjne a londyński „Proletarjat“ Mendelsoina, który nas zrazu zwalczał, jako „socjal-patrjotów“, zaczął później zastanawiać się w swem gronie redakcyjnem nad naszymi hasłami. Wiosną 1892 roku przyjechali do mnie z Londynu, z ramienia proletarjackiej grupy: najpierw Dębski a potem — Mendelson i W. Jod-

ko. Proponowali mi połączenie naszych usiłowań. Z rozmowy z nimi wywnioskowałem, że podejrzewają, iż nasza Gmina posiada znaczne zasoby pieniężne. Ani im na myśl, oczywiście, nie przyszło, że właśnie poprzedniego dnia sprzedać musiałem... nowiutkie ubranie, którego się dorobiłem, aby móżdż wykupić numer „Pobudki“ z drukarni: potrzeba było dla tego zabiegu... 30 franków! Goście londyńscy oznajmili mi, iż urządzają w Paryżu ogólny zjazd socjalistów polskich i zaprosili mnie na ten zjazd. Oświadczyli, że zjazd odbywać się będzie pod hasłem niepodległości, więc udział chętnie przyrzekłem. Na zjeździe zatryumfowała całkowicie idea niepodległości w formie, propagowanej przez „Pobudkę“. Wybrano mnie, jako delegata „Gminy Narodowo-Socjalistycznej“ do pierwszej Centralizacji P. P. S.

Krwawy trud Barańskiego wydał owoce w dwa lata po jego zgonie.

WALKA O PROCHY WIESZCZA

Wiadomość, że prochy Mickiewicza zostaną nareszcie przewiezione na Wawel, powitały w Paryżu trzy pokolenia Polaków. Pierwsze stanowiła niewielka już garstka tych, którzy znali Poetę, t. j. emigranci z r. 1831. Było ich jeszcze w owym czasie około siedemdziesięciu weteranów, korzystających z pomocy zasłużonej „Instytucji Czci i Chleba“, która ich pomieściła w schronisku św. Kazimierza w Paryżu i w domu starców w Juvisy. Otrzymywali drobne „emerytury“, pobierali nadto skromniutkie „pensje“ od rządu francuskiego. Ostatni ich przedstawiciel, Józef Kownacki, zmarł w styczniu 1908 r., mając lat sto trzy. Drugie, daleko liczniejsze pokolenie reprezentowali emigranci z r. 1863, z których mała część korzystała również z zasiłków „Instytucji Czci i Chleba“, większość zaś rozproszyła się wśród Francuzów, żyjąc z pracy zawodowej, zdobywając mir w kolonji polskiej i politykując zawzięcie. Wreszcie trzecie, najmłodsze składało się z licznej młodzieży uniwersyteckiej, najczęściej skompromitowanej politycznie w kraju i utrzymującej bliższe stosunki z adeptami sztuk plastycznych, kształcących się

po akademjach. Znaczna też była ilość Polaków mieszkających wówczas stale lub czasowo w Paryżu. Obliczono, że kolonja polska w Paryżu około 1890 r. liczyła 6.000 osób.

Były wśród niej elementy czynne społecznie, były też zupełnie bierne. Śród pierwszych wrzały wciąż „potępięncze swary“, przypominające atmosferę emigracyjną z r. 1832, którą Bohdan Zaleski tak opisywał w liście do Nabelaka: „Pojedynki, swary, hałasy, aż bolą uszy, a jeszcze więcej serca. Drobne, różnofarbne stronnictwa, które się już zarysowały w Warszawie, jak pocięty padalec, dziś w drobniejsze, coraz liczniejsze krające się pierścienie, skaczą na różne strony, a wszystkie syczą i buchają nawzajem na siebie jadem. Puławski i demokraci na Lelewela, Czartoryski i arystokraci na Lelewela i demokratów, wojskowi na wszystkich, wszyscy na wojskowych... Każdy chce swój kształt rządu zaprowadzić w Polsce, której niema, która się jeszcze nie urodziła a w dawnej Polsce, którą oplakujemy, nikt nic dobrego nie wymyślił... Polska zmartwychwstanie, ale przez ludy, na ruinie wszystkich tronów i wszystkich feudalnych instytucyj“.

„Hotel Lambert“ stracił swe znaczenie, grupa czartoryszczyków zmalała do liczby kilkunastu najwierniejszych stronników, popieranym przez księcia materialnie, tradycje dworu „króla *de facto*“ zagasły, ośmieszona i wyszydzone ostatecznie. Jedynym znakiem dawnej świetności było Tow. Historyczno-Literackie, liczące w r. 1890 jeszcze 87, mniej lub więcej anonimowych przedstawicieli

wiedzy historycznej. Prezesem rady obrali oni księcia Władysława Czartoryskiego, mecenasa ich skromnych poczyznań wydawniczych.

Reprezentację kolonji polskiej pragnęli uzurpować t. zw. „batignolczycy“, którzy burmistrzowali przy każdej sposobności, powiewali sztandarem najtańszego patryjotyzmu, oszałamiali siebie i innych łatwym a pustym fraze-sem, zamykali się w najskrajniejszym wstecznicwie.

Tym grupom i „stronictwom“ przeciwstawiła się energicznie młodzież radykalna, która stanowiła większość kształcącej się kolonji. Toczyła ona z „batignolczykami“ nieustanne walki, z drugiej strony zaś ośmieszała autorytet księcia i jego zwolenników. Łączyła żarliwy patryjotyzm z wyraźnym programem organizacji stosunków społecznych w przyszłej Polsce. Przynosiła gorącą wiarę i bezinteresowność poczyznań.

*

Gdy zapadła decyzja przewiezienia zwłok Mickiewicza na Wawel, w każdej z grup emigracyjnych rodziło się nie ujawnione publicznie, ale ukryte w myślach pytanie: do kogo należą te prochy Wieszcza? Każda z grup pragnęła zamanifestować swoje do nich prawo. Najżywiej zajęła się sprawą młodzież radykalna. Utworzyła komitet, podzielony na sekcje. Należałem do sekcji propagandowej, której potrzebę wywołała taka osobliwa notatka, pomieszczona w paryskim dzienniku „le Figaro“: „Car pozwolił na przewiezienie zwłok poety polskiego,

Adama Mickiewicza na Wawel pod Warszawą“. Chodziliśmy we trzech po różnych redakcjach francuskich, którym proponowaliśmy drobne artykułiki o Mickiewiczu. Poznałem wówczas poraz pierwszy chińszczyznę francuską, której później miałem pełno dowodów na każdym kroku. Sekretarze redakcji stawiali nam pytania: „A któż to był ten Mickiewicz? generał?“ — albo: „Czy pisał po rosyjsku?“

Artykułiki nasze skracano w sposób niedorzeczny i nie umiano nawet przepisać dokładnie nazwiska Mickiewicza. Była to epoka najtkliwszego rozczulenia w przymerzu francusko-rosyjskim, niektóre więc dzienniki wcale nie chciały drukować wiadomości o naszym poecie, gdy się dowiadywały o jego istotnem wobec caratu stanowisku. Zebrane razem notatki francuskie o ekshumacji w Montmorency dałyby bardzo smętne świadectwo o ówczesnych nastrojach Francuzów.

Zdawaliśmy sobie dobrze sprawę, że pierwsze prawo do prochów ojca ma Władysław Mickiewicz, który całe swe życie poświęcił opiewaniu jego chwały i położył w tej dziedzinie niepożyte zasługi. Ale wiedzieliśmy, że p. Władysław, pomimo konieczności obcowania z Czartoryskim i „batignolczykami“, był przekonany dość radykalnych i że stanowisku młodzieży kształcącej się będzie raczej sprzyjał pocichu. Istotnie Władysław Mickiewicz, podczas organizowania uroczystości ekshumacyjnej, dokonał kilku ważnych posunięć, które mu zjednały sympatję nas wszystkich.

Domyślano się, że na cmentarzu w Montmorency ze-
chce wystąpić Towarzystwo Historyczno-Literackie, zwią-
zane tradycją z Adamem Mickiewiczem. Przedstawicie-
lem tego Towarzystwa na uroczystości ekshumacyjnej
miał być znany historyk, Kazimierz Waliszewski, który
w swych pracach francuskich o Rosji wielbił carat, poni-
żał Polskę, rzucał na nią oszczerstwa.

Według jego dowodzeń, cała nasza historia była na-
turalnem przygotowaniem do pochłonięcia Polski przez
Rosję. „Opóźnić to pochłonięcie — było przeszkadza-
niem, a ułatwiać je, znaczyło — przyspieszać wykona-
nie wyroku przeznaczenia“. Władysław Mickiewicz oba-
wiał się słusznie, że wysunięcie Waliszewskiego na mów-
cę nad trumną Mickiewicza może wywołać skandal na
cmentarzu. Obawy swe zakomunikował Czartoryskiemu,
który tak bronił swego protegowanego: „Jeśli go ode-
pchniemy, porzuci ostatecznie sprawę narodową. Ludzi
zdolnych spotyka się rzadko. Myślę, że nie powinienem
zaniedbać niczego, aby go powstrzymać od stoczenia się
aż na dno przepaści“.

Ustalono ostatecznie, że, w imieniu Towarzystwa Hi-
storyczno-Literackiego, będzie przemawiał Władysław
Czartoryski; Waliszewskiemu zaś pozwolono wypowie-
dzieć nad trumną... wiersz okolicznościowy. Wiersz ten
nazywaliśmy pogardliwie w naszej grupie „częstochow-
skim“, chociaż nie był zły i stanowił niewątpliwie próbę
rehabilitacji ze strony Waliszewskiego w ważnej chwili
narodowej.

Znacznie trudniejszym było utracenie mowy urzędowego przedstawiciela „Collège de France“. Zgodnie z obyczajem, powinien był wypowiedzieć ją Ludwik Léger, następca Mickiewicza na katedrze literatur słowiańskich. Tu znowu powstał szkopał nielada, bo wszystkim było wiadome, że Léger jest zaprzędany Rosji, zwłaszcza po rozgromieniu Powstania i ustaleniu „aliansu“. Władysław Mickiewicz miał go specjalnie na wątrobie za lekceważenie literatury polskiej i unikanie jej na wykładach w „Collège“ a przede wszystkim—za nieuczciwe stanowisko wobec Adama. Léger prześladował studentów Polaków na egzaminach w Sorbonie a na jednym ze swych wykładów oświadczył bezczelnie, że nie było żadnych rozbiorów Polski, ale poprostu — „restytucja“.

Wydział krajowy wysłał na uroczystość ekshumacyjną: Adama Asnyka i Władysława Koziębrodzkiego. Obydwaj byli bardzo zaniepokojeni przypuszczeniem, że Ludwik Léger ośmieli się mówić nad trumną Mickiewicza, którego stale oczerniał.

Władysław Mickiewicz zapewnił ich, że do tego nie dopuści. Nie chciał ich jednak wtajemniczyć zawczasu w swoje zamiary. Sprawę należało załatwić za pośrednictwem Ernesta Renana, który był wówczas naczelnym „administratorem“ Collège de France. Plan swój oparł Władysław Mickiewicz na znajomości charakteru Renana, którego niegdyś spotykał często u Micheleta. „Zuchwały — pisze p. Władysław w swych „Pamiętnikach“ — z piórem w ręku, okazywał się najbardziej po-

kojowo usposobionym człowiekiem w swym gabinecie lub salonie. O ile w swych pracach wysuwał twierdzenia, wywołujące burze, o tyle w rozmowach swoich, gdy któryś z rozmówców wydawał się zgorszonym jakimś jego zdaniem, — Renan, zamiast je podtrzymywać, wysuwał inne... Ponieważ wątpił o wszystkim, nic w jego oczach nie warte było stanowczej obrony“.

Nazajutrz zaprowadził Władysław Mickiewicz obu delegatów, Asnyka i Koziębrodzkiego, do Renana. Poprosili go, aby przedstawiciel „Collège de France“ wypowiedział ostatnie pożegnanie nad trumną wielkiego poety. Odpowiedź była, oczywiście, spodziewana: Renan zapewniał, że przemawiać będzie następca Mickiewicza na katedrze literatur słowiańskich. Tu Władysław Mickiewicz, człowiek zazwyczaj bardzo zrównoważony i opanowany, wybuchnął nagle. Rzucił słowa najbrutalniejsze może, jakie wyszły z jego ust w ciągu długoletnich stosunków z Francuzami:

— Ludwik Léger będzie milczał na cmentarzu w Montmorency!

— Dlaczego? — zapytał Renan.

— Dlatego, że gdyby tam otworzył usta, noga moja poszukałaby pewnej części jego osoby.

Asnyk i Koziębrodzki spojrzeli na p. Władysława z przerażeniem a może i oburzeniem. Renan zrozumiał w lot sytuację i odpowiedział z największym spokojem:

— W takim razie ja, w charakterze administratora „Collège de France“, przemówię w jego imieniu. Udam

się powozem na cmentarz w Montmorency wraz z deputacją „Collège de France“. Rad jestem bardzo, że zdrowie pozwala mi na to, by spłacić pańskiemu znakomitemu ojcu tę daninę wdzięczności francuskiej.

Delegaci galicyjscy nie mogli ochłonąć z osłupienia, że p. Władysław ośmielił się, w ich imieniu, przemawiać w takim tonie do jednej z największych znakomitości europejskich. Długo musiał p. Władysław tłumaczyć im konieczność (i możliwość w atmosferze paryskiej) wystąpienia tak energicznego.

*

Sam akt ekshumacji zwłok i złożenie ich do nowej trumny odbył się w przeddzień uroczystości wobec rodziny i kilku przyjaciół. Ciało Mickiewicza pokryte było ziołami aromatycznymi, z pośród których wydobyto nieco kości, krzyż i pięć kopiejek miedzianych. Niegdyś Mickiewicz otrzymał tę monetę od Armanda Lévy'ego. „Podobną monetę — powiedział przytem — dostawałem, będąc dzieckiem, od matki, by sobie kupić obwarzanków“.

Młodzież radykalna szykowała się do uroczystości z całym zapalem. Gdy dzienniki galicyjskie doniosły, że w imieniu całej Emigracji przemawiać ma na Wawelu Władysław Czartoryski, postanowiono w kołach rewolucyjnych paryskiej kolonii polskiej zaprotestować przeciw temu energicznie, korzystając z gościnności francuskiej prasy republikańskiej. Z delegatami krakowskimi przyjechał również młody student, narzucony studen-

tom galicyjskim przez Wydział Krajowy. Tego „przedstawiciela młodzieży“ zignorowaliśmy całkowicie, natomiast podejmowaliśmy gorąco Franciszka Siedleckiego, wybranego na wiecu akademickim w Krakowie. Siedlecki przybył na uroczystość, jako przedstawiciel młodzieży radykalnej, ale związał się słowem honoru, że przemawiać nie będzie.

W dniu 28 czerwca przybyliśmy zwartym szeregiem na cmentarz w Montmorency. Nasz Mickiewicz był najczystszej wody narodowym socjalistą. Polecono mi napisać w „Pobudce“ studjum p. t. „Adam Mickiewicz jako rewolucjonista i socjalista“. Zanalizowałem w nim artykuły poety w „Pielgrzymie polskim“ i w „Trybunie ludów“ oraz fragmenty „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego“ i wyławiałem chciwie takie zdania: „Uczucie socjalizmu jest pólodem ducha naszego ku bardziej błógiemu istnieniu, nie indywidualnemu, lecz wspólnemu i solidarnemu. Uczucie socjalizmu nie stanie się namiętnością, czynem i prawdą, aż się odezwie w d u s z a c h p a t r j o t ó w“. Przyszliśmy z delegacjami i wieńcami. Wielki, czerwony wieniec „Od Socjalistów Narodowych“ ozdobiony był czarną poprzeczną wstęgą z napisem (z zasad Legjonu Polskiego 1848 r.): „Każdej gminie rola gromadna pod opieką narodu“; redakcja „Pobudki“ przyniosła „Pielgrzymowi polskiemu“ wieniec cierniowy, oksydowany, z orłem srebrnym w czerwonym polu; Zjednoczenie Towarzystw Młodzieży Polskiej zagranicą złożyło wielki wieniec laurowy z napisem (z „Ksiąg Pielgrzym-

stwa“): „A mądrzy między wami nie są ci, którzy wzbogacili się, sprzedając naukę swoją i nakupili sobie dóbr i domów i zyskali od królów złoto i łaski. Ale ci, którzy opowiadali wam słowo wolności i cierpieli więzienia i bicia, a ci, którzy najwięcej ucierpieli, szanowani będą, a ci, którzy śmiercią zapieczętują naukę swą, święci będą“; wreszcie delegacja kobiet niosła srebrną palmę na czerwonej aksamitnej poduszce z napisem: „A. Mickiewiczowi — Polki z Paryża“ z dewizą: „Towarzyszcze żywota, niewieście, braterstwo i obywatelstwo, równe we wszystkim prawa“ (z Zasad Legjonu Polskiego).

Na cmentarzu publiczności było wiele, ale nie zebrały się tłumy, których oczekiwaliśmy. Obok grobu Mickiewicza leżały szczątki trumny cynkowej, w której poeta był pochowany w Konstantynopolu. Wzięliśmy od dozorczy cmentarnego nożyce, pokrajaliśmy szczątki na drobne kawałeczki i rozdaliśmy je obecnym. Rzucano się na nas poprostu, ażeby zdobyć chociaż okruszynę tego skarbu.

Otrzymaliśmy wiadomość, że Renan przybył przed godziną oznaczoną. Wiedząc, że niedomaga na nogi (miał mocną podagrę), wzięliśmy go we dwóch pod rękę i zaprowadziliśmy do grobu Mickiewicza. Ujrzałem go wówczas po raz pierwszy. Był otyły i zasapany, szedł z trudem a upał dokuczał mu bardzo. Gdyby nie przedziwny, przesubtelny uśmiech wielkiego sceptyka, Renan wywierał na pierwszy rzut oka wrażenie ociężałego proboszcza polskiego. Władysław Mickiewicz, zdając sobie sprawę ze znużenia Renana, dał znak, aby rozpocząć uro-

czystość, chociaż nie stawiała się jeszcze delegacja Tow. Historyczno-Literackiego. Wprowadziliśmy Renana na zaimprovizowane, drewniane podwyższenie i — zaczął mówić. Renan nie umiał improwizować: do mowy nad trumną Mickiewicza „przygotował się“ solidnie: na kilka dni przed uroczystością zażądał, aby mu przysłać egzemplarz wykładów poety w Collège de France. Mówcą wielkiego typu francuskiego nie był nigdy, ale każde słowo, które pisał, ważył i rozważał, wypełniał czarem, którego posiadał niezgłębioną tajemnicę. W mowie Renana paść musiały oczywiście, słowa: „pauvre Pologne!“, bo któryż szlachetniejszy Francuz w owych czasach nie rzucał nam tej jałmużny? Ale nie brak też było akcentów, w świetnej prozie wyrażonych, które podkreślały wielkie, ogólnoludzkie znaczenie Mickiewicza. „Nasze stare sale — mówił Renan — zachowują echo jego głosu. Kilku żyjących świadków tych bohaterskich czasów może nam powiedzieć jeszcze, ile słowa jego zawierały upojenia, uroku i czarodziejskiej potęgi. Imię Mickiewicza, złożone w trójęc pełną chwały z dwoma innymi imionami: Micheleta i Quineta, stało się dla nas symbolem, nieodłączną częścią naszej dawnej sławy i naszych dawnych radości... Ludzie rozsądni dochodzą do sprzeczności. Poeta zaś, który nie wątpi, który po każdej porażce znów zabiera się do dzieła, bardziej gorliwy i silniejszy, — nigdy nie popada w zwątpienie. Takim był Mickiewicz. Istniało w nim źródło nieskończonych zmartwychwstań. Znał najbardziej okrutne męki, ale nie

znał rozpaczy. Ludźmi potężnymi są ci, w których w ten sposób wciela się kształt powszechnej potęgi... Ten wielki idealista był wielkim patriotą, ale przede wszystkim był człowiekiem wierzącym. A ponieważ powodem wiary w nieśmiertelność są męczennicy, odkrywca jego wyobraźnia, natchniona biciem serca, przekonywała go, że nie napróżno ludzkość pracowała tak wiele i nie napróżno ofiary tyle cierpiały“. Mówiąc o wykładach Mickiewicza w Collège, Renan zawołał: „Ach, jakże trudno zamknąć się w ramach ograniczonego programu, gdy się jest upojonym nieskończonością! Dumni jesteśmy z niego, z takiego, jakim był: ze swemi śmiałościami przeczuciami, ze swemi niepohamowanymi dążeniami i tysiącami proroczych złudzeń. Zapisaliśmy jego imię na marmurowych tablicach, które zawierają nazwiska naszych starszych braci. Uzyskał dla siebie najlepszy dekret: entuzjizm publiczności“.

Delegaci Tow. Historyczno - Literackiego stanęli u trumny jeszcze przed ukończeniem mowy Renana, im więc oddano głos. Po mowie Czartoryskiego wypowiedział swój patriotyczny wiersz Waliszewski, drażniąc obecnych swą osobą. Odrębny ton całej uroczystości nadały dopiero dalsze przemówienia. Juliusz Lermina, delegat Międzynarodowego Stowarzyszenia Literatów podkreślił bardzo gorąco, że Mickiewicz był „najczystszy i najzarliwszy kaznodzieją praw ludzkości, najmężniejszym przeciwnikiem tego, co stanowi krańcowe zaprzeczenie duchowego posłannictwa ludzkiego: przeciwni-

kiem siły brutalnej“. W imieniu Polek mówiła p. Nabielakowa, wdowa po bohaterze spisku belwederskiego. Wreszcie płomienne mowy wygłosili przedstawiciele naszych grup radykalnych: Bolesław Limanowski, w imieniu Socjalistów Narodowych; Stanisław Barański od redakcji „Pobudki“ i Stanisław Bouffał, w imieniu Zjednoczonych Towarzystw Studentów polskich zagranicą. Przemówienia te odebrały uroczystości charakter urzędowy, zatarły zupełnie wrażenie bladych frazesów polskiej reprezentacji starszego pokolenia. Na chwilę słuchacze byli z nami; prochy Wieszcza były n a s z e, były symbolem naszych poczynań rewolucyjnych.

Wzięliśmy na ramiona trumnę i zanieśliśmy ją do bramy kościoła w Montmorency, w którym znajdują się pomniki J. U. Niemcewicza i jen. Kniaziewicza. Wieczorem tegoż dnia zebraliśmy się gromadnie na paryskim dworcu wschodnim, aby jeszcze raz pożegnać prochy Poety.

*

Postawa naszego Komitetu podczas uroczystości ekshumacyjnej oburzyła starszą emigrację, zarówno czartoryszczyków, jak batignoleczyków. Dowiedzieliśmy się wkrótce, że cierniowy wieniec „Pobudki“ wcale nie dojechał do Krakowa, a na innych wieńcach zdarto szarfy z cytatami rewolucyjnymi z Mickiewicza. Irytacja, plotkom i kłamstwom nie było końca. Władysław Mickiewicz także nie był z nas zadowolony, z obawy, zepewne, ażeby go nie posądzono o zbytne dla nas pobbżanie. Uspokoi-

ła go dopiero paszkwilowa napaść na nasz Komitet, ogłoszona przez Waliszewskiego w „Kraju“ petersburskim (Nr. 27 z r. 1890). Urażony w swej pysze autor skarży się gniewnie na „jakąś bezimienną i bezkształtną grupę ludzi, bez przeszłości, bez imienia, bez zasług jakichkolwiek na jakimkolwiek polu“, którzy „dokonali zamachu“ na uroczystości narodowej, „cechując ją wyrazistym piętnem socjalistycznej i rewolucyjnej propagandy“. Żali się, że „obce te figury, dobywające się niewiadomo skąd, reprezentujące niewiadomo co“, wciągnęły go „w najhaniebniejszą pułapkę“, gdyż „bez woli i wiary“ wziął udział w manifestacji, „która od początku przybrała charakter demonstracyjno-polityczny“.

Paszkwil był niezwykle ostry. Zawrzało w młodej kolonji rewolucjonistów. Postanowiono rozprawić się z Waliszewskim... w pojedynku. W imieniu naszego Komitetu, wysłał do Waliszewskiego obelżywy list polecony delegat młodzieży, Stanisław Bouffał, kandydat nauk matematycznych uniwersytetu dorpackiego. Waliszewski nie zareagował na to pismo, chociaż Bouffał ogłosił je później drukiem w „Pobudce“. Podobno Waliszewski zwołał radę swych „przyjaciół“ i ta orzekła, że jako dziennikarz, nie odpowiada h o n o r o w o za swe korespondencje...

Orzeczenie to pogrążyło Waliszewskiego w naszych oczach ostatecznie. Wkrótce potem stał się tak żarliwym obrońcą i chwalcą caratu, że przestał wogóle istnieć dla kolonji polskiej w Paryżu.

STARZY I MŁODZI

W ciągu wielu lat przed wojną, w prowincji Beauce we Francji, w zamożnej wsi Ouarville istniała szczególna ambasada polskośći. Była to obszerna siedziba d-ra Henryka Gierszyńskiego, położona na krańcu wioski, przy szosie, otoczona ogrodem, pogodna i niezwykle sympatyczna. Doktor Gierszyński miał rozległą praktykę w okręgu kilkunastu kilometrów, ceniony był, jako doskonały lekarz i szlachetny człowiek, w całej okolicy aż po Chartres. Piastował wśród Francuzów różne stanowiska reprezentacyjne: był urzędowym opiekunem niemowląt oddawanych na karmienie w całym departamencie, pisywał memorjały o przyczynach wyludnienia Francji, był słuchany jako mądry doradca w wielu sprawach.

Spełniając sumiennie swe obowiązki wobec Francuzów, dr. Gierszyński był jednym z najzarliwszych działaczy emigracyjnych. Pracował w różnych instytucjach społecznych i narodowych (jak Muzeum Rapperswilskie), popierał materialnie czasopisma „Wolne polskie Słowo“ i „Pobudkę“ oraz różne wydawnictwa agitacyjne. Pochłonęła go całkowicie idea niepodległości;

żył dla niej wyłącznie. Pani Gierszyńska (siostra Henryka Bukowskiego, wybitnego patrioty, opiekuna Muzeum Rapperswilskiego) była entuzjastyczną towarzyszką męża we wszystkich jego poczynaniach. Płonęli oboje jak pochodnie najczystsza miłością ojczyzny. Wychowali w tej miłości czworo dzieci i stworzyli w swym domu atmosferę osobliwej t y m c z a s o w o ś c i: żyło się tam nieustannie w niewiarogodnej egzaltacji uczuć, jakby w przededniu nowego powstania. Wszystkie zabiegi codzienne traktowano jako życiową konieczność, której odmawiano wszelkiego głębszego znaczenia. Czas przechodził na organizowaniu życia emigracyjnego, na rozpamiętywaniu powstań i ich błędów, na zwalczaniu „wrogów politycznych“, zjednywaniu zwolenników walki zaborcami, szukaniu żywych kontaktów z działaczami w kraju.

Dom państwa Gierszyńskich roił się stale od gości. Było tam zawsze kilku rezydentów, których otaczano najtkliwszą opieką. Nie wszyscy mogli się wykazać zasługami powstaniowemi. Zdarzały się i pionki drugorzędne, jak stary Szemiot, człowiek prosty, spełniający funkcje totumfackiego. Załatwiał on różne sprawy w mieście, doglądał hodowli królików i kur pani Gierszyńskiej, czyhał rankiem na psa-bandytę, rudego Burka, który w nocy podkopywał się pod kurnik w ogrodzie i wyjadał świeżo zniesione jaja a potem, z zamazaną mordą, uciekał na cały dzień do sąsiedniej wsi, wiedząc, że grabież nie uj-

dzie mu płazem. Szemiot posiadał widocznie jakiś uciulany grosz, co miesiąc bowiem szeptał do jednego z gości: — „Zmieniłem dziś ostatnią pięciofrankówkę“.

Mieszkali jednak przeważnie rezydenci wybitni. Najdłużej przebywał u państwa Gierszyńskich Sylwester Staniewicz, jedna z najpromienniejszych postaci emigracyjnych, starzec z piękną siwą brodą, wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, uczestnik powstania na Litwie w r. 1831, potem członek i mąż zaufania Towarzystwa Demokratycznego, w którego pracach brał gorliwy udział, wreszcie — emisariusz tegoż Towarzystwa do Rzeczypospolitej Krakowskiej w r. 1846. Dziadzio Staniewicz nadał domowi państwa Gierszyńskich odrębny ton, był żywym łącznikiem kilku pokoleń, którym wyjaśniał hasła Manifestu Tow. Demokratycznego.

Po śmierci Staniewicza miejsce jego w domu państwa Gierszyńskich zajął inny weteran, b. generał Komuny paryskiej, Walery Wróblewski, jeden z najdzielniejszych dowódców Powstania 1863 r. w grodzieńskim, podlaskiem i lubelskiem. Po ogłoszeniu amnestji dla uczestników Komuny, Wróblewski powrócił do Francji, żył jakiś czas z odziedziczonego spadku, który szybko rozdał rodakom a resztę przegrał w Monte Carlo. Ratował się przed nędzą, jak mógł: pracował w drukarni a potem przyjął zaofiarowane mu przez Rocheforta miejsce kontrolera sprzedaży numerów dziennika „l'Intransigeant“, z płacą pięciu franków dziennie. Sterany burzliwemi

przygodami, zapadał często na zdrowiu, aż znalazł do-
gonną opiekę u p. Gierszyńskich, u których zmarł w r.
1908.

*

Troskliwość o zasłużonych weteranów tworzyła jedną,
mniej absorbującą dziedzinę działalności p. Gierszyń-
skich. Zdawali sobie dobrze sprawę, że przyszłość Polski
zależy od młodego pokolenia. Główną więc uwagę zwraca-
li na radykalne elementy naszej młodzieży w Paryżu.
Pani Gierszyńska stała się pod tym względem niezwykle
przenikliwą łowczynią dusz. Gdy się dowiedziała o jakim
obietującym młodym działaczu, zapraszała go natych-
miast do Ouarville'u. Taki rewolucjonista nazywał się
u niej „ślicznym człowiekiem“, co nie miało, oczywiście,
żadnego związku z jego urodą. Jeździło się do Ouarville'u
(dwie godziny drogi od Paryża) najczęściej gromadnie.
Bywały wypadki, że przyjeżdżaliśmy po kilkunastu jed-
nocześnie. Oprócz polityków, zapraszano również litera-
tów i artystów-plastyków. Lange, Reymont, Jaroszyński,
Złotnicki, E. Przewoński byli częstymi gośćmi. Ktokolwiek
przybywał z kraju na czas dłuższy, zawoziliśmy go do
Ouarville'u. Każdy przebywał w domu p. Gierszyńskich
tak długo, jak mu się podobało, nie krępowany nigdy
w niczem. Niektórzy zjeżdżali tu na długie miesiące. Gło-
domorki z Glacière odżywiały się zacnie i wracały do
Paryża z nowym zasobem sił. Niektórym dr. Gierszyński
udzielał najdyskretniejszej pomocy w formie stypendjów.

Reymont, ile razy uczuwał, że Paryż rozprasza go zanadto, zabierał swe manatki do Ouarville'u i tam pisał w skupieniu.

Pewnego razu spotkała go dość groteskowa niespodzianka. Przyszedł do dra Gierszyńskiego notariusz miejscowy z oświadczeniem, że pewna zamożna córka fermatorów (600.000 franków posagu i „umeblowanie“) pragnęłaby ofiarować Reymontowi swą rączkę. Zobaczyła go w kościele, dowiedziała się, że jest znakomitym powieściopisarzem i — „coup de foudre“ gotowy. Wywołało to wśród nas niemałą sensację, a Reymont pomrużywał tajemniczo oczami. Nie poszedł nawet z nami na spacer. Postanowiliśmy natychmiast „zbadać stan rzeczy“, t. j. zobaczyć tę kandydatkę na żonę Reymonta. Ujrzelismy ją niebawem: była dziewcziną starszą od Reymonta co najmniej o lat dwadzieścia, nosiła się po chłopsku a przede wszystkim była — potwornie brzydka. Dr. Gierszyński złożył niegdyś rządowi francuskiemu memorjał, w którym dowodził, że, wskutek braku doboru płciowego (t. j. miłości) i opieraniu małżeństw jedynie na kalkulacji pieniężnej, chłopstwo francuskie wyrodnieje. Kandydatka do małżeństwa z Reymontem była jaskrawem potwierdzeniem tej tezy. Ułożyliśmy się między sobą, że pójdziemy do pokoju Reymonta „gęsiego“ i będziemy mu składali po kolei powinszowania z okazji tak świetnej konkiety. Pierwszego z nas przyjął z enigmatycznym uśmiechem; drugiemu odpowiedział, ażeby mu dał „święty spokój“ a trzeciego posłał już otwarcie „do djabła“

i zamknął się na klucz. Wtedy stanęliśmy wszyscy pod drzwiami jego pokoju i zaśpiewaliśmy chórem parodję popularnej piosenki: „Connaissez-vous la rosière?“ („Rosière“ nazywają we wsiach francuskich najcnotliwszą dziewczynę, której ofiarowują uroczyście wieniec z róż z dodatkiem jakiejś solidniejszej nagrody, jak: posag, książeczka kasy oszczędności i t. d. W kabaretach paryskich parodjują nieraz piosenkę o r o z i e r z e, w której ośmieszają po kolei wszystkie rzekome wdzięki nagrodzonej dziewczyny).

Rankiem goście p. Gierszyńskich schodzili się na pierwsze śniadanie dość późno. Terminów w Ouarville'u nie przestrzegano żadnych. Ci, co zeszli z pierwszego piętra najpóźniej, przyglądali się w pokoju jadalnym, jak p. Gierszyńska dolewała do flaszek, napełnionych przegotowaną wodą, kilka kropel esencji herbacianej. Dr. Gierszyński musiał utrzymywać u siebie aptekę, której minjaturę woził ze sobą do chorych. Pacjenci nie uznawali lekarstwa „takiego jak woda“, trzeba więc było każdą „portion“ zabarwiać. Tę czynność właśnie spełniała co rano p. Gierszyńska.

Zaczynały się rozmowy „zasadnicze“. P. Gierszyńska badała przekonania tych i owych, prowadziła z nimi dyskusje, wypytywała subtelnie o ich potrzeby, kombinowała, komu i w jaki sposób pomódz w jego poczynaniach. Potem siadała przy oknie, myślała i czytała, trzymając przed sobą talerz z drobną monetą dla przechodzących „łazików“. Bywały przy tem znamienne nieporozumie-

nia. Przyszedł raz jakiś tęgi drab, powiedział „dzień dobry“ i otrzymał z talerza bez słowa kilka s o u s.

— J e n e s u i s p a s m e n d i a n t — oświadczył — m a i s t o u t d e m ê m e... (nie jestem żebrakiem, ale swoją drogą...). I schował pieniądze do kieszeni. Okazało się, że był to jeden z najbogatszych fermerów z okolicy, który „dla oszczędności“ przyszedł do doktora pieszo ze wsi, położonej o kilkanaście kilometrów.

Dziadzio Staniewicz podlewał rano kwiaty (takie same, jakie rosły w rodzinnych Kauklach p. Gierszyńskiej, tam, daleko, na Żmudzi...), a młodzież rozchodziła się po różnych alejach ogrodu z książkami i szukała najlepszego cieniu. Ten ogród był solą w oku fermerów. Jeden z nich, którego zaczepiłem na drodze, szepnął mi poufnie, że „M o n s i e u r H e n r i e s t u n b o n g a r ç o n, m a i s... s o n j a r d i n“...

— A cóż panu ten ogród zawinił?

— Są tam — mówił — m o i n i a u x (tak chłopci w Beauce wymawiają m o i n e a u x — wróble). Zjadają nam ziarna.

Niegodziwe wróble spolszczyły się w ogrodzie doktora Henri i kradły skąpym fermerom ziarna pszenicy...

Dr. Gierszyński jeździł do chorych własnym powozikiem i sam powoził. W długich podróżach skracał sobie czas... śpiewaniem pieśni patryjotycznych. Niekiedy zasypiał a koń, przyzwyczajony do śpiewu, zatrzymywał się nagle i rżał tak długo, dopóki się doktor nie obudził.

Chorzy wiedzieli, że doktor liczy zarówno za poradę, jak za lekarstwa „od kilometra“ przebytej do pacjenta drogi. To też często siadywali przy szosie na kamieniach i oczekiwali powoziku. Kosztowało to taniej... Zdarzało się, że doktor Gierszyński nieraz wyrywał takiemu oszczędnemu pacjentowi, siedzącemu na kamieniach, chory ząb, bo i dentystykę musiał uprawiać.

*

Drugie śniadanie trwało niedługo, gdyż doktor śpieszył do dalszych pacjentów. Dopiero wieczorem, około ósmej rozpoczynały się sławne ouarvilskie obiady. Pani Gierszyńska kombinowała potrawy takie same, jakie podawano w Kauklach. Głodomorki paryskie, podniecone winem, wszczynały ożywioną dyskusję polityczną, powtarzając w tem otoczeniu swe nieskończone spory „zasadnicze“. „Długie, nocne rodaków rozmowy“ trwały zazwyczaj do późnej godziny. Zrzadka wtrącano jakąś dywersję natury kulinarnej. Pewnego wieczoru podano pieczone prosię. Wszyscy zajadali chciwie, jeden tylko milczący Złotnicki odsunął półmisek z kapryśnym gestem.

— Dlaczego pa nie je? — zapytała zmartwiona pani Gierszyńska.

— Bo mi to przypomina smak małego dziecka.

— A gdzież pan, panie Złotnicki, jadał małe dzieci? — zapytała p. Gierszyńska swym śpiewnym, przechodzącym w ton rzewny głosem.

Zarumienił się mocno, obrażony. Pytanie powitała salwa śmiechu. A potem, przez kilka dni, chodziliśmy za Złotnickim i prosiliśmy go poufnie, żeby się przyznał, gdzie mianowicie jadał małe dzieci...

Rozmowy rozpoczynał zazwyczaj sam amfitrjon. Żył on Powstaniem 1831 r., którego dzieje znał na wylot. Czytał wciąż Mochnackiego i Mierosławskiego i miał swego ulubionego konika, na którym jeździł przy każdej sposobności. Dowodził z zapalem, że najwięcej przyczynił się do upadku Powstania listopadowego generał Ramorino, wskutek bowiem swej zdradzieckiej opieszałości, wypuścił Rosena pod Krynkami i Międzyrzecem, chociaż miał 20.000 dzielnego żołnierza. Dr. Gierszyński znał najdrobniejsze poruszenia strategiczne Ramoriny, które piętnował zawsze z największym oburzeniem. Lubił też mówić o nędzy, jaką przechodził w Paryżu za czasów studenckich.

— „Gdy przyjechałem — opowiadał — do Paryża, zwróciłem się do koszar, założonych w r. 1864 dla polskich emigrantów. Sprawą zawiadywał komitet francusko-polski, na którego czele stanął Lafayette, syn znakomitego generała. Koszary te mieściły się najpierw przy ulicy du Cherche-Midi, a później przeniesione zostały na przedmieście Montrouge. Było w nich miejsca na 150 Polaków. Każdy, kto mógł dowieść uczestnictwa swego w Powstaniu, otrzymywał tam bezpłatne mieszkanie, z łóżkiem, kołdrą, dwoma siennikami i dwoma przeście-

radłami. Dom składał się z dwóch pięter. Przyjechałem z Włoch z kolegą. Mieliśmy list polecający od Jarosława Dąbrowskiego, późniejszego generała Komuny paryskiej. Powiedziano nam, że należy przybyć do koszar wieczorem. Nie znając stosunków miejscowych, wybraliśmy się nieco zapóźno, tak, że większość lokatorów już spała. Dozorca znalazł jedno miejsce na dole i przeznaczył je dla mego kolegi; mnie kazał poszukać sobie na górze. Pierwsze piętro było przepełnione. Zastukałem do jakichś drzwi na drugim piętrze. Otworzył mi przystojny blondyn z książką w ręku.

— Chciałbym — mówię — przespać się tutaj, bo nigdzie nie mogę znaleźć miejsca.

Blondyn wypalił mi długą perorę, że przyjechałem niepotrzebnie, że wogóle za dużo jest Polaków w Paryżu...

— Panu jest wygodnie — odpowiedziałem — więc i ja chciałbym tu szczęścia poszukać.

— A czemu pan nie zostałeś we Włoszech?

Zamilkłem; bałem się, że wybuchnę. Tymczasem drugi młodzieniec, którego w tym pokoju zastałem, brunet o poważnej, skupionej twarzy, popatrzał na mnie pilnie, potem z garnuszka, którym pił herbatę, odlał połowę do szklanki, oderwał kawał chleba i, milcząc, postawił przede mną.

Blondyn perorował w dalszym ciągu; brunet zaś powstał znowu, wyjął ze swego łóżka jeden z sienników, położył go na ziemi i powiedział do mnie krótko:

— To dla pana.

Nazajutrz rano, gdy wychodziłem na miasto, przyjrzał mi się jeszcze raz i oznajmił:

— Jeżeli pan nigdzie miejsca nie znajdzie, to proszę tu powrócić na noc.

Wkrótce zwolniło się jedno łóżko, więc je zająłem i mieszkałem w koszarach półtora roku. Brunet — nazywał się Juński, z wieluńskiego. Ojciec jego był wrogo usposobiony do Powstania, więc przyszło do dramatycznego starcia. Syn poszedł do partji, ale tak się wziął na ojca, że postanowił raczej z głodu umrzeć, niż przyjmować od niego pieniądze, chociaż ojciec szukał pośrednictwa osób trzecich i nie miał komu przekazać swej fortuny.

Zapisałem się na medycynę i — przechodziłem przez wiele lat ciężkie chwile. Po trzy, cztery miesiące żywiłem się tylko chlebem i herbatą“...

Z tych wspomnień o ciężkich dniach studenckich płynęło głębokie współczucie dra Gierszyńskiego dla młodych rewolucjonistów paryskich i — jego niewyczerpana gotowość do pomocy. Pani Gierszyńska było gorącą zwolenniczką programu „Pobudki“, więc korzystała z każdej sposobności, aby jej zjednywać adherentów. Pewnego dnia przybył do Ouarville‘u p. Ławski, bogaty właściciel wielkiego domu handlowego w Szwecji, towarzysz powstaniowy Henryka Bukowskiego. P. Gierszyńska namówiła mnie, abym mu szczegółowo wyłożył nasz program, bo „z tego może coś być“. Wykładałem mu długo i gorąco; pani Gierszyńska promieniała. Nagle nastąpiła

cisza. P. Ławski zamyślił się, spochmurniał i poważnie oświadczył:

— Pan nie jesteś socjalistą. Ja jestem socjalistą, bo daję pracę trzystu robotnikom. Patrz pan, tę oto rękę nieraz całują robotnicy z wdzięcznością.

Pani Gierszyńska była niepocieszona. Udobruchała się dopiero wówczas, gdy się dowiedziała, że w naszej grupie podsuwamy jeden drugiemu rękę do pocałowania dla stwierdzenia, że jesteśmy socjaliści...

*

Dziadzio Staniewicz mówił najchętniej wówczas, gdy wypił ukradkiem kieliszek wina, czego mu surowo zabraniano. Przypominał sobie różne szczegóły z Powstania i z życia emigracyjnego. Nastrojony był nieustannie tak, jakby powstanie miało się lada dzień powtórzyć. Przed rokiem 1863 ubierał się w mundur, do którego przyszył zwyczajne, „cywilne“ guziki. Gdy go zapytano o powód takiego dziwnego stroju, odpowiadał:

— Łatwiej przyszyć guziki, gdy zajdzie potrzeba, niż kupić nowy mundur...

Chodząc po ogrodzie, śpiewał sobie najczęściej piosenkę żołnierską, znaną w jego oddziale powstaniowym. Zapamiętałem z niej pierwszą strofkę:

Świśnie kulka koło ucha,
Powiedz sobie, że to mucha...
A gdy druga cię ugodzi,
Trzecia ci już nie zaszkodzi!

Lubił opowiadać o przygodach emigrantów.

— Jenerał Chrzanowski — mówił raz — żył w Paryżu bardzo skromnie i zmuszony był zajmować się sam całym swym gospodarstwem domowym, bo Francuzi płacili żołd tylko tym uczestnikom Powstania, których pomieszczano w „zakładach“ (depôts) na prowincji. Pewnego ranka, kiedy jenerał czyścił sobie buty, ktoś do drzwi zapukał. Był to b. oficer z 1831 r., który, ujrawszy człowieka, czyszczącego obuwie, zawołał z butą:

— Jenerał Chrzanowski jest w domu?

— To ja właśnie jestem...

— Smrodź temu, co nie ma nosa! — zawołał oburzony porucznik.

Innym razem opowiedział nam Dziadzio Staniewicz taką historyjkę:

— Było dwóch braci Tymowskich, z których jeden, jako emigrant, przebywał we Francji, drugi zaś lojalny i wierny „najjaśniejszemu panu“, pozostał w kraju. Będąc w potrzebie, emigrant napisał do brata list z prośbą o zasiłek pieniężny. Służka carski poradził mu w odpowiedzi, aby się podał o amnestję i zaczął nareszcie żyć „porządnie“. W tym samym liście donosił bratu, że został mianowany szambelanem „jego cesarskiej mości“. Emigrant posłał bratu taką odpowiedź:

Odebrałem twój list z osiemnastej daty;

Nie prosiłem o radę, ale — o dukaty.

Ciesz się mnie, żeś został wielkim szambelanem,

Całujże mnie... z najjaśniejszym panem.

Dziadzio znał, oczywiście, bliżej bardzo wielu emigrantów oraz Polaków, stale mieszkających we Francji.

— Przyjechał — mówił — do Paryża jakiś szlagon z kresów i złożył wizytę Cyprjanowi Norwidowi. Zastał go przed stalugami z rozpoczętym obrazem. Artysta stał w zabrudzonym fartuchu malarskim, z paletą w ręku.

— To pan dobrodziej tak sam, sam musi malować? — zapytał szlagon.

— Cóż począć? — odpowiedział Norwid — nie mam lokaja, więc muszę sam...

W dyskusjach obiadowych nie małą część stanowiło szamerowanie „wrogów politycznych“ a przedewszystkiem „batignolczyków“. Na wołowej skórze nie spisałoby się przywar, któreśmy im przypisywali. Gdy się tem znużono, dr. Gierszyński wyjeżdżał na ratunek znowu z Ramorinem i — zagłębialiśmy się po uszy w strategję Powstania. Po obiedzie, nieraz późną nocą, wychodziliśmy całą gromadą na szosę, na spacer. Trwały jakiś czas dyskusje a potem następował chóralny śpiew: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem“... Najdonośniej rozbrzmiewał starczy już baryton dra Gierszyńskiego, który jeszcze raz wypowiadał w ten sposób swą ogromną tęsknotę za daleką, niewidzianą od lat tyłu ojczyzną. Po każdej takiej przechadzce nocnej wstawał raniutko i pisywał pełne żaru patryjotycznego broszury polityczne...

*

Szlachetny obywatel i nieustrudzony działacz doznał wreszcie wielkiego, niezmiernego szczęścia: doczekał się chwili odzyskania niepodległości. Jeden z synów umarł na suchoty, drugi zginął na wojnie; umarła też najwierniejsza przyjaciółka — żona. „Monsieur Henri“ pozostał sam w opustoszałym domu ouarvilskim. Ale głęboki smutek rozproszyła ogromna, ogromna radość: spełniły się marzenia całego życia!..

Ujrzałem go po latach na uroczystości pogrzebu Słowackiego w Warszawie. Chociaż dobiegał już osiemdziesięciu lat, był żwawy, odmłodzony, rozpromieniony. Przywiózł ze sobą urnę z ziemią francuską, aby ją złożyć w grobowcu Poety. Miał na sobie oznakę komandorji orderu Polonia Restituta...

TRAGEDJA REWOLUCJONISTY

Zesłańcy syberyjscy, skazani za udział w warszawskiej partji „Proletarjat“, po ukończeniu kary przybywać zaczęli do Paryża. Jednym z nich był Ludwik Sawicki. W chwili zaareztowania był studentem prawa. Już na pierwszym kursie zbliżył się do Waryńskiego i to właśnie stało się powodem zamknięcia go najpierw w odosobnionej celi przez rok, a następnie — zesłania na pięć lat na Syberję. W Paryżu uzupełniał przez jakiś czas braki swego wykształcenia w Bibliotece Narodowej, poczem zapisał się na medycynę.

„Proletarjat“ — jak wiadomo — stał na gruncie socjalizmu międzynarodowego i sprawą niepodległości nie zajmował się z zasady. Sawicki przejął się gorąco tą ideologią i na zesłaniu obcował najwięcej z rewolucjonistami rosyjskimi, zwłaszcza ze zwolennikami partji „Narodnaja Wola“, z którą „Proletarjat“ warszawski zawarł przymierze organizacyjne. Polegało ono na tem, że Centralny Komitet „Proletarjatu“ rozwiązał się od chwili, gdy powstał Komitet Wykonawczy „Narodnoj Woli“.

Sawicki przywiózł z Syberji wiele nawyknień rewo-

lucjonistów rosyjskich, a przede wszystkim lubił po całych dniach i nocach dyskutować. Na emigracji ta skłonność urosła w nim do fanatycznego doktrynerstwa. Zналиśmy go w kolniji studenckiej jako człowieka wybitnie szlachetnego i prawego, łudziliśmy się przeto, że tę „złąkaną owcę“ odzyskamy z czasem dla sprawy niepodległości. Odbyłem z nim szereg długich, długich dyskusyj w jego mieszkaniu, w okolicach Jardin des Plantes. Z zesłania przywiózł osobliwy nałóg: przez cały czas dyskusji, a zwłaszcza wówczas, gdy się mocniej zapalał, chodził szybko po pokoju i gryzł drobne kawałki chleba. Wytłómaczył mi to z bladym uśmiechem:

— Tak się przyzwyczaiłem na Syberji, gdy całymi tygodniami pozostawałem w swej izbie z własnymi tylko myślami...

Argumenty moje nie przekonywały Sawickiego. Wierzył święcie, że zbawić nas może jedynie najbliższa łączność z rewolucjonistami rosyjskimi. Młodsze ich pokolenie utworzyło w Paryżu „Towarzystwo Studentów z Rosji“, do którego Sawicki wstąpił bez wahania. Spotkała go tu niespodzianka, która zaważyła tragicznie na jego życiu.

W r. 1892 zapisał się do tego Towarzystwa niejaki Bronisławski. Gdy go Sawicki zobaczył, poznał odrazu, że pod tym pseudonimem ukrywa się Handelsman, również były zesłaniec syberyjski. Na zesłaniu Sawicki utrzymywał z nim zrazu stosunki koleżeńskie, dopóki nie stanął wobec faktu przerażającego: Oto pewnego dnia, pię-

ciu skazanych na katorgę członków „Proletarjatu“, a mianowicie: Mikołaj Lury (20 lat katorgi), Mieczysław Mańkowski (16 lat kat.), Tadeusz Rechniewski (14 lat kat.), Henryk Dulęba (13 lat kat.) i Feliks Kon (8 lat kat.) — ogłosiło wyrok, mianujący Handlsmmana zdrajcą i wykluczający go ze wszystkich kółek zesłańców politycznych.

Treść tego wyroku znana była na emigracji. Zresztą rolę Handlsmmana, jako świadka w procesie „Proletarjatu“ charakteryzowała dostatecznie książeczka „Z pola walki“, wydana jeszcze w r. 1886 w Genewie, jako: „Wydawnictwo Walki Klas, Organizacja Proletarjat“. Książeczka ta, poświęcona sprawozdaniu z procesu, ułożona była całkowicie w więzieniu przez skazanych na katorgę towarzyszków. Wynika z niej, że Handlsmman nietylko nagadał w procesie „Proletarjatu“ „mnóstwo bzdurstw“, nietylko nakłamał, ale „wsypał“ wielu towarzyszków, a przede wszystkim zeznał, że w grudniu 1883 r. widywał Rechniewskiego w Warszawie u Wyganowskiego, u którego Rechniewski leżał chory. Napróżno Rechniewski przedstawiał świadectwa, że go w tym czasie nie było wcale w Warszawie i że właśnie wówczas cieszył się najlepszym zdrowiem. Pomocnik prokuratora wojennego, Bormontow. oświadczył: „Niech to sobie potwierdzi stu świadków, ale według mego zdania, nie obali to zeznania Handlsmmana“. Rechniewskiego bronił Spasowicz w obecności generał-gubernatora Hurki. Pomimo świetnej

obrony, skazano Rechniewskiego na 16 lat katorgi, którą to karę zmniejszono mu w Petersburgu do lat czternastu.

Przytaczano również świadectwa listowne niektórych zesłańców. W. Wojnicz pisał: „Handelsman, w tym samym czasie, kiedy dyktował swe haniebne zeznania, — wyrażał się z oburzeniem w listach do towarzyszków więziennych, w rozmowach na przechadzkach, o każdej „wysypie“, o każdej nieostrożności uwięzionych. Zawsze był za buntem, za głódówką, za odmawianiem zeznań na śledztwie i w sądzie, za ucieczką. Bohater ten — według relacyj towarzyszków — odgrywał taką samą podwójną rolę w drodze na Sybir, tak samo był bezczelny w okręgu Miusińskim“. Sam Rechniewski donosił z drogi na katorgę pod datą 18 maja 1886 r.: „Jeszcze w kwietniu 1884 r. uważałem Handelsmana za zdrajcę i dałem o tem znać do Warszawy. Niegodziwiec ten jednak umiał maskować się przed towarzyszami i wyjechał, zdaje się, z niezłą reputacją. Przybywszy na zesłanie, zaczął (jak się o tem dowiedzieliśmy) odgrywać rolę wielkiego człowieka, nieustannie kłamał i błagował i—co było najszkodliwsze—nawiązywał stosunki, wtrącał się do konspiracji. Ale zeznania, które odczytano w sądzie, rzuciły bardzo jaskrawe światło na jego wartość moralną. Jest w nich mnóstwo takich rzeczy, których niepodobna wytłomaczyć wybrykami żandarmów i które spadają wyłącznie na jego odpowiedzialność. Mając to na względzie, zastosowaliśmy środki, które ustalą należyłą o nim opinię tam, gdzie się znajduje“.

Sawicki znalazł wszystkie te dokumenty. Zwrócił się do jednego z wybitniejszych członków zarządu „Tow. Studentów“ i wyłożył mu rzecz całą. Gdy to nie odniosło skutku, napisał oficjalny list do zarządu. Dowiedziawszy się o akcji Sawickiego, Handelsman-Bronisławski wysłał do niego 20 grudnia 1892 r. list otwarty, w którym wyraża najpierw ironicznie radość, że Sawicki wyświadcza mu „wielką przysługę“ i prosi o zwołanie sądu, któryby „wysłuchał zarówno oskarżenia, jak obrony“. W zakończeniu Handelsman wyznacza Sawickiemu trzy dni na zwołanie sądu i grozi w przeciwnym razie, że go nazwie oszczercą.

Sawicki przyjął propozycję, mając na widoku wyłącznie potwierdzenie faktu, iż towarzysze-katorżnicy z procesu warszawskiego wydali na Handelsmana wyrok, którego nikt nie ma prawa kasować.

Sformowanie sądu szło dość opornie. Zebrał się dopiero 9 lutego 1893 r. w czytelni polskiej, przy ulicy de l'Arbre Sec. Do składu sądu należeli: Bolesław Limanowski, Stanisław Gutmajer, Cezaryna Wojnarowska i dr. Antoni Złotnicki. Nazwisko piątego sędziego, który przebywał w Paryżu za paszportem, nie zostało ujawnione. Obie strony podpisały deklarację, iż orzeczenie sądu będą uważały za ostateczne.

Sąd, w rozważaniach swoich, nie miał odwagi przyjąć tezy Sawickiego, iż wyrok, ogłoszony na Syberji przez katorżników z procesu „Proletariatu“, nie może ulegać rewizji na emigracji. Poprzestał na spisaniu takiego protokołu, doręczonego stronom:

„Wobec dwukrotnego potwierdzenia przez W. Handelsmana, że katorżnicy istotnie wydali na niego wyrok, uznający go za zdrajcę;

wobec okoliczności, że Ludwik Sawicki, zgodziwszy się zgóry na orzeczenie sądu, odmawia mu jednak prawa i kompetencji do rewizji wyroku, wydanego na Handelsmana przez towarzyszy-katorżników;

sąd rozchodzi się, nie wydając żadnego orzeczenia“.

*

W dwa dni później rozeszła się po kolonji wiadomość, że Handelsman, który prosił sędziów o powtórne posiedzenie, zapragnął narazie ratować się „rycerstwem“. Spotkawszy Sawickiego przy ulicy Mazarine, wymierzył mu policzek. Świadek zajścia odprowadził rozszalałego Sawickiego do domu i uspokajał go przez całą godzinę. Sawicki oddał mu pod opiekę opieczętowaną paczkę papierów, w obawie, — jak mówił — że Handelsman może sprowadzić do niego policję. Jak się później okazało, były to właśnie dokumenty, dotyczące sprawy. Wkrótce po wyjściu przyjaciela, odźwierna zaniósła Sawickiemu list z poczty. Nie odezwał się na stukania, więc odźwierna wsunęła list pod drzwi. Przez cały dzień następny, Sawicki, wbrew zwyczajowi, nie wychodził z domu. Gdy na trzeci dzień odźwierna zauważyła, że Sawicki nie zabiera z przed drzwi chleba i mleka, zostawionego, zwyczajem paryskim, przez dostawców, zwróciła się zaniepokojona do policji.

Wyłamano zamek. List z przed dwóch dni leżał na podłodze, a nieco dalej, również na podłodze, leżały martwe zwłoki Sawickiego.

Na stole stała szklanka z niedopitym płynem: analiza wykazała, że była w nim strychnina z morfiną. Obok znaleziono dwie, pośpiesznie i niewyraźnie napisane kartki. Jedna brzmiała tak: „Droży towarzysze. Proszę Was, abyście zbadali tę sprawę. Osobiście nie uznaję innego stosunku do zdrajców. Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby dowieść przed opinią publiczną zdrady Handelsmana. Niechaj inni zajmą się tą sprawą i doprowadzą ją do końca. Zabijam się.

Kocham wszystko, co kochałem i szanuję wszystko, co godne szacunku. Niech żyją nasze ideały! Droga ciotko, wybacz, w głowie mi się mąci“.

Na drugiej kartce były słowa: „Spalcie wszystko, co będziecie uważali za potrzebne“.

Oprócz tych listów, sędzia pokoju, nakładając pieczęcie na rzeczy zmarłego, znalazł w pokoju dwie paczki papierów z napisem: „Prière de brûler“ (uprasza się o spalenie).

Samobójstwo Sawickiego wywarło w kolonji wstrząsające wrażenie. W cztery dni później odbył się jego pogrzeb na cmentarzu Montparnasse. Zebrały się kolonje: polska i rosyjska. Upartym tematem naszych rozmów podczas pochodu było dociekanie, co skłoniło nieszczęsnego Sawickiego do takiego kroku? — jaki straszliwy proces odbył się w jego duszy, zanim się otruł? W imie-

niu rewolucjonistów polskich przemawiali nad grobem: Stanisław Grabski (fanatyczny w owe czasy marksista) i robotnik Dąbrowski; ze strony rewolucjonistów rosyjskich wygłosili mowy: stary Ławrow i przyjaciel Sawickiego, Rubanowicz. Scjalistów francuskich reprezentował Zévaès.

Rubanowicz w przemówieniu swem usiłował rozwiązać zagadkę samobójstwa Sawickiego. Wyraził to w takim domniemanym djalogu wewnętrznym: „Pojedynek ze zdrajcą? Nigdy. Chcecie, żebym się bił? Po co? Macie mego trupa, jeżeli kto ośmieli się powątpiewać o mojej odwadze. A ty dawaj swego i oczyszczaj szeregi ze swej haniebnej obecności!“

*

Śmierć Sawickiego wytworzyła cały szereg nieoczekiwanych komplikacyj. Sprawa weszła na łamy dzienników paryskich i stała się przedmiotem zupełnie nowej sensacji. Sąd rewolucyjny z d. 9 lutego 1893 r., który się rozszedł bez orzeczenia, przeraził się samobójstwem Sawickiego, plotkami o rozprawach sądowych oraz zuchwałą postawą Handelsmana, który w dziennikach francuskich („Libre Parole“ i „Cocarde“) usiłował oskarżać Sawickiego. W dniu 19 lutego 1893 r. sąd ogłosił w „l'Echo de Paris“ takie oświadczenie:

„Wobec fałszywych pogłosek, dotyczących posiedzenia sądu, który miał się wypowiedzieć w sprawie oskar-

żenia niejakiego Handełsmána-Bronisławskiego o zdradę polityczną, my, sędziowie, oświadczamy:

że, wskutek pewnych formalności procedury, posiedzenie sądu zostało zamknięte, zanim zapadł wyrok;

że, wśród dokumentów, odczytanych przez oskarżyciela, Ludwika Sawickiego, znajdowały się niektóre, niezbite, między innymi świadectwo na piśmie o istnieniu wyroku, który wydali na niego jego towarzysze z procesu i który go ogłasza za zdrajcę. Sam Handełsman przyznał na sądzie, że wyrok taki był na niego wydany“.

Tymczasem wszedł w grę czynnik niebezpieczny: ambasada rosyjska. Z jej ramienia zjawił się d. 25 lutego w mieszkaniu Sawickiego konsul rosyjski i opieczętował je, nie zawiadamiając o tem sędziego pokoju, jak to było zastrzeżone w konwencji z r. 1874. Było to w epoce umizgów aljansu francusko-rosyjskiego, ambasada więc liczyła na bezkarność podobnej procedury. Przyjaciele Sawickiego zdobyli już pełnomocnictwo od jego spadkobierczyni (babki) i założyli protest przeciw postępowaniu konsula.

Sędzia pokoju odmówił wydania konsulowi rzeczy Sawickiego. Nie chcąc jednak na swoją odpowiedzialność rozstrzygać sporu, który mógł narazić Republikę na niełaskę caratu, odesłał strony do decyzji prezesa trybunału. Dwóch rewolucjonistów: dr. Józef Zieliński i Rubinowicz udali się do wybitnego adwokata, deputowanego Milleranda (późniejszego prezydenta Republiki) z prośbą o pomoc obrończą. Millerand podjął się chętnie spr-

wy i zrzekł się zgóry wszelkiego honorarjum. Orzeczenie prezesa trybunału z d. 18 marca 1893 r. nakazało papiery, pozostałe po Sawickim, opieczetować i oddać pod opiekę sędziego pokoju na sześć miesięcy, po upływie zaś tego czasu — spalić je, zgodnie z wolą wyrażoną przez nieboszczyka.

Zdawało się, że sprawa jest wygrana przez rewolucjonistów. Nadszedł czas ostatecznego porachunku z Handelsmanem. Z datą: 5 kwietnia 1893 r. ukazało się „Ostrzeżenie“, przedrukowane w „Pobudce“ (Nr. 3. 1893), a zawierające między innymi podpisy dwóch przyszłych prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej. — Ostrzeżenie to brzmiało tak:

„Zważywszy, że Wacław Handelsman-Bronisławski uznany został przez towarzyszków ze sprawy „Proletariatu“ (1883—1885) za zdrajcę;

zważywszy, że pomimo to próbował na Syberji nawiązywać stosunki i wtrącać się do konspiracji;

zważywszy, że ostatnimi czasy w Paryżu ponownie próbował zawiązywać stosunki i wchodził do towarzystw studenckich i pomiędzy socjalistów;

zważywszy haniebne postępowanie jego z towarzyszem L. Sawickim;

nżej podpisani uważają za konieczne ostrzedz przed nim wszystkich towarzyszy w kraju i zagranicą, ponieważ może on i nadal ponawiać próby swej występnej działalności.

Edward Abramowski, Aleksander Dębski, B. Jędrzejowski, Witold Jodko, Marja Mendelson, Stanisław Mendelson, Ignacy Mościcki, Feliks Perl, Stanisław Wojciechowski, B. Limanowski, Stanisław Gutmajer, C. Wojnarowska, Henryk Daum, Redakcja czasopisma *P o b u d k a*“.

Tymczasem spór o papiery Sawickiego nie skończył się tak, jak przypuszczaliśmy wszyscy. Ambasada rosyjska, rozłakomiona na tak wyjątkową (w jej mniemaniu) gratkę, wniosła apelację. Proces odbywał się w „Cour d'Appel“ d. 17 i 18 maja 1893 r. Ze strony konsulatu wystąpił adwokat Martini. Spadkobierczyni Sawickiego bronił Millerand, który rozważył najpierw zasadniczy paragraf konwencji z r. 1874, brzmiący tak: „We wszystkich sprawach, konsulowie generalni, konsulowie i wicekonsulowie reprezentują prawnie spadkobierców i będą uznani urzędowo, jako ich pełnomocnicy, bez obowiązku usprawiedliwiania swego mandatu specjalnym dokumentem“. Adwokat Martini dowodził, że konwencja zawarta została nie dla obrony interesów spadkobierców, ale dla odnośnych rządów. Millerand przedstawił prawną nielogiczność tłumaczenia konwencji w sposób przyjęty przez konsulat, zaakcentował mocno polityczne znaczenie kwestji i wyświetlił, dlaczego przedstawiciel rządu rosyjskiego tak gwałtownie dobija się garści papierów. „Avocat général“, Puech, odrazu stanął po stronie konsula, łatwo więc było przewidzieć treść wyroku. Po dwutygodniowej przerwie, 1 czerwca odczytano w sądzie wyrok, oddający

konsulowi rosyjskiemu prawo zajęcia wszystkich rzeczy, pozostałych po zmarłym Sawickim.

*

Wybuchnął skandal. Nawet burżuazyjna opinja publiczna zanadto była podrażniona takim wynikiem aljansu francusko-rosyjskiego. — Wszystkie dzienniki, bez różnicy przekonań, z najwyższem oburzeniem powitały wyrok sądu apelacyjnego. Nie pomogła fałszywa wiadomość, umieszczona nazajutrz po wyroku w ministerjalnym „Le Temps“, że Sawicki zabił się z powodu posądzenia go o zdradę przez towarzyszków partyjnych. Ambasada rosyjska pragnęła w ten sposób podać Sawickiego za swego agenta. Przyjaciele Sawickiego ogłosili natychmiast sprostowanie. Posypały się uczciwe i szlachetne protesty w prasie francuskiej. W pięknym i gorącym artykule p. t. „Pourvoyeuse de baigne“ (Dostarczycielka katorgi), ogłoszonych w „Le Matin“ (2.7 1893) pani Séverine pisała między innymi: „Czy możliwe, żeśmy już do tego doszli? Czy możliwe, ażeby wygnaniec nie mógł u nas umrzeć, nie mógł się nawet zabić, ażeby nie czuł się bezpiecznym pod egidą Francji, niby orlą pod skrzydłami orła? A on wierzył w to, nieszczęśnik, ten Ludwik Sawicki, który przekazał swego trupa naszej ziemi, swą pamięć naszemu legendowemu szacunkowi dla zwyciężonych. Śliczny jest ten nasz legendowy szacunek — warto o nim teraz pomówić! Święta (nawet u dzikich) gościnność zdradza tajemnicę gościa, wydaje go

wrogowi, — chociaż jeszcze robaki grobu nie spełniły swego zadania, nie pożarły serca nieboszczyka... Wielka to hańba dla naszej ojczyzny, gdy się pomyśli, że, być może, idąc na szubienicę, oddając ostatnie tchnienie pod knutem, wlokąc na Syberję swe zakrwawione stopy, nie-szczęśliwcy będą mogli powiedzieć sobie: To Francja nas wydała! Inaczej postępowała niegdyś!...

Niezwykle gwałtowny pamflet przeciw sędziom francuskim p. t. „Gibier de potence“ (Szubienicznicy) ogłosił Henryk Rochefort w swym dzienniku „L’Intransigeant“ (5.6. 1893). Zmieszał ich z błotem. Z fragmentów, nadających się do powtórzenia, zacytuję jeden: „Rzecz nadzwyczajna, niewiarogodna, a w którą zapewne potomność nie uwierzy: znalazł się we Francji jeden sędzia, który zaprotestował przeciw pogwałceniu woli zmarłego i odmówił konsulowi, przedstawicielowi policji rosyjskiej, prawa zagarnięcia schedy, której nieboszczyk nie uczynił go w żadnej mierze spadkobiercą. Tak, ten rzadki ptak, ta perła wschodnia, ta lampa cudowna — sędzia uczciwy znalazł się u nas; jest to, co prawda, sędzia pokoju. Co się tyczy innych, t. j. sędziów apelacyjnych, do których zwrócił się konsul rosyjski, wyrok ich nie mógł budzić żadnej wątpliwości. Ci urzędnicy-dozorcy galerników, którzy żałują codziennie, że nie mają do swego rozporządzenia Syberji, aby tam posyłać rewolucjonistów — szczęśliwi są, że mogą stawiać szubienice w Petersburgu, skoro nie są w stanie kazać działać w takim stopniu, jakby pragnęli, gilotynie w Paryżu“ i t. d.

Nawet pisma sprzyjające aljansowi, potępiły zgodnie wyrok sądu apelacyjnego. „La Lanterne“ (4.6. 1893) w artykule p. t. „Nikczemność“ analizuje najpierw tekst konwencji z r. 1874 i pisze dalej: „Jeżeli więc Izba Apelacyjna oświadcza, że była zmuszona popełnić nikczemność, która rani obecnie sumienie publiczne, to przecież narzuciła jej ten przymus nie — wola prawa, ale inna wola, a mianowicie wola rządu, który nie zawahał się zniesłać gościnności francuskiej, aby sprawić przyjemność rządowi rosyjskiemu. Zapytajcie w sprawie Sawickiego wszystkie sfery społeczeństwa, na wszelkim będące poziomie. Wszędzie wyraz obrzydzenia publicznego będzie mniej lub więcej żywy, mniej lub więcej poprawny; ale zarówno człowiek z ludu, jak i człowiek z towarzystwa jedne tylko żywi uczucia: wstrętu i odrazy“.

Podobnie brzmiały artykuły w: „l'Autorité“, „Paris“, „Germinal“, „Eclair“ i t. d.

Gorący i jednomyślny protest opinii publicznej dodał odwagi kolonji polskiej, dla której nie było bezpieczne występowanie jawne przeciw rządowi i sądom francuskim. Dnia 8-go czerwca 1893 r. zorganizowaliśmy wiec publiczny, na którym, pod przewodnictwem Bolesława Limanowskiego, postanowiono rozesłać do wszystkich deputowanych francuskich odezwę w sprawie wyroku Izby apelacyjnej. Odezwa, streściwszy sprawę Sawickiego, zawiera dalej takie słowa: „Ten świeży wyrok

Izby Apelacyjnej napelnia nas Polaków, mieszkających we Francji, najżywszemi obawami, ponieważ od tej pory, po śmierci kogokolwiek z nas, przedstawiciele rządu rosyjskiego będą w prawie zawładnąć naszą najważniejszą i najpoufniejszą korespondencją. Okoliczność ta sprawia, iż tu, na wolnej ziemi Republiki Francuskiej, położenie nasze staje się tyleż uciążliwe i tyleż niepewne, jak pod bezpośrednim uciskiem despotyzmu rosyjskiego“. Odezwą prosi deputowanych w zakończeniu o poruszenie sprawy w Parlamencie i o rewizję konwencji z r. 1874, tak fatalnie tłumaczonej przez sądy.

Prasa paryska powtórzyła odezwę polskiego wiecu i opatrzyła ją przyjaznymi komentarzami. W sukurs naszej sprawie przyszły także ugrupowania demokratyczne francuskie. Urządziły one nazajutrz dwa wielkie m e e t i n g i protestacyjne: jeden w „Maison du Peuple“, drugi — w „Salle du Progrès“. Zgromadziły one po kilka tysięcy osób.

Rozgrzana atmosfera wywołała wrzenie wśród paryskiej młodzieży uniwersyteckiej. Pewnego dnia, dwóch studentów Francuzów, Julien i Zimmer wyważyli drzwi od opieczętowanego mieszkania Sawickiego i zaczęli niszczyć pośpiesznie papiery. Zostali, niestety, schwytani przez agentów, pilnujących dniem i nocą domu, w którym mieszkał Sawicki. Zamknięto ich w areszcie i przekazano sądom.

Rozprawa odbyła się w innym już zupełnie nastroju. Wyrok skazał oskarżonych młodzieńców na więzienie, ale

zastosowano do nich nowe jeszcze wówczas prawo: *l'a loi des Ursis* (zawieszenie kary).

Tak się skończyła kompromitacja aljansowego rządu francuskiego wobec własnego społeczeństwa i wobec cudzoziemców.

DOLA ZAPOMNIANEGO MŚCICIELA

W końcu 1890 r., Paryż otrzymał niezwykłą sensację: w hotelu de Bade, w biały dzień zabity został generał rosyjski, Seliwerstow. Zabójcą, jak się okazało natychmiast, był rewolucjonista polski, Stanisław Padlewski. Obiektywne warunki, w jakich odbył się zamach, odtworzono tego jeszcze dnia. Dnia 18 listopada, o godzinie wpół do dwunastej, przybył do generała jakiś interesant, podał swe nazwisko staremu służącemu i oświadczył, że przychodzi od Bernhoffa, który utrzymywał „salon francusko-rosyjski“ w lokalu Instytutu „Rudy“ przy ulicy Royale, 7. Dodał, że przynosi generałowi zaproszenie na wieczór, który p. Bernhoff organizuje „na czwartek“. Służący zaanonsował przybysza generałowi, ten zaś polecił, aby mu doręczono owe zaproszenie. Przeczytawszy list ze znany mu podpisem, kazał Seliwerstow wprowadzić przybysza. Służący odszedł do innego pokoju w mieszkaniu i zajął się porządkowaniem. Nie wiedział wcale, kiedy Padlewski wyszedł. Według zeznań garsona hotelowego, Stan. Padlewski przebywał u Seliwerstowa kilka zaledwie chwil. Służący generała czekał ze dwadzieścia minut na

wezwanie od swego pana. Zdziwiony, że gość tak długo nie wychodzi, stuknął kilkakrotnie do drzwi, aż wreszcie wszedł do gabinetu. Zobaczył generała siedzącego w fotelu, z głową odchyloną w tył, z nogami wyciągniętymi przed siebie i opuszczonymi rękami. Na lewym policzku widać było smugę krwi, spływającą z włosów. Generał oddychał jeszcze, ale stracił już zupełnie przytomność. Przerażony sługa, zbiegł natychmiast do administratora hotelu. Generał tymczasem umarł. Urzędowa obdukcja, dokonana przez sławnego profesora Brouardela stwierdziła: „Wystrzał z rewolweru dokonany został o dwadzieścia do dwudziestu pięciu centymetrów od Seliwerstowa. Zabójca stał z lewej strony od generała, który siedział w pozycji pochylonej i pisał. Kula utkwiała poniżej kości skroniowej i strzaskała czaszkę“.

*

Śród rewolucjonistów polskich i rosyjskich w Paryżu, pobudka oraz istota zamachu nie były tajemnicą. Seliwerstow, generał żandarmerji rosyjskiej, sławny prowokator, miał na sumieniu długi szereg istnień ludzkich w Rosji i na emigracji. W początku roku 1890 przybył on do Paryża i, za pośrednictwem swych agentów, opłatywać zaczął rewolucjonistów rosyjskich. Namówił ich do akcji terrorystycznej i sam dostarczał na nią środków. Niektórych, dzielniejszych posyłał do Rosji na rzekomą „propagandę“, ale, jak się okazało, aresztowano ich czę-

sto już na granicy. W Paryżu pomógł rewolucjonistom do założenia laboratorium a potem zadenuncjował wszystkich do władz francuskich, które pochwyliły z radością sposobność przysłużenia się rządowi carskiemu, gwoli przyspieszenia traktatu przymierza. Zaczęły się masowe areszty, zakończone wielkim, głośnym procesem o „sprawę bomb“, po którym skazano cały szereg rewolucjonistów rosyjskich na więzienie. Z Paryża przewieziono ich następnie do więzień prowincjonalnych.

Stanisław Padlewski, który z wielkiem rozjątrzeniem badał szczegóły procesu, postanowił wystąpić jako mściciel. Miał wówczas 33 lata. Życie jego pełne było burz i przygód. Urodził się na Podolu. W r. 1863 rozstrzelani zostali jego stryj i kuzyn; ojciec umarł w więzieniu podczas śledztwa, jakie mu wytoczono. Babka Stanisława zawiozła go wówczas do Galicji, do jego ciotki, Golejewskiej. Po ukończeniu Powstania, obie kobiety wróciły z chłopcem na Podole. Nauki gimnazjalne odbywa Stanisław pod opieką stryja, Stefana. Tradycje rodzinne rozbudziły w nim od dzieciństwa gorący patryjotyzm. W r. 1876 postanawia wziąć udział w serbskiej wojnie o niepodległość. Dziewiętnastoletni chłopiec staje na rozdrożu, gdyż Rosja popierała sprawę Serbji, więc wolałby walczyć po stronie Turcji. Przeważyło uczucie, iż walczyć należy w obronie uciśnionego narodu. Jedzie do Serbji i, jako podoficer bije się z Turkami przez rok. Zaledwie opuścił armję serbską, wybucha wojna rosyjsko-turecka. Oczywiście, teraz przeciw Turkom wystąpić nie

zamierza. Idzie pieszo do Galicji i zapisuje się w Krakowie na studia. Zaaresztowany w r. 1879, otrzymuje rozkaz opuszczenia granic Austrii. Znowu wędruje pieszo aż do Zurichu, gdzie się zapisuje na politechnikę. Walcząc z nędzą, pracuje przez pewien czas w polskich pismach rewolucyjnych, jako zecer. W r. 1882 przybywa do Poznania w charakterze emisariusza socjalistycznego. Aresztują go znowu i osadzają na osiem miesięcy w więzieniu prewencyjnym, poczem wyrok sądowy skazuje go na trzy lata więzienia, które odbywa w Ploetzensee. Po usiłowanej ucieczce, przenoszą Padlewskiego do Berlina, skąd wydają go Rosji. Osadzony w Cytadeli, udaje tam obłąkanie, więc przenoszą go do Jana Bożego. Dzięki pomocy sławnego w owe czasy aljenisty, doktora Płaskowskiego, Padlewski odzyskuje wolność. Wreszcie w r. 1889 przybywa do Paryża i bierze udział w ruchu rewolucyjnym.

Po „sprawie bomb“ w 1890, Padlewski, rozpalony do białego, postanawia zgładzić Seliwerstowa. Zebrawszy wszelkie potrzebne o nim wiadomości, rozpoczyna akcję przygotowawczą na dłuższą metę. Przyjmuje dość mizerne miejsce u Bernhoffa, dowiedział się bowiem, że Seliwerstow utrzymuje z nim stosunki i że tą drogą zyskać może pewnego dnia dostęp do generała-prowokatora. Raz był wysłany do Seliwerstowa z listem, ale nie został przyjęty. Wrócił poraz drugi 18 listopada. Poszedł z nadzieją, że może jakoś zyska zaufanie żandarma, bardzo ostrożnego i podejrzliwego. Przypuszczał, że

osobiście stanie przed nim dopiero po wielu tygodniach prób. Ku wielkiemu zdziwieniu swemu, został wpuszczony do gabinetu Seliwerstowa. O przebiegu swej krótkiej, ale krwawej wizyty, opowiedział później Padlewski, co następuje:

„Jenerał siedział przy swem biurku, pod oknem. Przyglądając mi się bacznie, zapytał po francusku:

— Gdzie mieszka pan Bernhoff? Muszę mu odpisać.

— Przy ulicy Cambon, 23 — odpowiedziałem tonem służalczym. Wziął pióro do ręki i zapisał adres na odwrotnej stronie listu Bernhoffa. Potem położył pióro i zawołał:

— Zbliź się.

Byłem posłuszny. Wypytywał mnie o moje zajęcia u p. Bernhoffa, o ludzi, chodzących na jego koncerty, o damy, jakie tam bywają. Gdy mu dałem te informacje, zauważył:

— Bogato ubrane, ale — nie młode. To nie dla mnie. Jestem dość zamożny, aby mieć takie, jakie mi się podoba.

Po chwili milczenia dodał:

— Tak, mam dużo pieniędzy. Czy ty pomyślałeś kiedy, co to jest milion?

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Nagle zaczął do mnie po rosyjsku:

— Czy chciałbyś zarobić dużo pieniędzy?

Otworzył szufladkę biurka i pokazał mi mnóstwo monet złotych.

— Jest tu — oświadczył — czterdzieści tysięcy.

Był widocznie zadowolony z wrażenia, jakie ten widok wywarł na mnie, bo zaraz dodał:

— Jeżeli mi będziesz mówił o ludziach, którzy chodzą do Bernhoffa, to za każdym razem dostaniesz pieniądze...

Oczy moje zdradziły zapewne, co się we mnie dzieje, gdyż spojrzał na mnie z niepokojem. Byłem tuż przy nim. Zbliżyłem się o krok i — wystrzeliłem, mówiąc:

— Masz za bomby! („Wot tiebie za bomby“). Osunął się, bełkocąc:

— Pa...

Chciał zapewne powiedzieć: „Pamiętaj“! Zdziwił mnie mały odgłos mego wystrzału. Chciałem wystrzelić poraz drugi, ale zauważyłem, że się nie rusza, więc doszedłem do wniosku, że już nie żyje. Służący widocznie wcale nie słyszał huk. Przeszedłem około odźwiernej, ukloniłem się i wyszedłem na ulicę, nie wiedząc, dokąd pójść. Nagle posłyszałem, że ktoś biegnie za mną, a potem ktoś mnie gwałtownie popycha. Chwyciłem za rewolwer, żeby się bronić. Był to jakiś młody człowiek, pędzący do omnibusu. Zawołał zirytowany: — „Mógłby pan uważać!“... i — pobiegł szybko.

*

Policja postawiła na nogi całe zastępy wywiadowców. Padlewski zajmował maleńki, ubożuchny pokój w dziel-

nicy Clignancourt, na szóstym piętrze; płacił za niego 100 franków rocznie. Szef „bezpieczeństwa“, Goron dokonał natychmiast rewizji w tym pokoju, ale znalazł tylko garść listów i papierów bez znaczenia. Wszelkie poszukiwania nie dały wyniku; Padlewski zniknął.

Śledztwo poszło po linii najmniejszego oporu. Naza jutrz po zabójstwie zaarrestowano Stanisława Mendelso-
na, w którym ambasada rosyjska widziała moralnego
sprawcę zamachu. Mendelson oświadczył, że pobudki za-
machu nie są mu znane; że u Padlewskiego w mieszka-
niu nigdy nie był; że stosunki ich wzajemne ograniczyły
się do kilkakrotnych zasiłków pieniężnych, których Men-
delson udzielił Padlewskiemu, żyjącemu w nędzy. Chcąc
zabezpieczyć swą grupę przed atakami policji, najbliż-
szy towarzysz Mendelso-
na, Aleksander Dębski ogłosił
w dzienniku „Radical“ (4.XII.1890) takie, niezupełnie
...potrzebne, oświadczenie „w imieniu polskiej socjalno-
rewolucyjnej partji P r o l e t a r j a“:

„Niektóre dzienniki francuskie i zagraniczne upar-
cie mieszają naszą partję do wypadku w H ô t e l d e
B a d e. Nieznane nam są absolutnie pobudki, któremi
się kierował sprawca zamachu; przypuszczając zresztą,
że mogły być natury politycznej, nie uważamy za po-
trzebne zastanawiać się nad nimi. Musimy jednak
oświadczyć, że partja nasza nigdy nie uznawała za wła-
ściwe, aby prowadzić walkę przeciw samowładztwu ro-
syjskiemu poza jego granicami i przenosić ją do kraju,

który, jak Republika Francuska, udziela gościnności emigrantom politycznym“.

Ambasada rosyjska chwyciła się środka dosyć osobliwego i naiwnego. Ogłosiła, że Seliwerstow żadnych urzędowych funkcji nie pełnił, został więc zamordowany, jako człowiek prywatny. Dzienniki paryskie, lubiące plotki i insynuacje, zaczęły (pod niewątpliwym wpływem ambasady) ogłaszać różne „wyjaśnienia“, które ubliżały honorowi Padlewskiego. Jedne donosiły, że zamach miał być zemstą dymisjonowanego agenta Wydziału III-go na swym dawnym naczelniku; według innych, zabójstwo Seliwerstowa było wynikiem... zazdrości o małoletnią kochankę. Wobec tych nikczemnych sugestyj, w dzienniku „Evénement“ ukazał się następujący list z Londynu, z datą 27 listopada 1890 r.:

„Sz. Panie Redaktorze! W jednym z numerów Pańskiego pisma znalazłem następującą notatkę: „Jeden z dzienników stał się echem wersji, którą nam zakomunikowano, ale której nie uważaliśmy za stosowne umieścić. Padlewski — twierdzono — miał zabić Seliwerstowa przez zazdrość. Jenerał, znany, niezmordowany amator awanturek miłosnych, był w stosunkach z niejaką M., utrzymującą niegdyś dom schadzek przy ulicy de Rome. Rewizja policyjna wykryła tam obecność dziewczynek 12—14-letnich, które ta zacna dama wydawała na pastwę zwierzęcości swych klientów. Po odsiedzeniu kary za znieprawianie małoletnich, M. jest teraz wolna i utrzymuje w innem miejscu podobny zakład. Padlewski, bę-

dąc kochankiem jednej z owych dziewczynek, miał zabić Seliwerstowa z pobudek czysto osobistych“.

Wersja ta, Panie Redaktorze, jest nikczemną potwarzą, przeciw której usilnie protestuję. Zabijając Seliwerstowa, spełniłem akt sprawiedliwości. Partja, do której należę, uznaje zasadę jednakowości środków działania w walce z despotyzmem. Skoro tyranja zabija dzielnych rycerzy postępu, czemużby obrońcy wolności mieli się wyrzec, jako środka walki: usuwania tyranów lub ich służalców? Seliwerstow otrzymał, niestety, zapóźno, to, co mu się należało oddawna. Nie zapominajmy, że ten szpieg salonowy powiesił wielu rewolucjonistów, a tysiące wysłał na Syberję. W ostatnich zaś latach zorganizował w Paryżu bandę szpiegów, którzy nie tylko tropili emigrantów, ale sami knowali również spiski, za które pociągnięto do odpowiedzialności naszych towarzyszków (sprawa bomb).

Dodam na zakończenie, że nie bez żalu opuszczam Francję, którą ukochałem, i Francuzów, wśród których znalazłem licznych przyjaciół. Tym, którzy mi ułatwili ucieczkę — dzięki! Mam nadzieję, Panie Redaktorze, że w interesie prawdy, nie odmówi Pan gościnności memu listowi.

Stanisław Padlewski“.

List ten istotnie wysłany był z Londynu, dokąd go zawiózł jeden z przyjaciół Padlewskiego; ale pisało go w Paryżu, gdzie Padlewski czekał w ukryciu na okazję ucieczki.

Po wyjściu z hotelu de Bade, Padlewski udał się wprost do pani Duc Quercy, rewolucjonistki francuskiej, którą znał od kilku miesięcy. Przyjęła go z tą szlachetnością, jaką Francuzki miewają nieraz w wysokim stopniu. Według jej relacji, dialog ich wstępny był taki:

— „Wracam z hotelu de Bade. Zabiłem Seliwerstowa — oświadczył Padlewski.

— Doskonale pan zrobił — odpowiedziałam.

Okrzyk ten wyszedł z moich ust bez drgnienia. Wiedziałam, że ofiary Seliwerstowa liczą się na tysiące, więc śmierć jego wydała mi się karą zasłużoną.

— Wiedząc — mówił dalej Padlewski — że pani jest rewolucjonistką, myślałem, że nie mogę postąpić lepiej, jak powierzyć się pani. Proszę o schronienie.

— I zrobił pan doskonale — odpowiedziałam, wyciągając do niego rękę. Ale dla tego właśnie, że jestem rewolucjonistką, napewno przyjdą do mnie na rewizję, po rewizji u pańskich rodaków. Mąż mój wyjechał do Niemiec. Co robić? Na razie musimy zabrać się do rzeczy pilniejszej. Pewno pan głodny?“

Tegoż dnia spodziewała się pani Duc Quercy na obiad swych przyjaciół, państwa Grégoire'ów. Postanowiono więc rozstrzygnięcie sprawy pozostawić do wieczora. Grégoire był sekretarzem dziennika „Radical Algérien“, który redagował właśnie mąż pani Duc Quercy. Podawszy się do dymisji, Grégoire wraz z żoną przybył do Paryża. Pani Duc Quercy nie mogła im dać gościny, bo miała za szczupłe mieszkanie. Wynajęła więc dla nich

pokój przy ulicy du Jura, co zresztą nie przeszkadzało im spędzać całych dni w mieszkaniu pani Duc Quercy. Podczas obiadu, wieczorem, postanowiono wspólnie, że Padlewski zamieszka z Grégoire'm w pokoju przy ulicy du Jura Nr. 13, jego żona zaś przeprowadzi się do pani Duc Quercy. Wieczorem przebrano Padlewskiego w kostium pana Duc Quercy, dano mu cylinder i odprowadzono go do mieszkania przy ulicy du Jura, gdzie przesiedział dwa tygodnie, nie ruszając się z miejsca. Przynoszono mu codziennie śniadania, obiady oraz gazety, w których wyczytywał niewiarogodne, fantastyczne wiadomości o sobie i o rzekomej „sprawności“ policji francuskiej. Gdy się nieco uspokoiły nieustanne alarmy dziennikarskie, postanowiono znaleźć człowieka, któryby się podjął wywiezienia Padlewskiego za granicę. Wybór padł na zdolnego dziennikarza, pełnego zimnej krwi i odwagi: był nim Georges de Labruyère, współpracownik dziennika „l'Eclair“. Przyjął propozycję z ochotą i z poczuciem starej francuskiej rycerskości. Wykonał ją zbyt może ryzykownie, ale — z dobrym skutkiem.

W numerze l' E c l a i r'a z dn. 15 grudnia 1890 r. ogłosił Labruyère ogromnie długą relację p. t. „Evasion de Padlewski“. Jest w tym sensacyjnym reportażu wiele szczegółów wyolbrzymionych, wiele opisów bez znaczenia, ale są też fragmenty, świadczące o rasowem poczuciu honoru u dzielnego dziennikarza francuskiego. Wyłuska-
na z nadmiaru zbędnych słów, relacja brzmi tak:

Otrzymałszy propozycję wywiezienia Padlewskiego

za granicę, Labruyère rozważył najpierw sprawę we własnym sumieniu. „Byłem — mówi — gotów, chociaż nie jestem bojownikiem socjalizmu, poświęcić się, aby wywrwać szubienicy rosyjskiej lub gilotynie francuskiej tego mordercę, który nie jest zbrodniarzem. Myśl, że ten człowiek mógłby być wydany przez Francję, dręczyła mnie niewypowiedzianie“. Obmyślając rozmaite sposoby ocalenia Padlewskiego, zatrzymał się na jednym: urządzi komedję pojedynku poza granicami Francji i postara się, aby dzienniki zagadały o tem „niedyskretnie“. Wersja taka wyda się bardzo prawdopodobna, bo Labruyère słynął w Paryżu z nieustannych pojedynków. W danym wypadku należało prowadzić całą sprawę z wielkim luksusem, jechać na metę pierwszą klasą, ze świadkami i lekarzem, aby uwierzono pogłoskom. Niestety, na taki luksus brakło pieniędzy. Labruyère zaproponował kierownikowi l'Éclair, aby mu naprzód wypłacił honorarjum za przyszły sensacyjny reportaż. Ruchliwy redaktor przyjął projekt z zapalem i żadaną sumę zapłacił zgóry. Sprawa była przesądzona.

Labruyère wziął sobie do pomocy dwóch wiernych przyjaciół na rzekomych sekundantów, których w istotę sprawy nie wtajemniczył, tłumacząc, że zatarg jest natury bardzo delikatnej. Zamówiono miejsca sypialne do Wenecji. Grégore i pani Duc Quercy przywieźli Padlewskiego pod umówiony adres, w dorożce karetowej, o ósmej czterdzieści wieczorem, dnia 3 grudnia. Labruyère nie widział go przedtem. Spodziewał się, że zobaczy obdar-

tego „nihilistę“, wychudzonego i nędznego. Tymczasem ujrzał niezmiernie wytwornego dżentelmena, ubranego starannie, według ostatniej mody, ale — bez przesady. „Zgrabny, wcale nie chudy, twarz subtelna, wzrok nieco władczy, wygląd człowieka, który rozkazywał całe życie“. Przy pomocy Grégoire'a, Padlewski przemalował sobie włosy i wąsy, brodę zgolił. Gdy przyjechali na stację, Labruyère przedstawił Padlewskiego swym przyjaciółom, jako „doktora Wolffa“. Na peronie spotyka Labruyère znajomych, którzy od razu domyślają się, że to wyjazd na... pojedynek. Droga do granicy przeszła na wytwornej gawędzie. Rozległość zainteresowań Padlewskiego imponowała Labruyère'owi. W Medjolanie dopiero dowiedział się szczegółów jego życia oraz historii Seliwerstowa. Przyjechali do portu w Trjeście. Zadanie Labruyère'a zostało spełnione. Padlewski wsiadł na statek, jadący do Ameryki przez Sycylię, Malte, Gibraltar i Londyn.

Relacja Labruyère'a wywarła w Paryżu ogromne wrażenie. Zrazu nie chciano jej wierzyć. Romantyczny ton opowiadania Labruyère'a, nasuwał podejrzenie że wszystko zmyślane. W relacji nie było żadnych nazwisk: ani tych przyjaciół Labruyère'a, którzy pojechali z nim w charakterze sekundantów, ani też tych osób, którzy poruczyli Labruyère'owi sprawę wywiezienia Padlewskiego za granicę. Chciał on, po dżentelmeńsku, wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Na to nie mogli się zgodzić: pani Duc Quercy i Grégoire, którzy przez dwa tygodnie ukrywali Padlewskiego w domu przy ulicy du Jura 13.

Ogłosili w dziennikach l'Éclair i l'Echo de Paris artykuły wyjaśniające rolę, jaką w całej sprawie odegrali.

Łatwo zrozumieć rozdrażnienie policji i władz państwowych po tych enuncjacjach. Prokurator wniósł akt oskarżenia przeciw całej trójce, która pomogła Padlewskiemu do ucieczki. Wytoczono im proces przed sądem policji poprawczej. Zapadł wyrok, skazujący Labruyère'a — na osiem miesięcy a panią Duc Quercy na dwa miesiące więzienia. Skazani apelowali. Sąd apelacyjny skasował wszystkie wyroki... Gest rycerski wzbudził podziw nawet w „przyjaciołach“ Rosji carskiej...

*

W Ameryce przechodził Padlewski bardzo ciężkie chwile. Żarła go nędza a jednocześnie stawał nieustannie wobec grozy zaareztowania. Rozdrażniony do ostatka ciąglem ukrywaniem się przed policją, pozbawiony wszelkiego poparcia materialnego i moralnego, zabił się wystrzałem z rewolweru w parku, w San Antonio, d. 28 października 1891 r. Samobójstwo to przypisać należy tyleż może wyczerpaniu fizycznemu Padlewskiego, ile brakowi współczucia, którego mu skąpili współtowarzysze walki w Europie.

LIST AUGUSTA BEBLA

W końcu ubiegłego stulecia i w początkach bieżącego, sprawa polska wyglądała żałośnie. Rzeczy są dobrze znane, warto jednak przypomnieć atmosferę, w jakiej żyli wówczas nasi młodzi działacze rewolucyjni.

Jedyną jawną ostoją polskości była autonomiczna Galicja. Rządzili tam stańczycy, których hasłem było serwilistyczne: „Przy tobie, najjaśniejszy panie, stoimy i stać chcemy“. Kraj pożerała przysłowiowa „nędza galicyjska“. Ciemnota ludu (3.800.000 analfabetów!) oddawała go całkowicie we władzę kleru. Wycieńczona fiskalizmem ludność z wielkim trudem pracować mogła nad podniesieniem poziomu kulturalnego. „Patrjotyzm“ przedstawiał na święceniu rocznic, obchodach, uroczystych pogrzebach, jubileuszach. Wiele lat upłynęło, zanim rozpoczęto planową, systematyczną organizację szkolnictwa, czasopism, wydawnictw, stowarzyszeń społecznych i oświatowych. Polacy bywali często ministrami w Wiedniu, ale niewiele to wpływało na polepszenie gospodarki w Galicji. Ruch niepodległościowy zaszczepiali przybysze

z Kongresówki (przeważnie młodzież uniwersytecka) oraz socjaliści, którzy po zjeździe paryskim 1892 r. przejęli program P. P. S. i rozwinęli bardzo energiczną działalność a w r. 1897 zdołali już wysłać do parlamentu dwóch swoich posłów. Z szybkim rozwojem szkół ludowych i średnich następuje też uświadomienie sfer włościańskich. W r. 1894 powstaje Stronnictwo Ludowe, które przyczyniło się do pewnego zdemokratyzowania społeczeństwa, pogrążonego w zaściankowej szlacheckiej.

Groźnie, w pewnych chwilach wprost tragicznie wyglądało w owym czasie życie w Poznańskim. Nie znają tu „nędzy galicyjskiej“, ale za to nad całym krajem rozlega się hasło całkowitego wytepienia polskość. Eksterminacyjna polityka Bismarka germanizuje szkolnictwo, sądownictwo i urzędy, nakazuje masowe wydalanie Polaków, tworzy zasobną w pół miljarda marek Komisję Kolonizacyjną, która już w r. 1891 wykupiła 50.000 ha. ziemi. Pewne znikome ulgi przynoszą Polakom pierwsze lata panowania Wilhelma II, ale te doprowadziły do poparcia przez Koło Polskie rządowego projektu wzmoczenia niemieckich sił zbrojnych. Zresztą pod rządami Bülowa walka z Polakami dochodziła do szalu. „Kwestję kresów wschodnich — oświadczył kanclerz w parlamencie — uważam nietylko za najważniejszą kwestję polityki wschodniej, ale wprost za kwestję, od której rozwoju zależy najbliższa przyszłość niemieckiej ojczyzny“. Wydano urzędnikom specjalne rozporządzenie, dotyczące

zwalczania polskości a hakatystyczna „Ostmarkverein“ założyła 400 filij, gromadzących 40.000 członków. Szał antypolski ogarnia nawet Wilhelma: wypowiada w Malborgu sławną mowę, zapowiadającą Polakom całkowite wyłączenie z pod prawa. Symbolem tych prześladowań były: Września i — Wóz Drzymały.

Nie lepiej działo się w zaborze rosyjskim. Rosja w metodach swych była mniej systematyczna i przebiegła niż Niemcy, ale system rusyfikacji ustalił się za czasów Aleksandra III bardzo mocno. Cenzura, „ochrona“ i żandarmerja skrępowały życie polskie tysiącem więzów. Zduszono samorząd miejski i wiejski, zrusyfikowano szkoły i sądy, usuwano Polaków z urzędów lub też przenoszono ich w głąb Rosji, stosowano na wielką skalę wyroki administracyjne. Chłopów oddano pod opiekę „komisarzy“; młodzież szykanowano w szkołach tak, iż nauka stawała się absurdem. W upodleniu niewolą powstaje stronnictwo „ugody“, a wszelkie związki o charakterze patriotycznym prowadzą żywot podziemny. Jedynym publicznym objawem iredentyzmu były obchody rocznic 3 maja lub Powstania Kościuszkowskiego, kończone masowymi aresztami najszlachetniejszej młodzieży. W r. 1886 powstaje w Paryżu organizacja, obliczona na tajne działanie w kraju. Była to „Liga polska“, złożona z emigrantów i z młodzieży uniwersyteckiej, oparta w swym programie o zasady Manifestu Towarzystwa Demokratycznego, ale dość uboga zarówno pod względem środ-

ków, jak wpływów. Narodziło się z niej w zaborze rosyjskim stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, które miało organizację tajną, ale dość rozległą. Jednocześnie działały z wyteżeniem sił spiski socjalistyczno-rewolucyjne, z których później wyrosła wyteżona walka terrorystyczna z carem. Pochłaniała ona mnóstwo najdzielniejszych jednostek, które oddawały życie za sprawę.

Tak było wewnątrz kraju. Na terenie międzynarodowym sprawa polska nie istniała. Traktowano ją w najlepszym razie jako komplikację „wewnętrzną“ każdego z państw zaborczych. Francja, w ciągu całego wieku wierna przyjaciółką Polski, od czasu paradoksalnego przymierza z Rosją, przestała wogóle odróżniać Polaków od Rosjan. Dawała nam gościnę, ale na żądanie ambasady rosyjskiej, każdy z nas mógł być wydalony z jej granic.

W takich warunkach, sojusznikami młodych rewolucjonistów, oddanych sprawie niepodległości, mogły być tylko elementy socjalistyczne w innych krajach. W r. 1892 socjalna demokracja niemiecka była stronnictwem potężnym. Założona w r. 1869, musiała przez jakiś czas rozwijać się w podziemiach. Gdy zniesiono prawa wyjątkowe przeciw socjalistom, okazało się, że stronnictwo socjaldemokratyczne jest znaczniejsze, mocniejsze i liczniejsze, niż przewidywano. Do parlamentu w r. 1892 wybrano ogromną ilością głosów 44 socjalistów, którzy stanowili trzecią co do ilości grupę posłów niemieckich.

Redagowałem w owym czasie w Paryżu „Pobudkę“,

organ „Polskiej Gminy Narodowo - Socjalistycznej“. Zwróciłem się do niektórych wybitnych działaczy socjalistycznych z zapytaniem, co myślą o sprawie polskiej? Odpowiedzi były naogół wykrętne, dowodzące braku zainteresowania się przedmiotem. Najbardziej charakterystyczną odpowiedź nadesłał mi przywódca socjalnej-demokracji niemieckiej, August Bebel. Odpowiedź ta brzmiała, jak następuje:

Berlin, d. 4.III.92.

Szanowni Towarzysze,

Otrzymałem pismo Panów z d. 2 lutego r. b. Ucieszyło mnie ono, widzę bowiem, że wnioski zawarte w mojej z dn. 5 października 1891 r. o konieczności przywrócenia do życia Polski na nowych demokratycznych podstawach, znalazły uznanie Panów.

Według mego przekonania, emigracja polska zagranicą nie ma nic więcej do zrobienia, jak nawiązanie nici z ojczyzną, aby w małym bodaj kółku, wśród uciskanej i brutalizowanej ludności polskiej, szerzyć ideę współczesnego socjalizmu. Wobec ogromnych trudności, jakie agitacja taka, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, napotyka, propaganda, poza wszelkimi środkami, wymagać będzie jeszcze gotowych do ofiar jednostek i dlatego zrazu obejmie bardzo małe koło współwyznawców; znaczenia jednak tej propagandy dla przyszłości nie należy niedoceniać. Doniosłą również wartość posiadać będzie wciągnięcie do pracy przynajmniej tej części narodu polskiego, która już

to przebywa zagranicą, już to znajduje się w lepszych warunkach. Należy ją zdobyć dla socjalizmu, wyszkolić w robocie, ażeby później, w odpowiedniej chwili, wyjść z niej mogli pionierzy i agitatorzy, realizujący ideę socjalizmu wśród narodu polskiego.

Według mnie, oderwanie Polski od Rosji i odbudowanie jej w dawnej postaci przy pomocy socjalizmu — jest również kwestją bytu i życia samego socjalizmu, jego rozwoju i kultury. Na samorzutne odrodzenie się Rosji w obecnej chwili nie sposób jest liczyć; przeszkadza temu jej despotyzm, któremu sprzyja szybki przyrost ludności i olbrzymie obszary Rosji w Europie wraz z podbitymi krajami i uciskiem. Potęgą Rosji może być skruszona przez odbudowę silnej i wielkiej Polski, popieranej żywo przez Europę zachodnią, która to Polska stanie się wtedy przedmurzem potęgi i siły Rosji. Ale w tym celu musi wyjść z Polski, jako jej pobratymczego narodu, ferment rewolucyjny, ażeby tam, wśród narodu rosyjskiego, jaknajszerzej rozeszły się i przeniknęły idee socjalizmu i demokracji. To też, mojem zdaniem, Polska ma przed sobą wielką kulturalno-historyczną misję, w której poprzec ją winni wszyscy ludzie, w tych zwłaszcza krajach, które hołdują ideałom socjal-demokratycznym. Polska — ażeby jej wartość poznała i oceniła Europa burżuazyjna — musi być na nowo powołana do życia przez proletariacką Europę, żeby już bez żadnej obawy nowego ciosu mogła wypełnić swą misję historyczną.

W zakończeniu pragnę prosić Panów o nieogłaszanie

mego pisma w prasie, gdyż w obecnej chwili nie chciałbym wywoływać żadnych sporów.

Z socjal-demokratycznym pozdrowieniem

A. Bebel“ *).

Zastrzeżenie Bebla, aby listu jego nie ogłaszać „w prasie“, zniszczyło, niestety, rację mojej w stosunku do niego ankiety. Dziś dopiero przekład tego listu podają do wiadomości publicznej, jako dokument historyczny. Nie spełniły się przewidywania Bebla, że Polska będzie na nowo powołana do życia „przez proletarjacką Europę“. Nie mógł również znakomity przywódca przewidzieć, że w piętnaście lat po „wojnie ludów“, z której wyszło odrodzenie Polski, potężna socjal-demokracja niemiecka znowu będzie zmuszona zejść do podziemi konspiracyjnych. Oceniał tylko słusznie znaczenie bojowych poczynań rewolucyjnego socjalizmu polskiego, z którego wyszły nasze kadry niepodległościowe, poprowadzone do odzyskania wolności przez Komendanta.

*

Nie dałem za wygrane. W następnym roku (1893) odbywał się w Zurichu międzynarodowy kongres socjalistyczny. Zjawiłem się na nim, jako wysłannik naszej

*) Oryginał listu Bebla znajduje się w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Narodowej.

„Gminy Narodowo-Socjalistycznej“. Zobaczyłem cały komplet prowodyrów socjalnej demokracji niemieckiej. Przewodniczył obradom poseł do parlamentu, sprężysty P. Singer, który utrzymywał dobre stosunki z niektórymi delegatami polskimi. Przyszło mi na myśl, że należy spróbować, czy nie da się w jakikolwiek sposób poruszyć sprawy polskiej na kongresie. Chociaż byłem bardzo nie-doświadczonym i młodzieńskim „politykiem“, zdawałem sobie jasno sprawę, że taka dywersja na kongresie międzynarodowym nie może dać wyników pozytywnych.

Zdawało mi się jednak, że skoro Bebel zapewnia, iż przyszłość Polski mieści się w przyszłości socjalizmu, więc jakaś najbardziej niewinna deklaracja kongresu w tym przedmiocie, może szerokim echem roznieść się po świecie, co będzie przecież zdobyczą niewątpliwą. Zacząłem nakłaniać najwybitniejszych delegatów polskich, abyśmy zorganizowali poza kongresem, większe zebranie dla pomówienia o naszych sprawach. Projekt mój zyskał uznanie. Zebraliśmy się w wielkiej piwiarni zurichskiej w dość licznej gromadzie. Przybyli wszyscy delegaci galicyjscy z Daszyńskim na czele, przybyła grupa „Przedświtu“ londyńskiego (Mendelsohn z żoną, Witold Jodko, Jędrzejowski, Dębski); następnie: Edward Abramowski, Zygmunt Pietkiewicz, Zygmunt Balicki, wreszcie — dość liczna kolonja polska z Zurichu. Przewodnictwo zebrania objął Zygmunt Balicki.

Wyłożyłem z zapałem mój projekt i wywołałem długą i dość burzliwą dyskusję. Zgromadzenie podzieliło się

na dwie części: jedna popierała mój wniosek, druga — zwalczała go ze względów taktycznych. W głosowaniu zostałem pobity dwoma głosami większości: przyjęto wniosek przewodniczącego, że „poruszanie sprawy na kongresie nie jest aktualne“...

Wróciłem do Paryża mocno rozgoryczony.

FRANCUZI

Przez cały wiek błąkał się po Polsce wytarty, śmieszny, ale uparcie powracający liczman: „Francuzi północy“. Wolą Wodza narodu ustala się nareszcie przeświadczenie, że — nie jacyś tam słabi naśladowcy, rozkoszujący się mdłą nazwą „Francuzów północy“, ale — po prostu: P o l a c y, którzy, po szesnastu latach wzmaganie się na siłach, dojrzeli już do tego, że chcą rozmawiać „jak równi z równymi“. To przeświadczenie, połączone z nieśmiałym jeszcze wyrazem: „mocarstwo“, stanowi ważną datę w dziejach odrodzonego Państwa.

Rodzi się pokusa rewizji hasła naszego rzekomego pokrewieństwa z Francuzami, którem tak długo upajała się próżność narodu w dobie niewoli. Czy istotnie tak bliska jest nasza z nimi „affinité“, że mieliśmy podstawy do zdobienia się żalną etykietą „Francuzów północy“?

Odpowiemy zgóry, że pomiędzy duszą francuską a duszą polską istnieje niczem niezrównana różnica, czy to w pojmowaniu życia, czy to w traktowaniu społecznych, uczuciowych lub filozoficznych zagadnień.

Cóż wyniosło Francuzów ponad inne narody, co sprawiło, że w historii ludzkości odegrali tak wielką i tak wspaniałą rolę? Nie tylko sama genialność rasy, bo tej nie brakuje i nie brakowało nigdy Polakom. Ale przede wszystkim — przewaga i siła ducha społecznego. „Francuz odosobniony—mówi Fouillée—nie ma siły woli Anglika, upartej cierpliwości Niemca; odnajduje przecież swe zalety, kiedy się czuje połączony z ogółem, kiedy może, że tak powiem *chcieć z b i o r o w o*“. Francuz w stosunkach osobistych jest mało interesujący; mówi komunałami, nieświadomymi cytatami z pochwytych zdań. Ileż to razy zdarzało mi się słyszeć zachwyty Francuzów nad Polakami, że każdy z nich tyle wie, tyle zna języków, tyle umie, tyle rzeczy w życiu widział, taki ma „rozległy“ pogląd na wszystko.

Spróbujmy jednak eksperymentu: jeżeli połączymy razem trzech „ciekawych“ Polaków, rozłączy ich natychmiast siła odśrodkowa — każdy pójdzie w inną stronę ze swym „genjuszem“ i w najlepszym razie założy jeszcze jedną „partję“; jeżeli zaś połączymy trzech nieinteresujących, nieciekawych Francuzów, powstanie wśród nich ktoś czwarty, jakaś siła jednocząca, która zamieni te luźne elementy w niespodzianą kombinację twórczą. Siła ta przyniosła nietylko najświetniejsze zdobycze kultury i cywilizacji francuskiej, ale wydała: Wielką Rewolucję z odparciem koalicji europejskiej, zwycięstwa napoleońskie, wszystkie trzy republiki francuskie, wielkie zwycięstwa nad Marną i pod Verdun. Ona to sprawiła, że z bogaceni

niesłychanie Francuzi, o których mówiono, że marzą o wynajmowaniu legjonów na wzór rzymski, bili się bohatersko, podczas wielkiej wojny, przez cztery lata i złożyli ojczyźnie w ofierze półtora miliona najdzielniejszych młodzieńców. Brak tej siły w dostatecznej mierze zgubił Polskę historyczną i doprowadził do tego, że, po stu pięćdziesięciu latach niewoli, w pierwszym Sejmie mieliśmy trzydzieści pięć partyj, które gospodarowały dopóty, dopóki nie padło groźne słowo: „zawiele nieprawości!“.

Zmysł społeczny łączy się najściślej z konstrukcją psycho-fizyczną rasy. Nawet Francuzi ulegają niekiedy sugestji, że w tej dziedzinie mamy z nimi wiele wspólnego. Przed przyjazdem ministra Barthou do Polski, pisał dziennik „Le Temps“, że temperament polski jest bardzo pokrewny francuskiemu. Znowu — zupełna nieprawda. Sangwiniczno-nerwowy charakter Francuza zawiera w sobie wszystkie warunki do ulegania wpływom środowiska społecznego: wrażliwość (niezbyt głęboką), żywość, ruchliwość, ekspansywność, łatwość odczuwania cudzych nastrojów, zmienność. Karmi się najchętniej wydarzeniami i wrażeniami zewnętrznymi. Reaguje na nie szybko i powierzchownie, co już zauważył Cezar, gdy spostrzegł „Gallorum subita ac repentina consilia“ (nagle i szybkie sądy Gallów).

Z ekspansywności Francuza płynie potrzeba śmiechu, będącego stałą formą jego łączności ze współrodakami. I tu znowu zmysł społeczny gra główną rolę. „Śmiech francuski — zauważa Fouillée — staje do walki ze

wszystkiem, co jest osobiste, zbyt oryginalne, ekscentryczne, co się wyłamuje zpod reguł i konwencjonalizmu społecznego lub nawet zpod zwykłej mody przejściowej“. Francuz umie śmiać się nawet z samego siebie, jeżeli przez to obudzi sympatię u innych. Co do nas, — to mieliśmy w dawnej Polsce pełno śmiechu swoistej natury. Był to śmiech rubaszny, śmiech obżartuchów i opilców, rozbrzmiewający po wszystkich dworach i sejmikach. Podczas niewoli zaprzestaliśmy śmiechu i dziś jeszcze śmiać się nie umiemy.

W uspołecznionem wybitnie środowisku zrodził się także dowcip Francuzów. Sami określają go jako „nagle objawienie nowych nieprzewidzianych stosunków między dwoma prawdami, które tem chwilowem zetknięciem wywołują przyjemność bezinteresownej niespodzianki“. W dowcipie francuskim chodzi przede wszystkim o wspólną grę. Z ducha społecznego wywodzą się dalej: przysłowiowa grzeczność francuska, mocno zresztą nadszarpnięta w demokracji trzeciej Republiki; sławna „konwersacja“ w salonach francuskich; swoboda i łatwość ruchów, zarówno ruchów ciała, jak myśli czyli — wdzięk; smak francuski w ubraniu, meblach, sztuce, który wyłącza wszelkie pierwiastki zbyt indywidualistyczne i ekscentryczne; wreszcie — moda, którą Francuzi umieli narzucić całemu światu.

W wyostrzonym zmyśle społecznym a mianowicie w naśladownictwie mają też źródło dwie cnoty Francuzów: pracowitość i oszczędność. O pracowitości Francuzów ma-

ny w Polsce pojęcie dość mętne. Łącząc najściślej życie paryskie z życiem całej Francji, wyobrażamy sobie, że główną cechą tego życia jest wieczna zabawa, którą właśnie organizuje się w Paryżu dla ośmiuset tysięcy cudzoziemców, stale lub przejściowo mieszkających w „stolicy świata“. A tymczasem obok niezliczonych miejsc rozrywki dla cudzoziemców, wre w całym Paryżu, we wszystkich dzielnicach, nieustająca, wytężona, godna największego podziwu praca codzienna, która jest wyjaśnieniem i zabezpieczeniem potęgi narodu. Idzie ona w parze z oszczędnością, która stanowi niemal namiętność Francuza. Oszczędzają wszyscy, nawet najbiedniejsi. Sześćioletnia dziewczynka, córka odźwiernej, otrzymuje już skarbonkę i składa w niej wszelkie datki, jakie jej wpadną do rąk. Ideałem pracującego Francuza jest skromna, ale dająca możliwość swobodnego życia renta w 45-tym roku życia. Wojna europejska zrujnowała rentierów, ale tworzą się już nowi, pracujący ze zdwojoną energją.

*

Francuz jest z natury racjonalistą. Sympatjami i antypatjami jego kieruje logika i „zdrowy rozsądek“. W rozumowaniu pociąga go dedukcja, lubi też abstrakcje. Hippolit Taine tak określił istotę umysłu francuskiego: „klastyfikowanie idei w szeregi równe, stopniowane, na sposób naturalistów“. Ribot dostrzegł w wyobraźni francuskiej tylko: „jasność w prostocie“. Wogóle świadomość

braków tej wyobraźni jest wśród Francuzów niewielka. Najbliższy prawdy był może A. Fouillée, gdy tak ją określił: „Francuz nie posiada naogół wyobraźni dość mocnej. Jego wizja wewnętrzna nie ma ani halucynacyjnego natężenia, ani bujnej fantazji umysłu germańskiego lub anglo-saskiego: jest raczej widzeniem intelektualnem i dalekiem, niż odtwarzaniem czuciowem, niż zbliżaniem się i bezpośredniem posiadaniem samych rzeczy. Przeznaczona do dedukcji i budowania, inteligencja nasza celuje mniej w przedstawianiu sobie rzeczy realnych, niż w odkrywaniu związków rzeczy możliwych lub niezbędnych. Innemi słowy, jest to wyobraźnia logiczna i kombinacyjna, która lubuje się w tem, co nazwano abstrakcyjnym rysunkiem życia. Chateaubriand, Hugo, Flaubert, Zola są u nas wyjątkami. Więcej rozumiemy, niż oddajemy się marzeniom“.

Przy takiej wyobraźni, Francuzi sami doszli do wniosku, że dość znaczna część ich literatury jest rodzajem elokwencji, „skierowanej do ludzi rozproszonych“. Czarowali cały świat swą gawędą powieściową, w której okazywali trzy zasadnicze cechy rasowe: dowcip, wdzięk i smak; imponowali wielkimi tradycjami swej sztuki plastycznej; — ale o poezji wyrobili sobie dość osobliwe pojęcie: przez kilkadziesiąt lat, aż do epoki „wolnego wiersza“, tłukli swój klasyczny aleksandryn i niezawsze odróżniali retorykę od poezji, nawet w utworach największych twórców. Rozkochany we Francji, Heine pisał z tego powodu: „J’aurai pu mourir pour la France mais faire

des vers français — jamais“! (mógłbym umrzeć za Francję, ale — pisać wiersze francuskie — nigdy!). Pewna ilość poetów szczerych, jak: Villon, Musset, Baudelaire, Verlaine i garść innych — stanowią tylko wyjątek od reguły.

W tej dziedzinie mamy nad Francuzami przewagę, niezbyt dla nas bezpieczną: podczas niewoli nietylko otrzymaliśmy wychowanie poetyckie, ale losy dały nam olbrzymią, pełną wzniosłości poezję, której Francuz nie zrozumie po wiek wieków, gdyż nie pojmuje wielkiego liryzmu, nie pojmuje poezji indywidualnej.

Za to w teatrze, instytucji nawskroś społecznej, znalazł się Francuz na swoim gruncie. W dramacie i tragedji mniej miał do powiedzenia, bo katastrofy wewnętrzne człowieka mało go zawsze pociągały. Klasycyzm Rasyana, oparty na tragedji greckiej, imponował mu nie tyle męką dusz, ile monumentalną, nieskazitelną formą, a w grandilokwencji Wiktora Hugo podziwiał przede wszystkim jego bujną retorykę i bogactwo jego metafory.

Natomiast mistrzem nad mistrze pozostał Francuz w komedji, w której śmiech jest żywiołem *par excellence* społecznym, tego samego gatunku u Moliera, co, po trzystu latach, u Flersa i Caillaveta. Śmiech komedji francuskiej jest zawsze, albo wyrazem sympatji społecznej, albo potępieniem przywar anty-społecznych.

*

Przewaga zmysłu społecznego, ze szkodą dla indywidualnego rozwoju jednostki, wytworzyła u Francuzów swoiste wady. Na pierwszym miejscu postawić należy ich olbrzymią próżność. Ogarnia ona wszystkie niemal dziedziny życia francuskiego. „Całe społeczeństwo francuskie — pisze K. Hildebrand w swej książce „La France et les Français“ — jest w istocie wzajemnem towarzystwem próżności. Głazczą, aby być głaskanymi, ale nigdy ciężko i nigdy bez wdzięku“. Próżność ta wynika nie tylko z poczucia wielkości geniuszu narodowego, ale w większej jeszcze mierze z faktu, że Francuzi umieli w ciągu wieków, stworzyć cywilizację samowystarczalną. Dzięki wytworności i precyzyjności swego języka, zdołali rozszerzyć go po całym świecie. Francuz u siebie jest rodzajem Chińczyka, nie wiedzącym o niczem, co się dzieje poza jego krajem. Co więcej, stworzywszy taki cud smaku i pojęć wszelakich, jak Paryż, z największą na świecie centralizacją wszystkich żywotnych sił narodu, Francuz nie wie nawet o tem, co się dzieje poza Paryżem. Rzadko zna jakiś obcy język; jeszcze rzadziej interesuje się obcym krajem. Polska, jak dawniej, tak i dziś nie przestaje być dla niego „une vague Pologne“, pomimo wszelkich przyjaźni i sojuszków. Przejęty jest tylko swoim otoczeniem, a cudzoziemiec będzie dla niego zawsze *b a r b a r o s* w greckiem znaczeniu wyrazu. Obce literatury i sztuki nigdy, w jego mniemaniu, nie dosięgają poziomu jego własnej literatury i sztuki; są w najlepszym wypadku jej odgłosem lub jej naśladownictwem. Tak samo, jak przed

wiekami, wierzy i dziś w „gesta Dei per Francos“ i popelnia nieraz zadziwiające błędy w swej... dyplomacji. Typowy Paryżanin „wielkie podróże“ odbywa nad morze, a w najlepszym razie do Lyonu czy Orleanu. Jeżeli zdobędzie się na krok szalony, to jest wyjedzie np. do „pays ami“, dziwi się wzruszająco, że tam nie chodzą na czterech łapach, a potem w swych groteskowych najczęściej „wrażeniach“ schlebia w sposób, stwierdzający zarówno troskę o „prestige“ francuskiej kultury, jak — niewiarogodną ignorancję stosunków i obyczajów.

Spotykałem podobnych podróżników wielu i czytałem z głębokim smutkiem ich relacje. Zdarzali się tacy, którzy po kilkodniowym pobycie w Polsce, pisali po powrocie całe studia np. „o kobiecie polskiej“. Przed samą wojną przybył do Warszawy pewien dyrektor francuskiego Instytutu Agronomicznego. Otrzymał w spadku po ojcu papiery, dotyczące Hoene-Wrońskiego, przyjechał więc specjalnie do Miriama, aby się zapoznać z jego obfitami, jedynymi na świecie co do swej kompletności w r o n s c i a n a m i. Prosił mnie Miriam, abyśmy obydwaj zapoznali go, w ciągu dwóch tygodni, z osobliwościami Warszawy i napełnili go wiadomościami o Polsce i naszej kulturze. Spędzaliśmy z nim razem codziennie wiele godzin i dumni byliśmy, że gość nasz dowiedział się tyle o naszej historji, naszych obyczajach, naszej terażniejszości. W przeddzień wyjazdu Francuza, zaprowadziliśmy go do Łazienek, piliśmy kawę przy Amfiteatrze Stanisława Augusta i karmiliśmy łabędzie. Zachwy-

cony Warszawą, nasz gość napisał odkrytkę do swej rodziny i pokazał nam ją z dumą. Zaczynała się od słów: „Vasovie est une ville magnifique. On y parle russe, juif et polonais“... Tak smętnie skończyła się nasza propaganda i to wobec Francuza wykształconego, który okazywał jaknajlepszą wolę. W jego mózgu również nie mieściło się nic, poza — Francją.

Pewną analogję do próżności francuskiej stanowi nasza, polska próżność. Objawy jej są jednak odmienne. Z lubością tworzymy sztuczne wielkości, a jednocześnie nie mamy zbyt mocnego zaufania do własnego samochwalstwa: chciwie i z dumą podkreślamy w dziennikach wszystko, co powie o nas najgłupszy cudzoziemiec a szczególną radością napełniają nas głosy Francuzów, podane zazwyczaj „z wdziękiem i elegancją“.

*

Cnota oszczędności francuskiej miewa też swoje konsekwencje ujemne: oschłość, ograniczanie radości życia, a często — skąpstwo ze wszystkimi jego torturami. Francuz naogół nie uczuwa potrzeby komfortu; uznaje tylko to, co potrzebne, odrzuca wszystko, co mu się wydaje zbędnem. Przeciętny drobnomieszczanin paryski gnieździ się w mieszkaniu małym, ciasnym, źle oświetlonym, umeblowanym banalnie, pozbawionym łazienek. Codziennem dla niego świętem uroczystem jest drugie śniadanie (dé-

jeuner) i obiad (diner). Pozatem pochłonięty jest pracą i—oszczędzaniem. Sam Paryż, obok niesłychanych luksów, posiada na każdym kroku wiele niedogodności. Władczynią Paryżan jest po dawnemu „madame la concierge“ (dozorczyni), która zarządza domem, pilnuje cnoty każdego mieszkańca, wystawia o nim świadectwa moralności i „solvabilité“, śledzi go na każdym kroku, wie o nim wszystko, wie nawet rzeczy, których nie było. „Stolica świata“ tylko na głównych ulicach posiada oświetlenie elektryczne; inne toną w półmroku oświetlenia gazowego, bo i miasto musi jaknajbardziej „oszczędzać“, albo też czekać... na rewolucję, która zażąda elektryczności w dzielnicach drugorzędnych. Rutyna, sławna rutyna francuska, jest rodzajem standaryzowania wszystkich objawów codziennego życia: pożywienia, ubrania, mebli, sklepów, obyczajów, rozrywek, przyzwyczajzeń, nawet — szaleństw. Pewne urozmaicenie typów życia znajdziemy na prowincji, ale i tu rutyna jest wszystkim a oszczędzanie dochodzi do granic potwornego skąpstwa.

Przed wojną zdarzało mi się wielokrotnie korzystać z gościny u doktora Gierszyńskiego, praktykującego w Beauce, tej właśnie żyznej okolicy, którą Zola opisuje w powieści „la Terre“. Były tam przeważnie bogate ферmy, to znaczy wynajęte od właścicieli posiadłości z pięknymi niekiedy pałacami. Lekarz zabierał mnie często na swe wizyty do chorych, których miał w okręgu kilkunastu kilometrów i do których jeździł dwa razy dziennie. Pewnego razu zawiózł mnie do pięknej ферmy, której dzier-

zawca miał w banku z górą pół miliona. Obejrzelśmy najpierw pałac. Był pusty, chociaż zostały nietknięte świetne stiuki i posadzki. W jednych pokojach rozsypana była na podłodze pszenica, w innych suszyła się bielizna. W wielkim parku fermer usunął piękne drzewa i posadził grabinę, którą wycinał co pewien czas na opał i potrzeby gospodarskie.

— A gdzież oni mieszkają? — zapytałem.

— Zaraz pan zobaczy.

Poszliśmy do niskich zabudowań gospodarskich; w jednym z nich mieściło się dwupokojowe mieszkanie fermera i jego rodziny. Umeblowane było starami, pięknymi meblami z pałacu i — nieopalone, chociaż była zima (dla oszczędności). Zapytałem o chorego. Fermer zapalił latarkę i wyprowadził nas na olbrzymie podwórze, założone całe grubą warstwą nawozu, który tam się konsumował. Przedarliśmy się z trudem przez tę pulchną podściółkę i — weszliśmy do obszernej obory. Na wielkim, machoniowym łożu (również z zamku) leżała matka fermera: miała gangrenę w nodze. Obok niej, na pięknym fotelu siedział, w zupełnej ciemności, jej mąż, staruszek. Dwie krowy pokryte były dużymi prześcieradłami, zwiśającymi aż do ziemi.

— A dlaczego oni tutaj przebywają? — zapytałem doktora.

— Dla oszczędności. Żeby nie wydawać na opalanie mieszkania. I dla tego również prześcieradła grzeją się na krowach.

Dowiedziałem się później, że regulatorem życia tych bogatych ludzi jest tylko pieniądź. Przy zawieraniu małżeństw nie znana jest sprawa miłości; łączą się tylko fortuny, o ile możliwości jednakowe. Małżeństwa bywają dwóch typów: „régime commun“ i „régime séparé“. Przy tym drugim typie, żona spożywa tylko własne kartofle, własny chleb, korzysta z własnych pieniędzy a mąż — również z własnych. I oboje zajadłe „oszczędzają“...

*

Genjusz rasy, praca i oszczędzanie uczyniły z Francji najbogatszy kraj w Europie. Odbudowała szybko ruiny, wróciła do dawnej potęgi finansowej. Ale wewnątrz organizmu państwowego odbywał się proces chorobotwórczy, którego długo nie dostrzegano. Bogactwo zaczęło podważać równowagę Republiki. Sprawa Stawiskiego i „dzień 6 lutego“ stały się groźnym ostrzeżeniem. Analizę zjawiska dał, między innymi, Florjan Delhobre. Próbuje on wyjaśnić rolę, jaką w trzeciej Republice odegrali wielcy szefowie gospodarstwa krajowego, rolnictwa, przemysłu, handlu, finansów. Stworzyli oni potężne ośrodki bogactwa: kopalnie, ciężki przemysł, metalurgję, przedsiębiorstwa młynarskie, banki, ubezpieczenia. Pobudowali państwa w Państwie. Ale zwolna rozpoczęli głuchą walkę. Zrazu, jako wrogowie republiki, połączyli się z konserwatystami. W miarę jednak, gdy rząd republikański, oparty o masy wyborcze, zyskał przewagę, zrozumieli, że w inte-

resie ich leży porozumienie się z panami władzy. Feodałowie kapitału uznali, że znacznie dogodniejszym jest dla nich pozyskanie taryf protekcyjnych i monopolów, niż uleganie trudnej konkurencji; republikanie uważali, że lepiej paktować z potężnymi przeciwnikami, niż wszczynać niepewną walkę. Przymierze nastąpiło kosztem rentierów i klas średnich. I parlament stał się zwołną narzędziem porozumienia, które się zamieniło w olbrzymią korupcję. Feodałowie subwencjonowali sprzedajną prasę a szefowie opozycji parlamentarnej ofiarowali im swoje usługi. Gdy nadeszła wojna i kryzys, proces rozwinął się w całej pełni. Republika stanęła nad przepaścią.

Zwyciężyło hasło, rzucone 6 lutego: *à b a s l e s v o l e u r s!* Zwyciężył instynkt wielkiego narodu, który przetrwał tyle już burz.

W ZŁOCONEJ KLATCE

W domu przy ulicy de la Glacière, w którym zamieszkałem po przyjeździe do Paryża, mieściła się na parterze sławna w kolonji polskiej restauracja Stanisława Kocha. Pewnego dnia przyszedł do mnie Koch z propozycją, że mi przedstawi niezwykle interesującego chłopca, który od kilku dni spełnia u niego obowiązki służącego.

— Coś nadzwyczajnego! — zapewniał z zapałem. Zgodziłem się chętnie. Stał przede mną ładny chłopiec szesnastoletni, wysoki, szczupły blondyn z płonącymi oczyma, z twarzą roześmianą, sympatyczną i inteligentną. Nazywał się: Włodzimierz Terlikowski. Był boso; ubranie miał liche, tylko krawat zawiązał sobie z fantazją.

Opowiedział mi swoje przygody życiowe ze swadą i z pewną świadomością, że wywiera wrażenie. Dojrzałem w nim odrazu pewną skłonność do tworzenia mitów o sobie samym, ale z tej gry wyobraźni łatwo było wyodrębnić prawdę.

Od dziecinnych lat coś go „gnało“ w świat. Nie mógł wysiedzieć w domu i w szkole. Ojciec, skromny urzędnik na kolei warszawsko-wiedeńskiej, obarczony trzynastor-

giem dzieci, nie mógł sobie poradzić z niesfornym „łatawcem“. Włodek uciekł z domu po raz pierwszy, gdy miał osiem lat. Podróż była krótka. Jedyne „mocne wrażenie“, jakiego malec doznał, był wiatrak: przyglądał mu się długo i wiele, wiele o nim rozmyślał. Gdy ukończył lat dwanaście, ucieka z domu po raz drugi. Wyprawa trwała już znacznie dłużej, bo aż kilka tygodni. Włodek przyplątał się do szalupy, wożącej węgiel do Krakowa i otrzymał skromną żywność za pomoc tragarzom. Zrozpaczony ojciec odnalazł go wreszcie i zabrał do domu.

W dwa lata później znowu szykuje się do ucieczki. Rodzice zrozumieli, że nie zdołają opanować tej manji wędrowni: dali Włodekowi nieco pieniędzy i wyprawili go „w świat“, t. j. narazie do Krakowa, gdzie Włodek miał stryja, paulina w kościele na Skałce. Perswazje i monity zmartwionego księdza nie wiele pomogły. Włodek myślał nie o nauce, ale — o dalekich podróżach.

Pewnego pięknego poranku zabrał ze sobą ukochanego psa, wyżyła i poszedł pieszo w głąb Niemiec. W jakimś mieście bawarskiem zaciągnął się do cyrku i rozpoczął naukę wołyżerowania. Nauka była ciężka, bo dyrektor bata nie żałował. Gdy Włodek zapoznał się jako tako ze swą sztuką, wybrał młodziutką koleżankę cyrkową i pojechali popisywać się razem w innym mieście. Odnalazł ich wkrótce właściciel cyrku, wołyżerkę zabrał i sprawił, że Terlikowskiemu rozkazano opuścić granice Rzeszy. Skierował wzrok ku Paryżowi, o którym marzył

od dzieciństwa. Zaczęła się długa, wielotygodniowa wędrówka po szosach i drogach francuskich. Buty zdarły się na strzępy; trzeba było maszerować pieszo i unikać przemyślnie żandarmów polnych, którzy wyławiali skrzące włóczęgów. Pieniądzy nie było, ale przyszedł z pomocą wierny, wyćwiczony pies: „wystawiał“ ptactwo domowe i aportował je swojemu panu. Piekło się te przysmaki w lasach i zagajnikach. Pies brał, oczywiście, udział w ucztach, więc powagę swego zadania coraz lepiej rozumiał. Spotkał Włodek jakiegoś wędrownego szklarza, Polaka, który odbył z nim znaczną część drogi, spożywał razem upolowane kury, ale za to „pożyczał“ towarzyszo- wi po kilka franków. Z tą skromną sumą stanął Włodek przy rogatkach paryskich. Pies nie miał na sobie „medalu“ podatkowego, więc go zatrzymano w „octroi“, z prawem wykupu. Pożegnanie pana z psem, oblane łzami, wrzuszyło urzędników celnych.

— A do kogo zwróciłeś się najpierw po przybyciu do Paryża? — zapytałem.

— Najpierw poszedłem na wieżę Eiffla. Wydałem ostatnie pieniądze, jakie miałem.

— Dlaczego ci było tak pilno do wieży Eiffla?

Młodziutki kabotyn roześmiał się głośno i oświadczył:

— Chciałem splunąć z wieży Eiffla. Nigdy jeszcze z tak wysoka nie spluwałem...

*

Włodek w restauracji Kocha podawał do stołu. Swojem niezwykłym zachowaniem się i wdziękiem zyskał odrazu sympatię wszystkich stołowników. Każdemu z gości podawał menu obiadowe, napisane wierszem. Oprócz menu, szykował również codziennie pomysłów, wierszowane wezwania do gości, aby wrzucali do puszk napiwki dla niego. Zajęcie to było bądź co bądź demoralizujące, gdyż „poeta“ wart był lepszej doli. Po kilku dłuższych z Włodkiem rozmowach, uderzony jego inteligencją, bystrością i sprytem, postanowiłem roztoczyć nad nim opiekę. Zgodził się na to odrazu. Pomogłem do jakiegoś takiego wyekwipowania chłopca i oddałem go na naukę do introligatora Pautenisa, Litwina, z którym miałem do czynienia. Wymówiłem sobie, że Włodek będzie codziennie zwalniany na dwie godziny, aby się mógł uczyć różnych przedmiotów. Część nauki wzięłem na siebie, francuskiego zaś uczyła go jedna z pań polskich, mieszkających od wielu lat w Paryżu. Wypadła mi w owym czasie podróż do kraju, gdyż wezwano mnie do superewizji wojskowej. Przejęty swą rolą wychowawcy, postanowiłem poznać rodziców Włodka w Warszawie. Opowiedzieli mi szczegółowo, dlaczego musieli wysłać go w świat. Matka przyjęła mnie łzami wdzięczności; dała dla Włodka różne drobiazgi a w końcu zdjęła z palca pierścionek i prosiła, aby mu go doręczyć, „żeby pamiętał o matce, gdy mu złe myśli przyjdą do głowy“.

Relacja z mojej wizyty u rodziców Włodka wzruszyła

go na chwilę. Prosił, abym narazie zachował pierścionek u siebie, bał się bowiem, że go może zgubić.

Idylla wychowawcza trwała niedługo. Po kilku miesiącach opieka moja przestała Włodkowi smakować. Opuszczał lekcje coraz częściej, zmyślał niestworzone historie i zaniedbywał się całkowicie u Pautenisa. Introligator przyszedł do mnie z oznajmieniem, że dłużej trzymać go nie może, bo „więcej go zajmują dziewczynki, niż introligatorstwo“. Włodek zaczął się ubierać bardzo starannie, sprawił sobie bilety wizytowe z herbem i nazwiskiem: „Wladimir de Terlikowski“. Ten bilet, który mi włożył we drzwi, gdy mnie w domu nie zastał, rozdrażnił mnie najwięcej. Przyparty do muru, wyznał, że bilety otrzymał w podarku „od jednej panienki“. Gdy potem nie przychodził do mnie na lekcje nieraz po dwa tygodnie, postanowiłem sprawę mej „opieki“ zakończyć ostatecznie. Wezwałem Włodka, zawiadomiłem go o mojej decyzji, oddałem mu pierścionek matki, uroczyście przypomniałem, co ta pamiątka miała oznaczać i — pożegnałem go z przeświadczeniem, że podjąłem się zadania, przekraczającego moje środki.

W kilka dni później Włodek przyszedł do mnie jeszcze raz. Z miną tragiczną wyraził mi swoją wdzięczność i oznajmił, że wyjeżdża.

— Dokąd?

— Daleko... może nawet... zdaleko!

Oparł się głową o ścianę i przewracał oczyma.

— No, dobrze, dobrze! — odpowiedziałem zniecierpliwiony i życzyłem mu szczęśliwej podróży.

Wyszedł. Po chwili usłyszałem wystrzał. Zmartwiałem. Chwyciłem lampę z biurka i wybiegłem na korytarz, gdzie o tej porze było już ciemno. Przerażeni sąsiedzi potwierdzali drzwi, ale — na korytarzu nie było nikogo... Zakląłem zirytowany i wróciłem do pracy. Nagle zastukano do mnie gwałtownie: weszła służąca od Kocha.

— Pani prosi, — wybełkotała, — żeby pan zaraz zeszedł na dół, bo Włodek strzelił do siebie i cały jest zakrwawiony.

Zbiegłem do schodach na pół przytomny. W restauracji ujrzałem okropną scenę: Koch trzymał w ręku kij od bilardu i gonił Terlikowskiego, oblanego krwią, która mu spływała po szyi i twarzy. Wyjaśniono mi zaraz tajemnicę tego pozornego dramatu. Okazało się, że Włodek kupił sobie u rzeźnika krwi zwierzęcej i oblał nią głowę, szyję i twarz. Po wystrzale na korytarzu, pobiegł właśnie do Kocha, aby go obrzucić obelgami, gdyż sobie wyobraził, że to on był sprawcą naszego zerwania stosunków. Po symulowanym samobójstwie, rewolwer ukrył; skończyło się na doraźnym wymiarze „sprawiedliwości“...

Rozmówiliśmy się jeszcze raz i — nastąpiła zgoda. Wyznał mi Włodek, że nie może już dłużej wysiedzieć w Paryżu, bo go „ciągnie“ do krajów egzotycznych. Na razie wybierał się do Marsylji, a tam miał się rozpatrzyć, co będzie robił dalej. Pomogłem mu do wyjazdu, zaopatrzyłem go w pościel i rozstaliśmy się przyjaźnie.

W Marsylii „za wszystkie pieniądze“, jakie miał przy sobie, nakupował na bazarze różnych zabawek i drobiazgów po dwa lub trzy sous, z zamiarem sprzedawania ich z dobrym zyskiem po drodze. Ale zdarzyło się, że spotkał jakąś szkołę i — rozdał wszystkie te drobiazgi uszczęśliwionym dzieciom. Znowu próbował różnych różnych zarobków tego samego typu, co podczas podróży do Paryża. Pokumał się nawet z szewcem wędrownym, który wiozł swój warsztat na wózku.

W kilka tygodni później przysłał mi kartę z Algerji. Otrzymał zajęcie w restauracji w Mustafie (był kelnerem). Prosił o słownik polsko-francuski. Żądanie spełniłem natychmiast, ale już żadnej odpowiedzi nie dostałem. Przez długi czas nie miałem o Włodku najdrobniejszej wiadomości.

*

Upłynęło lat siedem. Pewnego poranka wpadł do mnie hałaśliwie — wychudzony, ogorzały, bardzo przyzwocznie odziany młodzieniec i z miejsca zagadnął:

— Pan mnie pewno nie poznaje?

Zawahałem się chwilę. Poznałem go dopiero wówczas, gdy się po swojemu roześmiał: był to Włodek Terlikowski. Brak mu było kilku zębów na przodzie. Spostrzegł widocznie, że tę szczerbę zauważyłem, bo zaczął tłumaczyć:

— Dziwi się pan zapewne, że nie mam tylu zębów?

Przygoda w Sydney' u. Jakiś murzyn zaczepił damę, siedzącą na ławce w parku, stanąłem w jej obronie i ścierwo murzyn wybił mi cztery zęby. Jak będę miał pieniądze, to sobie wprawię eleganckie...

— Cóż pan robił w Sidney' u?

— Ach, to cała historja. Ale czy nie mógłby pan tymczasem zamienić mi tych pięciu franków na dobre, bo mi wepchnęli pięciofrankówkę, która już nie ma kursu.

Zrozumiałem, że Włodek fortuny w Australji nie zrobił i prośbę wykonałem. Dowiedziałem się szczegółów egzotycznego życia mego dawnego pupila. Jakiś nieskończony, niewiarogodny film z przesuwaniem błyskawicznie obrazami! W Algierji chwycił się Terlikowski wszelkich dosłownie zajęć, jakie się nadarzyły. Tłukł nawet kamienie na drodze, chociaż to zajęcie wydało mu się „najnudniejszym“ ze wszystkich, jakie znał. W Mustafie Wyższej podjął się zuchwałego przedsięwzięcia: dekorował swemi rysunkami kawiarnię.

— Jaktó? — zapytałem zdumiony. — Któż panu... pomagał?

— Nikt. Sam to robiłem. Bo pan nie wie, że ja oddawna, jeszcze w domu, rysowałem sobie różne rzeczy, które się podobały. W Algierji zacząłem rysować znowu. Robiłem nawet portrety. Pomyślałem sobie — dodał z odrobiną ironji — „potrzeba matką wynalazków“ i zabrałem się do dekorowania restauracji.

— Z jakimż skutkiem?

— Byli zachwyceni! — roześmiał się na całe gardło.

Zachwyt ten jednak niewiele, widocznie, osób podzielało, bo ze swej sztuki Terlikowski wyżyć nie mógł. Pojechał do miasta B l i d a, gdzie otrzymał podręczną pracę... u aptekarza. Powędrował do Tunisu. Tam spotkał jakiegoś biednego przyrodnika polskiego, który gromadził herbarz roślin północno-afrykańskich. Włóczyli się jakiś czas razem a w pewnej chwili Terlikowski dostarczał dla obojwóch „środków do życia“ fabrykowaniem osobliwych ram z liści kaktusowych. Pewnego wieczoru, wyczerpani i drżący od zimna podróżnicy schronili się w jakimś opuszczonym (tak im się zdawało) meczecie. Nazbierali suchych gałęzi i rozpalili ognisko. Nagle, nie wiadomo skąd, nadbiegło kilkunastu uzbrojonych w karabiny Arabów, którzy zaczęli do nich celować. Terlikowski wznosił ręce ku niebu i wybełkotał garść słów arabskich, z których Arabowie zrozumieli, że biedny malarz i biedny uczony są głodni i nie mają gdzie spocząć na nocleg. Arabowie zlitowali się nad włóczęgami i nakarmili ich chlebem. Obdarci i wynędzniali towarzysze dostali się przypadkiem do posterunku żołnierzy francuskich. Oficer wysłuchał ich i dla sprawdzenia, czy nie zmyślają, kazał im zaśpiewać: „Boże caria chrań“... Terlikowski narysował portret oficera i, jako honorarjum, otrzymał wspólną parę butów.

Wędrowka trwa dalej, wśród różnych doraźnych zajęć i wątpliwych zarobków. Dociera Terlikowski do miasta portowego Bony, wsiada na okręt żaglowy i jedzie do Rotterdamu a stamtąd wyrusza do Berlina. Postanawia od-

wiedzić pielesze rodzinne. Otrzymuje z domu zasiłek i przybywa do Warszawy. Nie był to powrót Peer Gynta z filozoficzną zadumą nad życiem. Gorączka nieustannego wędrowania nie tylko nie zagasła, ale wzmogła się jeszcze mocniej. Wkrótce Terlikowski opuszcza Warszawę i jedzie do Wenecji, potem wyrusza do Egiptu a wreszcie, ni mniej ni więcej, tylko do... Singapuru! Teraz już uświadamia sobie, że... malarstwem może łatwiej zabezpieczyć sobie życie, niż drobnymi zajęciami, zmienianiami co kilka dni. W Singapurze znajduje niezwykle szczęśliwą dla siebie „konjunkturę“. Znowu dekoruje wielką kawiarnię i występuje już odważnie, jako „artysta“. Zuchwalstwo swe posuwa do tego stopnia, że podejmuje się uporządkowania miejscowego Muzeum Etnograficznego i Przyrodniczego. Nigdzie jednak nie może przebywać dłużej. Wsiada na statek i jedzie do Australji. W Sidney' u odrazu maluje portrety i — daje lekcje rysunku. Pracuje ze zwykłą swoją nonszalancją, przeplatając samorodne malarstwo obfitemi przygodami romantycznymi. Jedna z takich przygód prowadzi go do Nowej Zelandji, skąd całe trzy miesiące jedzie żaglowcem do Anglji i osiada na jakiś czas w Londynie.

— A w Londynie co pan robił?

— Dawałem, naturalnie, lekcje rysunku i malarstwa.

— Czy pan się kiedy uczył rysunku?

— Po co? — zawołał ze śmiechem. — Ogłosiłem się w gazecie i zaraz miałem uczniów. Tylko właśnie mam z tego powodu mały kłopot. Dostałem uczenicę, córkę za-

możnych Anglików. Zdolności słabe, ale za to zakocha-
liśmy się w sobie po kilku lekcjach. Nie wiele się namy-
ślając, wykradłem pannę i przywiozłem ją do Paryża.
Mieszkamy na razie w nędznym hoteliku przy brudnej
uliczce Galande.

— Z czegoż żyjecie?

— Robię portrety episierów, szewców, krawców, na-
wet węglarza. Tylko że płacą mało — po kilka franków.
A dziewczyna, wychowana w wygodach, wciąż się upomi-
na o jedwabne pończoszki, rękawiczki i t. d. Bardzo, bar-
dzo miła. Niech pan pozwoli, żebym ją tu przyprowadził.
Biedaczka nudzi się śmiertelnie...

Przyszli oboje nazajutrz. Bogdanka była zażenowana
i oszołomiona; za to Terlikowski opowiadał ze swadą
o swych świetnych zamiarach na najbliższą przyszłość.

„Szcześnie w zakątku“ hotelowym skończyło się niezad-
ługo. Rodzice panny odnaleźli ją i zabrali do Londynu.
Terlikowski zaniechał na razie wytężonej fabrykacji por-
tretów i przyjął miejsce retuszera u fotografa. Zaczął ko-
pjować z powodzeniem w Luwrze i — dorobił się własnej
pracowni malarskiej. Rozgrzany atmosferą paryską, roz-
począł bujne życie w gronie kolegów. Pewnej hulaszczej
nocy, podchmielony Włodek poturbował policjanta, zo-
stał aresztowany, wypuszczony „na wolność tymczasową“
i odstawiony do granicy. Pojechał do Liverpoolu, gdzie
grał z niemałym tupetem rolę „wziętego“ malarza. Je-
szcze raz ogarnia go tęsknota za krajem, więc zjeżdża do
Krakowa. Tu już dla nieznanego przybysza trudniej o do-

chody z malarstwa. Terlikowski nie przejmuje się tem wcale: wkłada nową maskę. Zaciąga się do trupy prowincjonalnej i gra w Zakopanem podrzędną rolę w sztuce Gorkiego „Na dnie“. Gdy bieda doskwiera, maluje szyldy, a wreszcie zdobywa i portrety. Wraca do Francji, próbując (z powodzeniem) szczęścia w Lyonie i w Cannes.

*

Podróż po Wschodzie, po Francji i Anglii doprowadziła wreszcie Terlikowskiego do wniosku, że należy pociągnąć się w jakiejś akademii. Jedzie do Monachjum i tam słynie w kolonii polskiej ze swego bujnego życia i ze swych ekstrawagancji. Używa już biletów wizytowych znacznie szumniejszych, niż poprzednio: nazywa się „Władimir Terebesz Jelita de Terlikowski“. Gdy przyjeżdża do Krakowa, to pozostawia po sobie legendę takiego pokroju: Za jakiś portret otrzymał Terlikowski sto guldenów, które przeznaczył na „oryginalną zabawę“: kupił za nie pewną ilość „biletów“ do... domu schadzek i bilety te porozsyłał różnym dostojnikom miejscowym, nie wyłączając duchowieństwa. Autorstwo tego sowizdrzalskiego „kawału“ stało się jawnem i — władze policyjne kazały Terlikowskiemu opuścić miasto. Po Monachjum zaczęły się studia u Jean-Paul Laurensa w Paryżu. Nigdy mistrz nie miał ucznia bardziej od niego odległego gatunkiem i istotą swego malarstwa.

Dość późno zabiera się Terlikowski do pracy systema-

tycznej. Maluje fragmenty Paryża, widoki wybrzeży nadsekańskich, stare ulice, parki miejskie. Przebywa dłużej w Bretanji i przywozi stamtąd szereg studjów pejzażowych. W r. 1900 występuje z pierwszą wystawą swych prac u Bernheima w Paryżu i zwraca na siebie uwagę. Nadchodzi moment, o którym najmniej myślał w swem życiu: zyskuje s ł a w ę. Sam nie pojmuje, jak się to stało. Wczoraj jeszcze tłuł kamienie na drodze a przedwczoraj usługiwał do stołu. Dziś maluje „zamówione“ portrety, kwiaty i martwe natury, co więcej — „zawiera stosunki“. Niedawny włóczęga po ziemiach i morzach Wschodu wchodzi w „towarzystwo“ paryskie: żeni się z panną Leygues, córką znanego ministra Oświecenia. Dekoruje pałace: Chenonceaux, la Motte, Monfort; obrazy jego zakupuje muzeum Luksemburskie w Paryżu oraz muzea: w Bordeaux, Troyes, Marsylji. Na drugą swą wystawę zbiorową wysyła bogate studja z Owernji; na trzecią — kilkadziesiąt wielkich płócien z Wenecji, którą studjował długo z wielką pasją. Organizuje również wystawę własną w Warszawie, ale tu nie spotyka takiego entuzjazmu, jakiego się spodziewał. Wiadomo: „nemo propheta“... W Paryżu za to, poza tryumfami rozmaitymi, doczekał się dwóch monografij o sobie: pierwszą napisał jeden z najwybitniejszych krytyków artystycznych, Arsène Alexandre (wyd. F. Alcana), drugą — znany historyk sztuki i krytyk, Jan Topass (wyd. „Triangle“). Alexandre, rozmarzony romantycznym żywotem Terlikowskiego, wi-

dzi w jego malarstwie wyraźny wpływ wędrówek wśród słońca Wschodu i nazywa go „nowoczesnym mistrzem barwy“.

*

Upłynęło ćwierć wieku od chwili ostatniej mojej rozmowy z Terlikowskim. W r. 1930 pracowałem przez kilka miesięcy w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Pewnego dnia przybył do mnie Włodek własnym autem, rzucił mi się na szyję i zawiózł mnie do siebie. W ogromnym apartamencie, trzy pokoje zawieszono były jego obrazami, przeważnie pejzażami i studjami weneckimi. Gdy minęła chwila melancholji wspomnień, Włodek zaczął opowiadać z zapałem o swoich sukcesach. Nic się nie zmienił wewnętrznie: ta sama skłonność do mitów, co dawniej. Oznaczał zawrotne ceny na swoje obrazy a potem zwrócił się do mnie nagle z takim oświadczeniem:

— Musi pan wybrać sobie kilka moich obrazów i zabrać je do Polski. Z wyjątkiem tych trzech, bo żona lubi je specjalnie i nie chce ich z domu wypuścić.

Byłem zażenowany: broniłem się od takiego podarku. Po zastanowieniu zrozumiałem, że Włodek pozostał tym samym włóczęgą, który niegdyś w Marsylii rozdawał dzieciom zabawki, zakupione w celach zysku. Mniemanie moje potwierdziła również pani Leygues-Terlikowska, inteligentna, wykształcona i wytworna dama, która traktowała swego męża jak duże dziecko, z pobłażaniem i wyrozumiałością. Obrazy odesłał mi natychmiast do miesz-

kania i wdał się ze mną w długą, długą rozmowę, w której malownicze zmyślenia łączył z oczywistą prawdą.

Czasem Włodek milczał, gdy mu opowiadałem o kraju. Widziałem wówczas w jego oczach niepokój, smutek, chociaż usta uśmiechały się dalej. Pewno mu się marzyły długie, długie lata wędrówek.

Chodził po pokoju nerwowo, jak pantera w złoconej klatce...

AHASWERY POLSKIE

Polska wysyłała zdawna poza swe granice pewną ilość ludzi niespokojnych, tęskniących niewiadomo do czego, włóczących się po całym świecie, gnanych jakąś siłą wewnętrzną z kraju do kraju, z miasta do miasta, żyjących bez pracy i bez troski o jutro. Taki Ahaswer ma jedną tylko troskę: posuwać się wciąż dalej, zobaczyć to, czego jeszcze nie widział. Nie obawia się nieznanym języków, cierpi nieraz głód i nędzę, aby — iść dalej.

Dla Ahaswerów polskich stałym magnesem był Paryż. Wyobrażali sobie, że tam, w fascynującej „stolicy świata“, życie jest łatwe i że, przy odrobinie zmyślności, zdołają jakoś zebrać pieniądze na... dalsze wędrówki. Nie mieli, oczywiście, na myśli żadnego stałego zajęcia. Dla Polaka bez zawodowego wykształcenia, zyskanie regularnej pracy w Paryżu było zawsze bardzo trudne. Na początku wieku „chodziki“ nasze utworzyły w Paryżu stałą organizację, która miała im dostarczać środków do życia za pomocą różnych fortelów.

Zauważyłem niegdyś, że we wtorki i piątki każdego tygodnia zjawia się u mnie w mieszkaniu jakiś „rodak“

z prośbą o pomoc. Zazwyczaj opowiadał fantastyczne, nieudolnie sklecone bajki, z których wypadało, że musiał uciec do Francji z powodu zatargu z żandarmerją rosyjską. Każdy z nas, który dłużej mieszkał w Paryżu, miał z takimi do czynienia. Żądania stawiali osobliwe. Jeden z całą naiwnością zaproponował mi, abym mu pożyczył 2000 franków, bo chce założyć „małą butikę“ (une boutique — sklep). Inny prosił natarczywie, aby mógł przemocować u mnie kilka dni, bo musi ukrywać się przed policją (okazało się później, że był pospolitym szpiegiem). Najczęściej jednak przychodzili rzekomi zbiegowie polityczni.

Pewnego razu stanął przede mną tęgi młodzieniec dwudziestokilkoletni z sympatyczną twarzą i dziarską miną. Był Ślązakiem; nazywał się: Józef Oleś. Opowiedział mi, że za pobicie policjanta niemieckiego, który znęcał się nad dzieckiem polskim, został skazany na dwa lata więzienia i że właśnie udało mu się zbiedz przed karą aż do Paryża. Chciałem się nareszcie dowiedzieć, skąd „chodziki“ otrzymują mój adres. Przyrzekłem Olesiovi wydatniejszą pomoc, o ile mi wyjaśni tę tajemnicę. Wahał się długo, ale wkońcu wyznał prawdę. Okazało się, że „chodziki“ urządziły sobie w dzielnicy T e m p l e własną agencję informacyjną z adresami Polaków i z charakterystyką każdego z nich. Miał przy sobie małą książeczkę z takimi informacjami:

A. — Sknera. Nic nie da. Nawymyśla.

M. — Każe przenosić fortepiany. Robota ciężka. Za cały dzień trzy franki.

Kaczkowski Zygmunt. — Miljoner. Gra na giełdzie. Posyła przez lokaja pięć franków.

W. — Nie chodzić. Wyrzuci za drzwi.

D. — Opowiadać z płaczem o Polsce. Prosić o stare ubranie. Da pięć franków.

R. — Leczy darmo na oczy. Daje 50 centymów.

G. — Mówić dużo o Polsce i prosić o robotę. Czasem daje dziesięć franków.

T. — Bogacz z Podola. Żona bardzo dobra kobieta. Dadzą obiad i dziesięć franków.

C. — Każe froterować podłogi. Zapłaci nieźle.

Przy mojem nazwisku była taka wzmianka: „Mówić, żeś uciekł przed żandarmami. Da niewiele, ale można coś zjeść“.

Przeczytałem te notatki wywiadowcze z uśmiechem i zwróciłem się do Olesia:

— Więc jakże tam było naprawdę? Coście zbroili w kraju?

Oleś myślał długo, zarumienił się zlekka, wreszcie wyznał:

— To już powiem wszystko. Może mi pan nastreczy jaką robotę. Chciałbym do Anglii, bo mi się już tutaj nudzi. Skazali mnie Niemcy na dwa lata za to, że niby zgwałciłem jedną Niemkę. Ale, jak Boga kocham, to nieprawda. Sama się, ścierwo, napierała, a potem chciała,

żebym się z nią ożenił i zaskarżyła mnie do sądu. I uciekłem, ma się wiedzieć.

Taki typ chodzików odbywał swe peregrynacje po świecie przy pomocy mniej lub więcej upozorowanej żebraniny. Bywały jednak „chodziki“ wyższego typu, wiecznie głodne nowych wrażeń, rodzaj Ahaswerów zpośród inteligencji, niezdolnych wysiedzieć dłużej na jednym miejscu. Miewałem ich czasem po kilku. Jeden z nich stanowił osobliwość. Utkwił mi w pamięci i zostawił po sobie garść wspomnień pisanych.

*

Pewnego dnia letniego, pod wieczór, gdy wracałem do siebie, „concierge“ oświadczył mi, że przyjechał do mnie jakiś „ami“.

— To są — objaśnił — jego rzeczy.

Zobaczyłem przy drzwiach dwa wielkie worki perkalowe, w czerwone kwiaty, jak na „jubkach“ bab rosyjskich. Nie mogłem się domyśleć, co to był za „przyjaciel“, podróżujący z tak szczególnym bagażem. W pół godziny później zastukano do drzwi. Gdy je otworzyłem, rzucił mi się na szyję ogorzały, krępy, o potężnych barach człowiek z wielką, czarną brodą i zawołał:

— Nie poznajesz mnie? — Cękałski...

Jak przez mgłę zamajaczyło mi, że istotnie miałem w gimnazjum piotrkowskim kolegę, Ignacego Cękałskiego, z którym rozstałem się w szóstej klasie. Był starszy

ode mnie może o dwa, trzy lata, więc trudno mi było pogodzić się z jego wielką brodą, bo nie miałem jeszcze lat dwudziestu siedmiu. W rysach twarzy a zwłaszcza w wyrazie ust pozostało coś z dawnego Cękałskiego, więc przyjąłem powitanie z koleżeńską serdecznością.

— Chcę cię prosić — mówił brodac — o gościnę na jeden dzień, bo jest późno, nie znam Paryża, więc nie mogę odrazu znaleźć mieszkania.

— A skąd masz mój adres?

Zawahał się chwilę, a potem dodał:

— Dali mi w restauracji polskiej.

Zasiedliśmy do herbaty. Cękałski mówił mało, powściągliwie i ciężko. Rozgadał się dopiero po godzinie i — opowiadał do późnej nocy. Relację swą uzupełniał dni następnych, bo gościna „na jeden dzień“ przeciągnęła się bardzo, bardzo długo...

— Po skończeniu sześciu klas — mówił Cękałski — wstąpiłem na farmację. Zabrano mnie do wojska i wysłano na Kaukaz. Poznałem tam kapitana rosyjskiego, który się nazywał tak, jak bohater Turgenjewa w „Ojcach i dzieciach“: Bazarow. Zżyliśmy się ze sobą, bo obu nas rozpałała jedna namiętność: marzyliśmy o dalekich podróżach egzotycznych. Bazarow miał stosunki w Moskwie i wyjednał sobie osobliwą misję: Moskiewskie Towarzystwo Geograficzne postawiło go na czele ekspedycji naukowej w głąb krajów dolnego Nilu. Zaproponował mi, żeby się do nich przyłączyć. Propozycję przyjąłem z zapalem. Służba w wojsku już mi się kończyła,

więc, po załatwieniu wszelkich formalności, wyruszyliśmy z Bazarowem do Aleksandrji. Tam sformowaliśmy karawanę z trzydziestu ludzi i ruszyliśmy w drogę. Moje wiadomości geograficzne i przyrodnicze były niewielkie, ale i Bazarow niezbyt się nadawał do „ekspedycji naukowej“. Gadaliśmy bez końca, bo Bazarow, wzorem Rosjan, lubił dyskusje, piliśmy dużo, uśmierzailiśmy krnąbrną karawanę, ale nasze „badania“ posuwały się dosyć skąpo. Bazarow coś tam notował długo na postojach, zabijał „nieznane“ zwierzęta, z których skóry zdierał i wyprawiał specjalista; ja zbierałem „nieznane“ rośliny. Zarówno z karawaną, jak ze spotykaną ludnością porozumiewaliśmy się przez tłumaczy dosyć podejrzanych. Po kilku miesiącach dowlekliśmy się do Oboku, na dłuższy odpoczynek. Mieliśmy obowiązek wysłać stamtąd do Tow. Geograficznego pierwszy memoriał o wynikach naszej ekspedycji. Do Oboku również nadejść miały dla nas dalsze zasiłki i wskazówki. Po tygodniu memoriał został napisany i wysłany. Zostaliśmy wezwani pewnego dnia do gubernatora Oboku, który nam oświadczył, że otrzymał od Tow. Geograficznego telegraficzne zlecenie, abyśmy ekspedycję przerwali i natychmiast wrócili do Rosji. Widocznie memoriał Bazarowa nie wzbudził zachwytu... Gubernator wypłacił Bazarowowi fundusz na nasz powrót.

Co robić dalej? Bazarow wsiadł na okręt i powrócił. Ja nie miałem wracać poco. Ciągnął mnie nieprzeparcie Wschód. W porcie pożegnaliśmy się z Bazarowem bardzo

czule. Wręczył mi rulon pieniędzy, owinięty w papier i życzył mi „szczęścia“. Byłem przekonany, że są to dwudziestofrankówki w złocie. Gdy statek, uwożący Bazarowa, ruszył, zajrzałem do rulonu i przekonałem się, że zawiera... sto srebrnych franków... Byłem w rozpacz. Co począć z taką sumą w dalekim Oboku?

Dowiedziałem się w porcie, że za kilka dni wyjeżdża statek do Bombaju. Wyprosiłem sobie miejsce pomocnika palacza i — ruszyłem w drogę. W Bombaju działało mi się rozmaicie.

— A cóż tam robiłeś?

— Wszystko, co się dało. Wyładowywałem towary w porcie, czyściłem buty europejczykom, sprzedawałem owoce lub różne drobne przedmioty, wynajmowałem się do czyszczenia w hotelach...

— Długo tam byłeś?

— Blisko rok. Czasem nawet zebrać musiałem. Praca była przeważnie ciężka. Głodując nieraz, zebrałem nieco pieniędzy na powrót do Europy. Pojechałem (jako pomocnik kucharza) przez Aleksandrię do Konstantynopola. Z Bombaju przywiozłem jedną tylko rzecz, a mianowicie laskę, którą chcę ci ofiarować.

Wstał i przyniósł mi laskę hebanową, obficie rzeźbioną.

— A w Konstantynopolu byłeś długo?

— Z przerwami ze dwa lata.

— Z czego żyłeś?

— Różne były zarobki. Sprzedawałem ryby suszone,

małowałem mieszkania, miałem jakiś czas sklepik, byłem kucharzem, sprzedawałem gazety na ulicach. Dorośliłem się nieco grosza i założyłem sobie przenośną kawiarnię nad Bosforem. Taką kawiarnię rozkłada się na trotuarze, na placykach, nad brzegiem morza. Na „mangale“, to jest na blaszanym pudle z rozżarzonymi węglami, gotuje się woda w imbryku. Tak, jak robią Turcy, przypinałem sobie do pasa drewnianą półeczkę z maleńkimi filiżaneczkami, a z boku miałem przymocowaną puszkę, podzieloną na dwie części: jedna — na cukier, druga — na mieloną kawę. Obok „mangału“ stawia się na trotuarze dwa lub trzy niziutkie stołeczki, na których siadają goście i rozkoszują się kilkudziesięcioma kroplami płynu, zawartego w filiżance. Jeżeli obrany punkt okazywał się niedogodny, układałem filiżaneczki na półce na brzuchu, zabierałem w jedną rękę „mangał“ a w drugą — stołeczki i przenosiłem się na inne miejsce. Handel ten szedł mi nietęgo. Turcy unikali mnie; woleli swoich. Bywały miesiące, gdy musiałem sypiać w osobliwych hotelach. Są to „kawiarnie“, mieszczące się w niewielkich izdebkach. Wokoło ścian stoją tam niskie tapczany, pokryte matami. Na środku izdebki ustawiono kilka stołeczków do siedzenia dla tych, którzy chcą grzać ręce nad wielkim, miedzianym „mangałem“. Klient, który wydał w tym zakładzie dwadzieścia „para“ (osiem groszy), ma prawo przeleżeć w takiej kawiarence do rana. Nieraz korzystałem z takiego taniego noclegu. Ale nie zawsze miałem w kieszeni dwadzieścia „para“. Bie-

dacy śpią wprost na trotuarach. Nieraz w nocy widziałem około mostu na Złotym Rogu leżące pokodem gromady chłopców, przytulonych do siebie we śnie i ogrzewających się wzajemnie ciepłem lub szerścią śpiących tam również, niezliczonych psów. W zimie, gdy moje sprawy szły fatalnie, znajdowałem we dnie schronienie w ogromnym, sławnym szynku, zwanym T e p l u, przy głównej ulicy przedmieścia Galaty. Spotykałem tam często rodaków, którzy także poszli szukać „szczęścia“ w innych krajach.

Otwarte drzwi, przy których przesiaduje zwykle jakiś obszarpaniec, prowadzą do wysokiej, długiej, naogół ciemnej izby z ciężkiem, dusznem powietrzem. Na przeciwległym końcu, pod sufitem mieści się galeryjka z drewnianą kratą, poza którą, niby w klatce, przesiaduje wypasiony właściciel zakładu, Grek. Obok galerji świeci się wielki, miedziany alembik, a pod ścianami, na półkach, stoją rzędami ponumerowane beczki z rozmaitymi trunkami. Przy małych stolikach, poustawianych wzdłuż izby, na niskich stołkach i długich ławkach siedzą, leżą, drzemią lub śpią brudne, obdarte, napół nagie postacie. Są to ludzie z najrozmaitszych krajów, z przeróżnych warstw społecznych. Niektórzy przesiadują tu całe lata, inni „bawią“ chwilowo, zapędzeni do tej jaskini fatalnym zbiegiem okoliczności. Ten i ów wydalony został „ciupasem“ z Austrii, Niemiec lub Grecji, jako turecki poddany; inny, po długiej podróży, zawłókł się do Konstantynopola w poszukiwaniu pracy i nie ma za co wrócić do kraju; jeszcze inny uciekł przed sądem a tamten znów

wprost z więzienia; ten wreszcie przyszedł sprzedać jakąś rzecz własną, albo — cudzą... Robotnicy bez zajęcia, ludzie niezdolni do pracy, emigranci, spora ilość złodziei, gromadki Ormian, którzy wskutek napadu Kurdów porzucili swe wioski, oraz sporo takich włóczęgów, których zajęcia niepodobna określić — oto goście Teplu. Przeważnie żyją oni z jałmużny od przechodniów lub z datków swych znajomych, którzy poprzednio „mieszka-
li“ w Teplu, a teraz zdobyli jakieś drobne zajęcia. Jedyne prawie pożywienie, jakie tam znają, stanowi chleb uzbierany po domach. Siłę żywotną podtrzymuje w takim biedaku jedynie alkohol. Z nadejściem nocy „Teplu“ zamknięto. Wiecznie senna czereda wyłaziła z nory i roz-
łaziła się w różnych kierunkach, szukając miejsca na nocleg. Szedłem i ja za nimi. To były najgorsze dni w mo-
jem życiu.

Pewnego dnia poznałem przypadkiem mnicha z góry Atos. Mówił dobrze po rosyjsku, więc wziął mnie za Rosjanina. Namówił mnie, żebym wstąpił do ich klasztoru i obiecywał bardzo wygodny żywot. Pojechalśmy razem. Mnichy przyjęły mnie bardzo życzliwie. Przebrano mnie i utrzymywano przez osiem miesięcy. Nie myślałem naturalnie o wstąpieniu na stałe do klasztoru. Chodziło mi tylko o przetrwanie kilku miesięcy, bo nędza wyniszczyła mnie fizycznie. Wróciłem do Konstantynopola pod pierwszym lepszym pretekstem, ale z niektórymi mnichami miewałem listowne stosunki. Poszczęściło mi się nagle: dostałem miejsce nadzorca przy budowie

rezydencji letniej wielkiego wezyra. Odłożyłem nareszcie trochę pieniędzy i postanowiłem spełnić marzenie mego życia: przyjechałem do Paryża.

*

Cękałski przez długi czas nie wspominał mi, kiedy zamierza opuścić moje mieszkanie i jakie posiada zasoby. Pewnego dnia, podczas jego nieobecności, zajrzałem do kuchni i dowiedziałem się wreszcie, co zawierają czerwone worki, przywiezione przez mego niespodziewanego gościa. Jeden był jeszcze zasznurowany; w drugim, wypróżnionym do połowy, były... suszone ryby, te same pewno, którymi handlował nad brzegiem Bosforu. Zrozumiałem, że mój kolega nie opuści mnie, dopóki tych wszystkich ryb nie skonsumuje, a worki były duże... Jakóż mieszkał u mnie przez całe dwa lata, nazywany w kolonji pospolicie „chodzikem Lorentowicza“.

Od pierwszych chwil pobytu w Paryżu tęsknił do Oceanu. Wybierał się ponownie na Wschód. Tymczasem zasoby konstantynopolskie wyczerpały się do szczętu, a ryby znikają również. Po całych dniach chodził po mieście i szukał zajęcia. Liczył wiele na pomoc ojca Didona, sławnego kaznodziei dominikańskiego, którego poznał na górze Atos. Ojciec Didon, pod koniec swego życia, założył w Arcueil pod Paryżem „Szkołę Alberta Wielkiego“, przeznaczoną dla dorosłych, bogatych paniczyków. Każdy z nich miał przy szkole swego konia, a wakacje

spędzali razem na podróżach po Europie, pod egidą ojca Didona. Zawitali również na górę Atos, gdzie Cękalski, mówiący nieco po francusku, służył im za przewodnika. Cękalski wybrał się do Arcueil i został przez ojca Didona przyjęty ze zwykłą francuską uprzejmością. Prośbę o posadę przyjął wymijająco, ale ofiarował Cękalskiemu grubą księgę, w której młodzieńcy ze szkoły opisywali swe wrażenia z góry Atos. Chodziło im o barwność relacji, więc odmalowali Cękalskiego groteskowo i niezwykle złośliwie...

Ostatnia nadzieja na „posadę“ przepadła. Tymczasem dalszy pobyt u mnie mego ahaswerowego gościa stawał się bardzo uciążliwy przy moich skromnych środkach. Odczuwał to sam i starał się być użytecznym. Przepisywał mi notatki w bibliotece, wytapetował mi mieszkanie. Pewnego dnia wpadliśmy z kolegą Barbanelem na myśl, aby Cękalski (który przecież poznał w Konstantynopolu nawet kucharstwo), gotował nam obiady. Przyjął propozycję entuzjastycznie. Kupował produkty, zawiesił fartuch i gotował nam tanie i doskonałe obiady, które spożywał razem z nami. Zwiedzieli się o tej osobliwej kuchni koleżeńskiej moi francuscy przyjaciele i zaprosili się do mnie na „polski obiad“. Cękalski przygotował: barszcz z uszkami i zrazy zawijane z kaszą. Jeden z gości, dr. Laumonier, profesor chemji, który wydał nawet dziełko p. t. *L'Hygiène de la cuisine*, zjadłszy zupę, zawołał:

— C'est excellent! C'est du *borschtche* polonais?

— Ale dlaczego pan nie je tego (pokazałem uszko)?

— Oh, merci. Ja n'aime pas des gateaux dans ma soupe.

Z nieufnością również traktowali uszka i inni goście francuscy. Kawę podał Cękalski „na tarasie“. Taras ten znany był wśród moich kolegów, jako urocze miejsce gawędy. Mieszkałem w starym domu z siedemnastego jeszcze wieku, na wzgórzu Ś-tej Genowefy. W mieszkaniu zamiast podłóg, były „carreaux“ (ceglane tafelki) a z maleńkiego przedpokoju wchodziło się po drabinie do małego belwederku na szóstym piętrze, z niego zaś na płaski dach cynowy, otoczony galeryjką. To był właśnie ów t a r a s. Czasem zaglądał tu także sam gospodarz domu, aby się napawać czarującym widokiem na Paryż, a zwłaszcza — na Notre-Dame. Reymont przywiózł z Polski samowar, który dość często dymił na tarasie i który kazałem nastawić również dla francuskich gości memu c o n c i e r g e' o w i, staremu pijakowi, pełniącemu u nas funkcje doraźnego posługacza. Właśnie kończyliśmy obiad, gdy ten pijaczyna podszedł do mnie i oświadczył:

— Nie wiem, co się stało z pańskim „grand réchaud“ (tak nazywał samowar). Leję wodę i leję, a wciąż się wylewa.

Lał oczywiście w rurę do węgla... Cękalski zajął się samowarem i po chwili zaprosił nas na taras. Położyliśmy się pokotem i piliśmy herbatę. W pewnym momencie

stare, przegnite krokwie nie wytrzymały ciężaru: zaczęliśmy zagłębiać się w dach. Do katastrofy nie doszło, ale... stanęła teraz przede mną wizja gospodarza domu. Co powie, gdy to zobaczy? Jak ukryć przed nim naszą... tak ciężką herbatę, że aż dach się zawalił? Postanowiliśmy z Cękałskim oczekiwać „szczęśliwego wypadku“, t. j. burzy z wichrami, na którą zwalimy całą odpowiedzialność za uszkodzenie tarasu. Jakoż los nam sprzyjał: w trzy dni później zerwała się w nocy gwałtowna, długotrwała burza, po której do mego pokoju sączyć się zaczęła woda. Podniosłem alarm, wezwałem gospodarza. Przyszedł ze specjalistą, obejrzał, pokiwał boleśnie głową i zajęczał:

— Oh, quel malheur!

Nasza herbata kosztowała go dwa tysiące franków...

Kolega Barbanel wyjechał do kraju nazawsze i nasze obiady domowe musiały uleść zawieszeniu. Znowu powstała kwestja, co zrobić z moim nieszczęsnym Ahaswerm? Pewnego dnia oświadczył mi, że ma „poważny plan“, który mu pozwoli wydostać się nareszcie albo do Ameryki, albo na Wschód, do Indyj. Dowiedział się, że w Hawrze ma fabrykę świec i mydła bogaty a bardzo uczynny Polak, Sapięha, który chętnie pomaga rodakom. Cękałski postanowił starać się o miejsce u niego. Przechywał „dobrą posadę“ a w następstwie dalekie, wymarzone podróże. Oddałem mu ostatnie franki, jakie miałem, byle... tę posadę otrzymał. Zabrał swe czerwone worki i — pojechał. Odetchnąłem.

Nie nadługo. W pięć dni później, około dwunastej w nocy, ktoś lekliwie zastukał do mego mieszkania. Ujrzałem przy świetle lampy wybladłą, zniszczoną twarz Cękalskiego, który wszedł do pokoju bez słowa i od razu położył się na kanapie, kaszląc ciężko. Usłyszałem tylko wyrazy:

— Jestem chory!

Przyrzędziłem mu szklankę herbaty, którą wypił chciwie, ale na uporczywe pytania moje odpowiadał:

— Jutro powiem ci wszystko.

Okazało się, że Sapiehy nie zastał odrazu w Hawrze. Drobne pieniądze, jakie miał przy sobie, wydał na jedzenie. Jedną noc listopadową spędził, stojąc, w pewnej ubikacji ulicznej, dostępnej dla wszystkich. Tam się zaziębił i dostał gorączki, z którą chodził po mieście przez dwa dni. Sapieha przyjął go życzliwie, ale oświadczył krótko, że nie może ofiarować mu żadnej posady, bo potrzebuje tylko specjalistów. Dał mu 40 franków i poradził, aby natychmiast wracał do Paryża.

Mocny organizm Cękalskiego zwalczył szybko zapalenie płuc, jakie się wywiązało z nocnej przygody w Hawrze. Po miesiącu był już gotów do nowej podróży. Zdecydował się „stanowczo“ wyruszyć na Wschód przez Marsylję.

— Tylko żeby się dostać do Marsylii. Już dalej dam sobie radę — mówił, zachęcając mnie do tego projektu.

Z dostarczeniem środków na tę podróż Ahaswera było gorzej. Musiałem urządzić składkę wśród najbliższych

przyjaciół. Zebrałem tyle, że wystarczyło na drogę do Marsylii i jakiś tygodniowy w niej pobyt. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Cękałski opuścił moje mieszkanie — na zawsze.

Nie zobaczyłem go już nigdy więcej w życiu, nie otrzymałem od niego nigdy najdrobniejszej nawet wiadomości. W tydzień po naszym pożegnaniu, nadeszła do niego karta pocztowa z góry Atos, pisana po rosyjsku. Jakiś przyjaciel-mnich wyrażał w niej swoje przykre zdziwienie, że Cękałski dotychczas nie nadesłał klasztorowi wielkiej lunety, na którą posłano mu kilkaset franków. Może przez tę lunetę oglądał sobie właśnie dalekie morza i oceany, na które wyruszył...

SWIETNY INTERES

O godzinie dziesiątej rano cały Paryż pracuje zawzięcie. Wizytę prywatną o tej porze usprawiedliwić można jakąś naprawdę pilną sprawą. Weszło właśnie do mnie dwóch dżentelmenów ubranych na czarno, z minami dosyć uroczystymi. Jednego z nich znałem bliżej. Był to pan Konstanty Lasota, inżynier (niedoszły), człowiek genialnych pomysłów i ogromnie obiecującej przyszłości. Mówił doskonale kilkoma językami i ze szczególną lubością rozprawiał o „niedołęstwie“ Polaków. Drugim był pan Józef T., również inżynier (tak samo — n i e d o s z ł y), człowiek powściągliwy, cichy, skupiony. Poruszał niespokojnie wąsikami, jedno oko miał nieruchome (było szklane), za to drugim świdrował przenikliwie.

— Pewno pojedynek albo sąd honorowy — pomyślałem, witając się z przybyszami.

Goście moi spojrzeli po sobie, jakby pragnąc uzgodnić, kto pierwszy przemówi. Zaczął pan Konstanty. Mówił zazwyczaj głośno, tonem wielkopańskim, przypomi-

nającym zlekka ton Franka Fiszera, gdy wydaje rozkazy garsonom na obiedzie proszonym, w restauracji.

— Przychodzimy do pana w ważnej sprawie. Jak panu wiadomo, nam Polakom braknie we wszystkim inicjatywy. Nie napróżno gada się tyle o „l'improductivité slave“. My cenimy tylko wielkie pomysły, na które nas nie stać. I dla tego nasze bogactwo narodowe tak szwankuje. Tymczasem, proszę pana, można robić wielkie pieniądze na drobnych przedmiotach. Tylko trzeba, żeby te przedmioty były dla wszystkich pożyteczne. Dam panu dwa ciekawe przykłady naszego niedołęstwa. Jeden z Polaków, mieszkających w Paryżu, wpadł na pomysł wybijania specjalnemi gwoździami całych podeszew od butów. Znalazł się zaraz Francuz, który od niego ten pomysł kupił i opatentował. Dziś cała armja francuska używa takich podeszew i Francuzik zarobił grube pieniądze. Albo np. historia drugiego Polaka, który zastanowił się raz, ile ludzie niszczą niepotrzebnie materiału opałowego, wyrzucając miał węglowy. Jegomość ten znalazł sposób przerabiania miału na cegiełki (*briquettes*) i znowu sprzedał swój pomysł za psie pieniądze Francuzowi, który zrobił na nim miljony. Otóż tak dalej być nie powinno. Właśnie założyliśmy z moim przyjacielem, także inżynierem (tu wskazał na pana Józefa) spółkę dla eksploatacji drobnych wynalazków. Zaczynamy od rzeczy na pozór błahej, ale stanowiącej codzienną potrzebę każdego cywilizowanego człowieka. Znalazłem formułę chemiczną na doskonały a tani atrament, którego, jak pan przyzna, nie-

ma w Paryżu. Według naszej kalkulacji, litr doskonałego atramentu będzie nas kosztował 9 centymów a będziemy go sprzedawali po franku. Interes — murowany. Przychodzimy do pana z potrójną prośbą: najpierw, żeby nam pan pożyczył 15 franków na pierwsze potrzeby; następnie, ażebyśmy mogli korzystać z tego wielkiego stołu, który pan ma w kuchni, a który jest panu niepotrzebny; wreszcie, żeby pan był odbiorcą naszego towaru.

— Owszem, proszę o litr. Wystarczy mi na dwa lata.

— Ale może pan nas poleci znajomym i przyjaciołom...

— Bardzo chętnie.

Mieszkałem w prastarym domu, w którym pokoiki były małe i niskie, za to kuchnia niepomierne duża. Nie korzystałem z niej, tylko rano „madame la concierge“ przyrządzała tam śniadanie. Było po pierwszym, pieniądze z redakcyj nadeszły, więc pożyczki udzieliłem i zgodziłem się na pracę wynalazców w mojej kuchni.

Przybyli nazajutrz bardzo zaafierowani i przyprowadzili ze sobą osobliwego pomocnika. Był to dwudziestokilkoletni chłop polski, zagadkowo uśmiechnięty i niezgrabny w ruchach. Nazywał się Kieliszek (imienia nie pamiętam).

— Przedstawiamy panu ciekawego człowieka — zawołał głosem tubalnym pan Konstanty. — Pan Kieliszek jest urodzonym filozofem. Po całych dniach wertuje książki filozoficzne. Umie bardzo wiele.

Kieliszek przyjął ten komplement z uśmiechem lek-

kiego zażenowania. Ubrany był bardzo skromnie, ale schludnie. Miał pod pachą jedną książkę a w kieszeni — drugą. Widoczne było, że nosił je na pokaz. Zapytałem, co to za książki. Z kieszeni wyjął słownik polsko-francuski, zpod pachy zaś... pierwszy tom „Historji filozofji materialistycznej“ Langego, w przekładzie A. Świętochowskiego. Mówił powoli, mocno mazurzył i miał dziwaczną manierę powtarzania każdej odpowiedzi od końca do początku.

— A skąd się pan wziął w Paryżu? — zapytałem zdziwiony, bo takiego „chodzika“ jeszcze nie widziałem.

— Proboszcz wysłał mnie z pielgrzymką do Rzymu... Do Rzymu z pielgrzymką wysłał mnie proboszcz. Tam byłem dwa lata. Dwa lata tam byłem.

— A cóż pan robił w Rzymie?

— Pracowałem w ogrodach watykańskich... W ogrodach watykańskich pracowałem.

— Nauczył się pan po włosku?

— Trochę się nauczyłem. Nauczyłem się trochę.

— A skąd pan wziął pieniądze na podróż do Paryża?

— Zebrałem sobie przez dwa lata... Przez dwa lata sobie zebrałem.

Zacząłem go wypytywać, jakie czytał książki. Nie zawsze pamiętał tytuły; chociaż jednak odpowiedzi jego rwały się często, chociaż niekiedy bełkotał zdania bez ładu i składu, stwierdziłem, że wiele rozumiał. Zadziwiał ten chłop polski, gdy mówił o Arystotelesie, mazurząc stale i przekręcając terminy filozoficzne. Zdawał sobie do-

skonałe sprawę, że jest okazem osobliwym i dość przebiegle układał się w swej roli.

Pan Konstanty słuchał jego odpowiedzi z widowym zachwytem. Wreszcie nie wytrzymał i zawołał:

— Cóż to za genialna rasa ci Polacy!.. Nie można dopuścić, aby się zmarnował taki człowiek. Wzięliśmy pana Kieliszka do pomocy w naszym przedsiębiorstwie.

Cała trójka stanęła do pracy. Chcąc być dyskretnym, nie zaglądałem do nich wcale. Dochodziły mnie jedynie odgłosy częstych dyskusyj obu panów inżynierów. Raz zaszedł do mnie pan Konstanty i wyłożył mi swą teorię racjonalnego obchodzenia się z Kieliszkiem.

— Powinien — tłumaczył — mieć u nas atmosferę domową. Dopuszciliśmy go do spółki. Pensji dostawać nie może, bo i my jeszcze nie zarabiamy. Dajemy mu życie, to jest najprostsze, chłopskie potrawy. Dostaje bochenek chleba na dzień, nieco masła, sporo kielbasy a herbaty, ile zechce. Narazie chodzi o to, aby mógł przeżyć.

Coś mnie skusiło: zajrzałem raz do kuchni. Kieliszek siedział za stołem, który był zalany atramentem. Pożerał chciwie kielbasę. Ręce miał zupełnie czarne. Przed nim leżała na stole „Historja filozofji“, którą czytał ukradkiem. Kuchnia była niewiarogodnie zaśmiecona.

— A gdzież są panowie inżynierowie?

Kieliszek machnął zabrudzoną ręką.

— Nie przychodzą panowie... Panowie nie przychodzą.

Tak trwało ze dwa tygodnie. Nagle pewnego ranka

wbiegła do mnie z rumorem „madame la concierge“, i z pasją zawołała:

— Ils sont fous, vos compatriotes!... J'en ai assez. (Powarjowali pańscy rodacy! Mam ich dosyć). Chcieli podobno i ją także wciągnąć do „spółki“. M a d a m e l a c o n c i e r g e postanowiła mnie opuścić, bo „w takich brudach pracować niepodobna“. Na szczęście, znalazło się inne wyjście z trudnej sytuacji. Nazajutrz pan Konstanty przyszedł do mnie z miną wielkiego przemysłowca i oświadczył ponuro:

— Nie kalkuluje się! Trzeba szukać czego innego. Fabryka w kuchni została zwinięta.

*

W dwa tygodnie później miałem nową wizytę obu inżynierów. Pan Józef milczał tajemniczo po dawnemu.

— Zdaje mi się, — zawołał zwycięsko pan Konstanty — że tym razem odkryliśmy złotą żyłę.

Rozwinął paczkę i pokazał mi niewielki aparat fotograficzny.

— Śliczny, co? — zapytał z dumą. — A wie pan, po czemu będziemy to cacko sprzedawali? — Po dziesięć franków: za darmo! Wracamy właśnie z Bon-Marché. Rozmawialiśmy z dyrektorem. Jest zachwycony. Prosił, aby mu przynieść takich aparatów, ile zechcemy. „Tant que vous voudrez“. Podpisaliśmy wstępną umowę na 200 sztuk, które mamy dostarczyć za sześć tygodni.

— No, to winszuję. A ileż ten model panów kosztował?

— Osiemdziesiąt franków. Ale modele zawsze kosztują drogo. Teraz chodzi o kredyt i o taniego specjalistę od takich robót. Mam nadzieję, że pójdzie dobrze.

Pożegnali mnie z minami przyszłych miljonerów. Po miesiącu pan Konstanty przyszedł do mnie sam, bardzo strapiony.

— Wszystko idzie jak z kamienia. Przeklęte miasto! Wybrałem się na Batignolles, bo mi dano adres dwóch emigrantów, którzy otrzymują od rodziny niezłe zasiłki. Jeden zawracał mi głowę swoim „balonem ze sterem“, nad którym, jak mówił, pracuje od lat dziesięciu i już jest bliski doskonałego rozwiązania sprawy. Powiada, że modele kosztują go mnóstwo pieniędzy, że szuka wciąż kredytu. Poszedłem do drugiego. Ten z miejsca zaczął mi wykładać swoją mistykę 1863 roku. Odnalazł — mówi — dowody, że ostatnie powstanie łączy się tajemniczemi cyframi z Powstaniem Kościuszkowskim. Przez dodanie do 1794 rozstawionych pionowo cyfr 1863, otrzymał taki wynik:

1794

1

8

6

3

—

1812

285

Jest to data naszej klęski z Napoleonem w Rosji. Gdy do cyfry 1812 doda się znowu pionowo 1863, wypadnie cyfra 1830, t. j. rok Powstania Listopadowego. Przy dal- szem podobnem dodawaniu wypadnie 1848 czyli data „wiosny ludów“, a potem 1866 czyli data klęski pod Sa- dową. Odkrycia swe wykladał z takim natchnieniem, że nie śmiałem prosić go o pożyczkę. Jeszcze gorzej poszło z introligatorami. Żaden nie chce zrobić takiego aparatu taniej (przy dwustu egzemplarzach), niż za 34 franki od sztuki. Czyli, że musielibyśmy dopłacać do każdego po 24 franki. I rób tu w takim kraju pieniądze!.. Niema jak Ameryka!

*

Upłynęło od tej pory ze dwa miesiące. Moi inżynie- rowie odwiedzili mnie znowu. Mówili z mniejszym, niż poprzednio, entuzjazmem, ale za to z solidnością ludzi doświadczonych.

— Stanęliśmy nareszcie — zaczął pan Konstanty — na gruncie realnym. Nauczyliśmy się z Józiem dziwne- go rzemiosła: będziemy wyrabiali oczy dla lalek, zwie- rząt zabawkowych, ptaków wypchanych i t. d.; z tej sa- mej masy robi się także luksusowe guziki. Zdobyliśmy nieco grosza, ale — potrzeba więcej. Mamy już aparacik gazowy do topienia masy szklanej, potrzebna jeszcze mała tokarnia.

— A skądże wydobyliście panowie pieniądze?

— To cała historia. Poznaliśmy przypadkiem doktora D. Wie pan, ten sławny smakosz. Zaprosił nas na obiad. Poszliśmy do niego z myślą, że pożyczymy 150 franków, których nam brakowało na początek. Przyjęcie było świetne. Piliśmy dużo, języki się rozwiązały, doktor sypał aforyzmami kulinarnymi. „Dobry indyk — mówił — jest na dwie osoby“. — Dlaczego? — „Bo jedną osobą jest indyk, a drugą ten, który go spożywa“. Aforyzm ten dodał nam otuchy. Postanowiliśmy prosić o trzysta franków. Przesoliliśmy. Przy kawie opowiedzieliśmy o naszej fabryczce, o naszych kłopotach i o potrzebie „przynajmniej trzystu franków“. Doktor pokiwał głową, zamyślił się, i w końcu rzucił: — „Mogę panom służyć połową tej sumy“. Wzięliśmy, oczywiście, ale tego wszystkiego zamało. Musi nam pan pomóc. Gdyby się dało zdobyć jeszcze jaką setkę!..

— Sam nie mam. Ale może się wystaram.

Rzuciłem projekt niebacznie. Inżynierowie osaczyli mnie i musiałem zabrać się do tej operacji.

Znałem pewnego starszego pana, nazwiskiem: Gieysztor. Udawał emigranta, ale wiadomo było, że w Powstaniu nie był i że żyje z funduszków rodzinnych. Mieszkał w skromniutkim hoteliku nad Sekwaną, wydawał na siebie bardzo mało i często odwiedzał znajomych. Mówiono, że pożyczał niewielkie sumy. Przychodził do mnie kiedyniekiedy na „kolacyjkę“. Gość to był na literacką kieszeń kosztowny, bo rozumiał jajecznicę dopiero od ośmiu jaj wzwyż i lubiał „popić“. Pomyślałem o pożycz-

ce od Gieysztora. Zaprosiłem moich inżynierów; wyłożyli mu swój projekt szczegółowo. Słuchał, słuchał uważnie, w końcu oświadczył, że odpowiedź da nazajutrz. Jakoż przyszedł do mnie na „kolacyjkę“ i powiedział krótko, że może pożyczyć 75 franków na weksel, ale tylko za mojem poręczeniem. Zastrzegł sobie przytem z całą otwartością, że tytułem procentu będzie u mnie bywał „ze dwa razy na tydzień na kolacji“. Zgodziłem się bez trudu. Inżynierowie kręcili noskami, że „mało“, ale zebrali się do roboty i wezwali znowu Kieliszka do „pomocy“.

Nie widziałem ich przez czas dłuższy. Przypuszczałem, że im się świetnie dzieje. Tymczasem pewnego dnia przyszedł do mnie pan Konstanty zupełnie złamany.

— Co się stało? — zapytałem, domyślając się nowego fiaska.

— Klęska materialna i moralna! — jęknął boleśnie pan Konstanty.—Nie udały się oczy i guziki. Tego trzeba się nauczyć porządnie a myśmy nie umieli. Towar nasz był nieszczególny a rynek jest nasycony. W dodatku poparzyliśmy sobie palce. Niech pan spojrzy na moje... A biedny Kieliszek chodzi z ręką obandażowaną. Sprzedaliśmy cały warsztat za psie pieniądze i — koniec. Znacznie gorsza jest katastrofa moralna. Zauważyłem, że mój towarzysz Józio przychodzi do roboty coraz rzadziej. Na moje wymówki, wzruszał ramionami. Okazało się, że kombinował na własną rękę inny interes. Wynałazł podobno latającą jaskółkę, która mu fruwała po pokoju

dziesięć minut *). Rozumie pan, jak mnie to rozpałiło. Tymczasem ten dureń nie chciał mi jej pokazać, chociaż posłał „u n p l i c a c h e t é“ do biura wynalazków i nawet napisał list do prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej. A ja dopuszczałem go do wszystkich moich przedsięwzięć!.. Sądząc, że łatwiej dojdę z nim do ładu, zaproponowałem, żeby zamieszkał u mnie, bo go wyrzucili z mieszkania. Sprowadził się do mnie, ale ciągle milczał. Jaskółkę zamknął w walizce i za nic nie chciał mi jej pokazać. Wreszcie wczoraj doszło między nami do zasadniczej rozmowy. Powiedziałem mu wręcz, że skoro nie ma do mnie zaufania, musimy się rozejść na zawsze. Nawet to nie wywarło na nim wrażenia. Odpowiedział krótko: „dobrze; jutro się wyprowadzę“. Dziś rano wyszedłem dość wcześnie, pożegnałem go sucho i poleciłem, żeby klucz zostawił u c o n c i e r g e 'k i, jak będzie wychodził. Tymczasem tak się złożyło, że po godzinie musiałem wrócić do domu po pewien list rekomendacyjny. Józia nie zastałem. Na kanapie leżała jego walizka — n i e z a m k n i ę t a! Nie mogłem się powstrzymać, powiedziałem sobie: muszę tę jaskółkę zobaczyć. Otworzyłem. I nagle zdawało mi się, że piorun we mnie uderzył. W jednym przedziale walizki zobaczyłem: m o j ą butelkę z mlekiem, m ó j chleb, kupiony rano, m ó j ręcznik i m o j e mydło! Co pan na to powie?..

— A jego rzeczy nie było?

*) Było to na dwa lata przed pierwszym aeroplanem braci Wrightów. (Przyp. autora).

— Nie!

— Widocznie biedak żadnych nie posiadał. A w drugim przedziale walizki?

— W drugim był opieczętowany mocno pakiet. Wyczułem palcami, że to — owa sławna jaskółka. Zamroczyło mnie... Chciałem pakiet rozerwać, ale otrzeźwiałem i powiedziałem sobie twardo: albo się ma charakter, albo nie ma! Zatrzasnąłem walizkę i wybiegłem wzburzony. Niech nawet nie wie, że do niej zaglądałem. Niech go gryzie sumienie do końca życia! Przyszedłem do pana, bo nie mogę sobie miejsca znaleźć. Po takim zaufaniu!.. Boże mój!

— Niechże pan nie robi tragedji. Przecież to naprawdę bardzo biedny człowiek, skoro do szczęścia potrzeba mu było tylko ręcznika i mydła. Bo chyba mleko i chleb mógł być spożywać bez pańskiego pozwolenia?

— Ależ tu idzie o zasadę!..

Pan Konstanty spojrział na mnie z gorzkim wyrzutem i — wyszedł. Wkrótce potem wyjechał do Ameryki. Z drogi przysłał mi kartę z takim straszliwym Mane — Tekel — Fares: „Naród, który wydał taką jednostkę, jak mój były przyjaciel (!) Józef, skazany jest na zagładę!“

*

Pozostałem „sam na sam z klęską“, to jest z poręczeniem na wekslu moich inżynierów. Gieysztor, skoro się dowiedział o ich bankructwie, zaczął mnie zrazu odwie-

dzać cztery razy w tygodniu a później codziennie. Było to ponad moje siły; wymigałem się, jak mogłem. Gieysztor zgotował mi zemstę: gdy nadszedł termin wykupienia wekslu, zawiadomił mnie groźnie, że daje mi 48 godzin „na załatwienie tej sprawy“. Pogróżkę przyjąłem milczeniem, aż pewnego dnia nawiedził mnie komornik: dług inżynierów urósł (po kosztach) trzykrotnie...

Zerwały się nasze stosunki z Gieysztozem, który od tej pory zaniechał wszelkich pożyczek. Ale i on także zaczął rozmyślać nad „świetnym interesem“. W nędznym hoteliku nad Sekwaną urodził się pomysł niezwykły: Gieysztor zakupił na cmentarzu Montparnasse miejsce na grób i kazał w nim wymurować przedziały na ośmiu nieboszczyków. „Jeżeli — dowodził sobie rezolutnie — zarobi się na jednym chociaż 150 franków, to wpłynie do kieszeni łatwo 1200 franków, a nikt tak tanio grobu pojedynczego nie dostanie“.

Spiętrzyły się trudności przy szukaniu amatorów.

Gieysztor żył bardzo oszczędnie, po kawiarniach nie chodził, nawet tramwajów używał niechętnie. Nagle zaczęto go spotykać coraz częściej w Café de la Régence, gdzie były gazety polskie i gdzie się zbierało zawsze sporo Polaków. Gieysztor przysiadł się do tych i owych i rozpoczynał bardzo delikatne, dyplomatyczne rozmowy. Pewnego wieczoru przysiadł się do sympatycznego i popularnego w kolonji polskiej doktora Ratulda i tak rozpoczął:

— Co słyhać? Jak zdrowie? Jakoś od pewnego czasu bardzo pan doktor zmizerniał?

— Zdaje się panu. Czuję się wybornie, tylko nie wyspałem się dzisiaj.

Gieysztor wpadł w ton zlekka mentorski. Prawił długo o braku przezorności wśród Polaków, o potrzebie zabezpieczenia rodziny, o wypadkach zakażenia wśród lekarzy... Ratuld słuchał tych morałów z roztargnieniem, zając sandwicze. Nazajutrz Gieysztor przysiadł się znowu i zaczął przemawiać dobitniej:

— A jednak nie podoba mi się pan doktor. Ta blada cera, te oczy podkrążone, ten kaszel.. Czy pan nie cierpi na płuca?.. Z każdym dniem wygląda pan gorzej.

— Cóż znowu? Zaziębiłem się odrobinę, więc kaszlę, ale to głupstwo.

— Z takiego przeziębienia powstają najgorsze rzeczy. Podług mnie trzeba w porę wszystko przewidzieć. Nie można zostawiać rodziny na łasce Boskiej.

Ratuld otworzył szeroko oczy.

— Nie rozumiem pana. Do czego pan zmierza?

— Czuję dla pana doktora tyle życzliwości i sympatii, że będę szczery i otwarty. Mam do odstąpienia grób na bardzo dogodnych warunkach. Oddam go za cenę kosztu, t. j. za osiemset franków, które mi pan doktor spłaci ratami miesięcznymi, po sto franków. Czy nie przyjemnie panu pomyśleć, że najbliższa rodzina, po jego śmierci, nie będzie miała z tą sprawą kłopotu?

Gieysztor wlepił w doktora swe jastrzębie oczy. Rattud zerwał się nagle i wrzasnął:

— A idźże pan do stu djabłów z tym swoim grobem!
Zapłacił garsonowi i wyszedł.

Nie wydały pożądanego wyniku dalsze w tym tonie oferty, składane w Café de la Régence. Skończyło się, jak w starej nowelce: położył się Gieysztor pierwszy w pięknym grobie, który wybudował ze swych wieloletnich „oszczędności“...

OSOBLIWA LICYTACJA

Gdy po kilkunastu latach pobytu w Paryżu postanowiłem wrócić do kraju, stanęło przedemną pytanie: co będzie na granicy?

Pytanie to miało swe uzasadnienie. Prezes Kasy Literackiej, p. Stanisław Libicki urządzał w owym czasie w Warszawie odczyty na fundusz zapomogowy i zaproponował mi wypowiedzenie kilku konferencyj o stosunkach literackich we Francji. Propozycję przyjąłem. Niebawem otrzymałem zawiadomienie, że generał-gubernator warszawski, który zastrzegł sobie wyłączne prawo udzielania pozwoleń na podobne odczyty, kazał wykreślić z listy prelegentów moje nazwisko. Libicki zapragnął zbadać u źródła powód tej odmowy. Udał się do Jaczewskiego (naczelnika kancelarji generał-gubernatora), który starał się zawsze o poprawne stosunki z przedstawicielami społeczeństwa polskiego. Jaczewski wyjaśnił poufnie, że zabroniono mi przemawiać publicznie w Warszawie z powodu moich „grzechów plockich“ i „grzechów paryskich“.

Wiadomość rozeszła się w sferach literackich. Wkrót-

ce potem otrzymałem list od wielkiego patrioty, członka Rządu Narodowego w r. 1863, Stanisława Krzemińskiego, w którym znalazłem takie słowa: „Mówiono mi o pańskich zamysłach: niech Pana anioł dobry od nich odwiedzie. Jest przepaść, co nic nie oddaje, jest paszcza nigdy nie syta i są łyzy nigdy nie przepłakane, a najcięższe te, których źródłem jest czyn własny. Można być zdaleka, a blisko. M a c t e!“

Alarmy te nie wzbudziły we mnie głębszego niepokoju, gdy zacząłem rozważać swoje rzekome „grzechy“. Pierwszy, p ł o c k i nie był wcale dowiedziony. Szykowałem się do matury, jako ekstern, więc utrzymywałem bliższe stosunki z niektórymi kolegami z ósmej klasy. Jeden z nich, Mieszkowski był moim pierwszym instruktorem w sprawach socjalizmu. Znosił mi „bibułę“ i różne broszury „Proletariatu“. Wychowany na poetach romantycznych, nie mogłem czytać tych druków bez głębokiego protestu. „Jako? — mówiłem sobie — pogodzić się z myślą o zbędności Polski niepodległej? — Nigdy!“ Czytałem „Walkę klas“ z wielkim smutkiem. Kolega, z którym mieszkalem, Pigłowski, zapalony marksista, toczył wciąż ze mną zajadłe spory na temat moich „starych przesądów“.

Pewnego dnia, o dwunastej w nocy, ktoś dyskretnie zastukał do naszego mieszkania. Był to przerażony ojciec Mieszkowskiego. Przyszedł nas uprzedzić, że u syna jego był wieczorem inspektor gimnazjum, Abramowicz, zrewidował jego bibliotekę i papiery, skonfiskował mu wszyst-

kie broszury i pisma socjalistyczne oraz moje „niecenzuralne“ książki i listy. Zabrałem się natychmiast do uprzątnięcia wszystkiego, co w moim mieszkaniu mogło się być podobać żandarmom. Byłem sam zdziwiony, że u młodego człowieka, szykującego się do matury rosyjskiej, można znaleźć tyle rewolucyjnego materiału. Dowiedziałem się, że Mieszkowski prosi, aby uprzedzić także Zdziarskiego i Ofenkowskiego, którzy utrzymywali z nim bliższe stosunki.

Zdziarski wraz z Hemplem i Bojanowskim utworzyli w swych majątkach pod Płockiem rodzaj kooperatywy rolnej, w której sami pracowali jak zwyczajni robotnicy od rana do nocy. Kooperatywa ta była stale szpiegowana przez żandarmów i, oczywiście, nie bez kozery. Ofenkowski, nauczyciel prywatny w jednym ze dworów, prowadził wyteżoną propagandę wśród bezrolnych. Przyjeżdżał do Płocka dość często. Uprosiłem naszą gospodynię, aby natychmiast, w nocy, wzięła dorożkę i pojechała do Zdziarskiego. Ofenkowskiego adresu nie miałem, a właśnie w papierach Mieszkowskiego znalaziono pisany przez niego szczegółowy program działalności wśród bezrolnych.

Tymczasem żandarmi nie przyszli przez całą noc. Rano przyjechał do Płocka Ofenkowski, dowiedział się o wszystkim i — natychmiast „zwiął“ za granicę. Żandarmi jeszcze nie wiedzieli o niczem. Nazajutrz musiałem wyjechać statkiem do Włocławka, aby tam, u moich kuzynek, powitać starego przyjaciela, Aleksandra Walickiego. Umówiłem się z Pigłowskim, że, jeżeli będzie

u mnie rewizja, przysła do moich kuzynek depeszę ze słowem: „załatwione“. Siedzieliśmy właśnie przy kolacji, gdy depesza nadeszła. Odebrałem ją sam i schowałem bez czytania do kieszeni. Walicki wezwał mnie po chwili do drugiego pokoju i zapytał:

— Co to za depesza?

Odpowiedziałem, że sprawa jest bez znaczenia. Walicki, który był niegdyś w powstaniu na Litwie, nie dał się złudzić moją odpowiedzią:

— Mój drogi, znam się na takich „sprawach bez znaczenia“. Pokaż mi tę depeszę.

Otworzyłem ją i, ku memu zdziwieniu, przeczytałem słowa: „Była. Nie wracaj“.

Zrozumiałem odrazu, że taki tekst jest tylko wynikiem niepokoju Pigłowskiego i postanowiłem wyruszyć do Płocka o godzinie szóstej rano. Tego samego zdania był Walicki, który mnie pouczał uroczyście:

— Lepiej posiedzieć jakiś czas w więzieniu, niż się ekspatrować.

Rano, na przystani w Płocku czekało na mnie dwóch żandarmów.

— W y g a s p a d i n L o r e n t o w i c z ? — zapytał jeden z nich.

— Tak.

— Prosi pana naczelnik żandarmerji.

Zabrał maleńką walizkę, którą miałem ze sobą, wsadził mnie do dorożki i pojechaliśmy razem „w żandarmsku“.

Tutaj badał mnie oficer, zastępujący naczelnika. Był „wieźliwy“, ale przybierał niekiedy groźne miny. Kazał mi najpierw „wywrócić“ kieszenie i pytał, czy nie mam przy sobie broni; potem analizował długo moje listy do Mieszkowskiego i wypytywał najwięcej o Ofenkowskiego. Zastrzegł, że nie wolno mi wyjeżdżać poza granice miasta i polecił zgłosić się następnego dnia. Nieskończone badania trwały codziennie po kilka godzin. Oficer nie miał doświadczenia, odpowiedzi moje notował bezładnie; nie wiele się orjentował w programie Ofenkowskiego i szukał koniecznie mojego udziału w jego propagandzie. Raz zatrzymał mnie na pół dnia w kancelarji żandarmskiej, ale rozkazu aresztowania nie wydał.

Spraw politycznych żandarmerja plocka nie miewała, więc zabrała się do rzeczy niezbyt zręcznie. U mnie w mieszkaniu, podczas rewizji, wyjęto np. nawet szereg kafli z pieca. W rezultacie, po kilku tygodniach zostawiono mnie w spokoju i nie przeszkadzano nawet w zdawaniu egzaminów. Straciłem jedynie korepetycje: uczniowie moi pochorowali się nagle — z woli rodziców... Mieszkowski odsiedział więzienie i wyjechał do Genewy; Zdziarski miał czas ukryć wszystko, co było niebezpieczne. Podobno żandarmi narzekali głośno na dyrektora gimnazjum, że dopiero na trzeci dzień zawiadomił ich o „występnej działalności“ swych uczniów. Zrozumieli, że mogli byli nakryć nas wszystkich.

*

„Grzechy paryskie“ były wyraźniejsze. Należałem przez kilka lat do Polskiej Gminy Narodowo-Socjalistycznej, redagowałem „Pobudkę“, zostałem wybrany do pierwszej Centralizacji PPS. Wprawdzie występowałem anonimowo a na pierwszym zjeździe paryskim P.P.S. wszyscy używaliśmy pseudonimów, które dopiero niedawno odsłonił Leon Wasilewski *). Ale w kolonji polskiej wiadano dobrze o tych sprawach, a niektóre o nich wiadomości mogły być dostać się do szpiegów, których pełno miał Raczkowski, szef agentury paryskiej rosyjskiego Departamentu Policji. Zapamiętałem również dobrze jeden szczegół: na czas wizyty cara w Paryżu, wszystkich „poddanych rosyjskich“, nie mających paszportów, osadzono w areszcie policyjnym (t. zw. D é p ô t). Tych, którzy byli za paszportami, strzeżono pilnie, dając każdemu do asysty jednego szpiega. Mnie obdarzono aż dwoma, którzy chodzili za mną krok w krok.

Pomimo to wszystko, postanowiłem zaryzykować powrót do kraju. Brałem pod uwagę okoliczność pewnego „przedawnienia“, gdyż w ostatnich latach mego pobytu w Paryżu zajmowałem się wyłącznie literaturą. Przyjaciele polityczni zapewniali mnie, że, w najgorszym wypadku, groziło mi zesłanie na jakiś czas „do mniej lub więcej odległych gubernij cesarstwa“.

Ewentualność taką przyjąłem z rezygnacją i wyruszyłem w drogę. Pragnąc, aby rodzina wiedziała, co się ze

*) „Dzieje Zjazdu Paryskiego 1882 roku“. Wyd. Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski. Warszawa, 1934.

mną stało, sprowadziłem do Krakowa brata i z nim razem przyjechaliśmy do Granicy. Odebrano mi, jak zwykle, paszport i, po dwóch godzinach, wezwano mnie do kancelarii żandarmskiej. Przyniesione przez żandarma rzeczy moje, zrewidowano dokładnie, poczem dokonano „rewizji osobistej“. Oczywiście, nie miałem przy sobie ani jednego papierka zbędnego. Żandarmi nie wdawali się ze mną w żadne specjalne rozmówki. Kazali mi jedynie podpisać deklarację, że, po powrocie do Warszawy, zapłacę 650 rubli, tytułem taksy i kary za nieodnowienie paszportu.

*

Przez kilka tygodni nie miałem wiadomości, co będzie z tym haraczem paszportowym. Na zwyczajowe podanie, aby mnie od niego zwolniono, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Nagle, pewnego dnia przyszedł do mnie, do redakcji urzędnik kancelarii oberpolicmajstra, który był naczelnikiem wydziału paszportów. Oznajmił mi, że jest ojcem mego kolegi szkolnego z Piotrkowa, nazwiskiem: Kobosko. Bez żadnych ogródek zaproponował, że mi „pomoże“ w kłopotcie paszportowym.

— Da mi pan — mówił — 25 rubli a ja już tak wszystkiem pokieruję, że sprawa będzie umorzona. Ile ja takich spraw przeprowadziłem!...

Zapłaciłem zgóry żadaną sumę i oczekiwałem skutku tej niespodzianej interwencji. Po dwóch tygodniach Kobosko przyszedł znowu i oświadczył, że „trzeba będzie

dać także ze 25 rubli“ komisarzowi I cyrkułu, z którym jednak musi się wprzódki delikatnie porozumieć.

„Porozumienie“ nie poszło, niestety, gładko. Kobosko odwiedził mnie po dłuższej przerwie i taką mi przyniósł dodatkową instrukcję:

— Komisarz I cyrkułu to — skończona świnia: nie bierze łapówek. Ale znalazłem na tego łajdaka sposób: Pracuje u nas w biurze właśnie administrator domu, w którym pan mieszka. Są tam na pierwszym piętrze dwa pokoiki, które pan wynajmie na miesiąc za małą cenę, bo stoją puste; administrator wpisze pana jako mieszkańca tych dwóch pokojów a wykreśli z listy zajętych lokali pańskie mieszkanie na trzecim piętrze. Da mu pan za to dziesięć rubli. Mieszkanko na pierwszym piętrze musi pan byle jak umeblować i wnieść tam trochę niepotrzebnych książek a my wystawimy rzeczy pańskie na licytację. Łóżka i stołu do pracy nie zabierzemy. Sprawa pójdzie po licytacji na umorzenie, bo ja papierki schowam bardzo głęboko. Ale, ale: musi pan dać jeszcze 5 rubli rewirowemu, żeby był życzliwy. I trzeba porozmawiać ze stróżem...

Wszystkie zlecenia wykonałem skrupulatnie. Pokoiki wynająłem. Wstawiłem do jednego łóżko żelazne z pościelą i skrzynię od książek a na niej umieściłem miednicę; w drugim poustawiałem „meble“, pożyczone od brata: stolik do pracy z krzeselkami, połamane wieszadło i dużą półkę. Na półce porozkładałem malowniczo ze dwieście książek i starych miesięczników francuskich, za-

kwalifikowanych do usunięcia z biblioteki teścia, którą odziedziczyłem: były tam zeszyty pism ekonomicznych, oderwane tomy różnych powieści polskich i francuskich, nieco starych kalendarzy oraz druków rolniczych. Mieszkanie było obrazem „nędzy i rozpaczny“.

Pewnego dnia, o ósmej rano, wpadła do mnie na trzecie piętro stróżka z wiadomością, że j u ż przyszedł „pan komisarz“ z urzędnikiem. Zbiegłem co tchu na pierwsze piętro. Wszedł „elegantny“ dygnitarz policyjny, przedstawił się wytwornie i zaczął się rozglądać po mieszkaniu. Wytłómaczył swoją „przykrą misję“, usiadł przy stoliku i melancholijnie zagadnął:

— S e n k e w i c z — to musi dużo zarabiać?..

— Pewno, że więcej, niż ja, panie komisarzu.

— A cóż ja tu mogę panu zabrać? Chyba te książki...

Czy pan je przywiózł z Paryża?

— Oczywiście.

Próbował zrazu notować tytuły tych mniemanych skarbów, ale znudził się prędko.

— Może podamy tylko cyfrę ogólną. Ile jest tych książek?

— Ze dwieście.

Sporządził poważny protokół, kazał mi go podpisać i pożegnał mnie znowu z wielką wytwornością.

Wyznaczono dzień licytacji. Zeszła się cała gromada żydków. Pan komisarz przyszedł z urzędnikiem i oświadczył, że ci, którzy stają do licytacji, mogą książki obejrzeć. Żydzi oglądali skwapliwie szpargały, szwargotali

coraz głośniej, uśmiechali się do siebie złośliwie, czasem rzucali książki z pogardą na stół. Wreszcie urzędnik zawołał, że licytację zaczyna. Nastąpiła cisza.

— Sto pięćdziesiąt rubli. Kto da więcej?

Nagle żydzi wybuchnęli chóralnym śmiechem, jakby się zmówili.

— M a ł c z a t'! — huknął pan komisarz a potem zaczął perswadować, że przecież książki przywozłem z Paryża, że za sam przewóz musiałem pewnie zapłacić kilkadziesiąt rubli.

Żydzi spoglądali na siebie i uśmiechali się ironicznie. Urzędnik znowu powtórzył sumę 150 rubli i — znowu salwa śmiechu powitała tę propozycję. Pan komisarz wpadł w wielki gniew:

— P a s z l i w o n! — wrzasnął wcale niewytwornie i zaczerwienił się jak burak.

Licytację odłożono; żydzi rozeszli się z głośnym szwargotem.

Po tygodniu odbyła się ponowna licytacja w znacznie zmniejszonym komplecie amatorów. Zaczęto sprzedaż od 25 rubli, ale i tę sumę przyjęto długiem, głuchem milczeniem.

— To jest, panie komisarzu, makulatura! — zawołał jeden ze śmielszych kupców.

— N u t a k c z t o ż? — odparł komisarz z pasją i zabierał się do wyjścia.

Nagle znalazło się dwóch nabywców, którzy postanowili „zaryzykować“ do spółki: zapłacili 25 rubli 50 kop.

Zdziwiła mnie ta nierozważna transakcja. Niebawem zrozumiałem jej tajemnicę: nabywcy wyrozumowali, że skoro książki przywiozłem — jak zapewnił komisarz — z Paryża, więc muszą mieć dla mnie specjalne znaczenie. Przyszli do mnie do redakcji z propozycją, abym odkupił „wszystko“, „za marne 50 rubli“. Odmówiłem.

Odbili sobie stratę przy moich późniejszych zakupach książek antykwarskich...

DEDYKACJE

Autor otrzymał od wydawcy zastrzeżone w umowie egzemplarze swej nowej książki. Siada i pisze d e d y k a c j e. Jedni czynią to z zupełną swobodą, niemal z rozkoszą; inni — z niezbyt chętną uległością wobec przyjętego zwyczaju, bo jakże tu zmieniać na różne sposoby formuły dedykacyjne w stosunku do ludzi, którym się wyświadcza tylko grzeczność; jeszcze inni zazdroszczą malarzom i rzeźbiarzom, że ci nie potrzebują „rozdawać siebie“ w takiej ilości, tembardziej, że „egzemplarze autorskie“ zazwyczaj nie wystarczają i trzeba „wydębiać“ nowe od wydawcy.

Co napisać? Jeśli chodzi o najbliższych przyjaciół, słowa mają barwę szczerą, nasuwają się same. Niema też kłopotu z piękną damą, która „musi mieć dedykację“ od poznanego autora, bo książkę sama sobie kupiła. Ale co powiedzieć dobremu znajomemu, szanownemu lub miłemu koledze, czy też owej żmii syczącej, która się nazywa krytykiem? Najmniej zakłopotania uczuwają podobno poeci, bo — jak mówił pewien Francuz: — „la poésie? — ça ne s'est jamais vendu; c'est toujours dédié“ (po-

ezja? — tego się nie sprzedawało nigdy; to się zawsze dedykuje).

Kunst dedykowania stanowi zdolność specjalną; jest w małej skali twórczością osobną. Są tacy, którzy ją posiadają w stopniu dość wysokim (np. Cezary Jellenta). Dedykacje można podzielić na trzy najogólniejsze rodzaje: jedne szukają prostych słów dla konwenansowego „szacunku“ lub „sympatji“; drugie wystawiają mniej lub więcej uroczyste świadectwo rozmaitych zalet i cnót człowiekowi, który książkę autora otrzymał; trzecie wreszcie przemawiają tonem poufnym, zaprawionym nieraz fantazją, żartem lub konceptem. Dedykacje chwalcze nie tylko wyrażają życzliwy stosunek autora do osoby obdarzonego, ale zawierają zazwyczaj pewną dozę panegirycznej przesady. Brzmiały niekiedy jak nagrobki: mówi się w nich tylko rzeczy najlepsze...

*

Zwyczaj rękopiśmiennych dedykacyj istnieje w Polsce oddawien dawna. Znakomity znawca książki polskiej, dr. K. Piekarski nie znalazł żadnych pisanych dedykacyj na odnalezionych dotychczas 21 inkanabułach t. j. drukach, które się ukazyły u nas od r. 1473 do końca wieku XV. Natomiast odkrył i ogłosił drukiem kilkaset już pisanych dedykacyj z wieku XVI. Niemal wszystkie redagowane są po łacinie i najczęściej według stałego schematu humanistów: „Venerabili domino“, „Viro clarissimo et excellentissimo“, „Dignissimo viro“, „Generoso Domi-

no“ itd. Przytem powtarzają się często takie wyrażenia: „in pignus perpetui amoris“ (w dowód stałej miłości), „in amoris signum“ etc. Czasem do tekstu łacińskiego dopisano kilka wierszy polskich. Na dedykacji książki z biblioteki sławnego Jana Bonara, ofiarowanej adwokatowi Langowi w r. 1584 przez J. Krzyżanowskiego, dodano po polsku: „Przyczem była pani Kunratowa, pani Langowa, p. Dawidowa, dobre wino od Fihauzera po 6 gr. pijąc“ (pisownia nowoczesna). Nieliczne dedykacje polskie są zazwyczaj skromne. Erazm Otwinowski, posyłając swe „Sprawy albo historie znanych niewiast“ (1589), pisze: „JEo Mczi Panu Stanisławowi Burbachowi swemu dawnemu i łaskawemu przyjacielowi“; Stanisław Sarnicki dedykuje swe „Annales“ (1587) w taki sposób: „J. E. M. Panu Czuriłowi (w) Wujkowicach etc, mnie zdawna łaskawemu Panu, Stanisław Sarnicki służby swe zaleca i ten upominek posyła, renovandae amicitiae ergo“.

Już w w. XVI używano dedykacyj drukowanych, zazwyczaj dość długich. Zawierały one wyrazy wdzięczności dla dobrodzieja-mecenasa, ale utrzymane były w tonie umiarkowanym. Wzorem dobrego smaku jest z humorem napisany list dedykacyjny do Jana Zamoyskiego, pomieszczony przy książce „Pieśni trzy Jana Kochanowskiego“ (1580): „I stęknąć mi W. M. nie dasz. Więc nie wiem, mam-li to od W. M. za krzywdę brać. Ale jednak, chcesz-li mię W. M. na świecie dłużej mieć, nie każ mi W. M. teraz nic pisać. Bo w dobrem zdrowiu ledwie jakie takie *operae pretium* (dzieło pożyteczne) czło-

wiek uczynić może; teraz *ne que res, ne que verba suppetunt* (i treści i wyrazów brak). A prosto, jako on mówi: *animus simul cum re concidit* (duch wraz z treścią zmarniał). Nie pomnisz W. M., co on więzień wielkiego Aleksandra uczynił, że, bojąc się, aby był pierścienia nie chybił a sławy dobrego strzelca nie utracił, umyślił był raczej gardło dać, niż łuku przed królem pociągnąć. I jam tegoż mało nie uczynił (wprawdzie nie tak doskonały strzelec), jeno że łaska W. M. droższa u mnie, niż wszystkie *poetica*. Jeśli co nie grzechy (a bodaj nie wszystko), któż winien? Ja naprzód a W. M. też po części *qui scribere cogis* (który zmuszasz do pisania), chociaż zły aspect. Zatem się łasce W. M. zalecam mego Miłościwego Pana. W Czar-
nolesie 14 Januarii 1580“.

Dobry smak humanistów ustąpił wkrótce miejsca w dedykacjach drukowanych, niesmacznym, bezwstydnym, tasiemcowym panegirykom jezuickim, które zaśmiecały książki przez długie, długie lata. Nadały one piętno całej epoce. Pierwszy lepszy fragment takiego panegiryku daje świadectwo stylu. Oto np. początek dedykacji przy zbiorze mów sejmowych Krzysztofa Zawiszy, złożonym przez jezuitów córce Zawiszy, miecznikowej Radziwiłłowej:

„Głosi sława, że wybieleni w Erydanie skrzydłaści wokalistowie na koncert z słodkobrzmiającemi jegoż potomkami ostatnią swoją respirację, wdzięczną łamią infleksją. U nas po całej Koronie niegdyś rozlegającej się melodyi

głośnego sławą Łabędzia, i po jego apoteozyi, przy wiślanych nurtach wynurza się odgłos, który o gęste typograficzne obiwszy się reguły, nim się odezwie przy Karpatach i ostatnich granicach, w książęcych pokojach pierwszą mieć pragnie audyencyę. Tenci to zawołany niegdyś po Europie, od trzydziestu lat w harmonii wolnych głosów prym trzymający alt, książęcemu twemu J. O. Franciszko sercu, znajome, bo ojcowskie *salve* intonuje, który z drukarskiej niedawno wyszedłszy prasy, ogromniej domu twego opowiadać będzie sławę, gdy przy tryumfalnych książęcych Radziwiłłowskich zabrzmie trąbach“ itd. W takiej treści i w takim języku ciągnie się ta „dedykacyjna antystrofa“ przez 42 stronicie książki in 4-to!

Dopiero pod koniec osiemnastego wieku dedykacje drukowane dochodzą do tonu spokojniejszego a pisane — do naturalnej zwięzłości. Nie mam zamiaru rozpatrywać isch w kolejności chronologicznej, bo braknie w tym przedmiocie dostatecznego materiału. Pragnę rozejrzeć się w niektórych dedykacjach bliższej nam epoki a mianowicie w dedykacjach pisarzy z kilkunastu lat przed wojną oraz pisarzy nowego pokolenia powojennego *).

*

Dedykacje mówią nietylko o stosunku pisarza do obdarzonego, ale często zdradzają nieco duszy autora (a na-

*) Korzystam za zbiorów własnych i kilku prywatnych, oraz ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

wet stylu epoki). Sienkiewicz, Prus, Świętochowski byli dość skąpi w swych dedykacjach. Nieraz spotykałem takie przypisy na książkach: „Adamowi Szymańskiemu — autor“ (A. Świętochowski, „Drygałowie“). Tę samą książkę i w tej samej formie dedykacyjnej otrzymał J. Kotarbiński. W najlepszym razie dedykacja urasta do takich rozmiarów: „Szczeremu przyjacielowi, Stefanowi Dembememu — autor“ (A. Świętochowski, „Nałęcz“). Asnyk posyła Kotarbińskiemu swą książkę z napisem: „Z prawdziwą przyjaźnią — autor“. St. Tarnowski na egzemplarzu „Matejki“ pisze: „Pani Józefowej Kotarbińskiej z uszanowaniem składa St. Tarnowski“. Więcej ciepła dawała w swych licznych dedykacjach Orzeszkowa: „Temu, czyje słowa o pierwszych książkach moich wzmacniały we mnie ufność w siły własne i zapął do pracy, przesyłam tę, zapewne ostatnią, z podziękowaniem za przyjaźń całego życia i z szacunkiem głębokim Józefowi Kotarbińskiemu — Eliza Orzeszkowa („Gloria Victis“).

Poetów, według tonu ich dedykacyj, podzielić można na dwie kategorie: jedni są powściągliwi, drudzy — rozlewni, pełni serdeczności i wynurzeń. Stanisław Wyspiański w znanych mi dedykacjach rzadko wychodził poza zwykłą formułę grzecznościową: „Wielmożnemu panu Józefowi Kotarbińskiemu, Dyrektorowi Teatru Krakowskiego ofiaruje St. Wyspiański“ („Wesele“); „Szanownemu Panu Janowi Lorentowiczowi ofiaruje Stanisław Wyspiański“ („Legjon“); „Wielce Szanownemu Panu Adamowi Szymańskiemu składa na pamiątkę spotkania

w Krakowie Stanisław Wyspiański“ („Kłątwa“). Nie-
wątpliwie bliżsi przyjaciele poety posiadają dedykacje
poufniejsze.

Miriam strzeże pilnie w dedykacjach swego stylu; są
zawsze niemal uroczyście i kunsztowne. Na zbiorze „Pro
arte“ dał mi bardzo wytworną dedykację... po łacinie.
Miłaszewskiemu, na egzemplarzu „U poetów“ napisał:
„Drogiemu Poeście Gestu wewnętrznego i tłumaczowi
Rimbaudowych nieosiągalności, St. Miłaszewskiemu —
Z. P.“. Na tej samej książce, ofiarowanej mnie, dał de-
dykację: „Janowi Lorentowiczowi kordjalnie i bibliofil-
sko — Z. P.“. Rzadko pisze dedykacje tak proste, jak
następująca: „Drogiemu J. L. z serdeczną przyjaźnią
ofiaruje — Z. Przesmycki“.

Nie lubiał zastanawiać się nad dedykacjami Kaspro-
wicz. Pisał skrótami: „Janowi Lorentowiczowi n. p. J.
Kasprowicz“. Przysyłając mi „Ginącemu światu“, połą-
czył na książce list z dedykacją: „Szanowny Panie Ko-
lego, proszę przyjąć egzemplarz i nie gniewać się na
mnie, że dotychczas nie odpisałem na ostatni list — jutro
piszę obszerniej. Koleżeński uścisk dłoni — Jan Kaspro-
wicz“. Liryzm swój zamykał nieraz w zwięzłej formule:
„Drogiemu Kornelowi, aby myślał o Harendzie“ (na
książce „Mój Świat“). A. Lange poprzestawał zwykle na
wymienianiu nazwiska osoby obdarzonej. Natomiast Or-
Ot pisywał najczęściej dedykacje gorące, niekiedy długie
i zawsze pełne serdecznej przesady: „J. L. najlepszemu
przyjacielowi, duchowi twórczemu, jak poeta, energii

i mocy, któraby wystarczyła na cały gabinet ministrów, człowiekowi czynu i pracy, duszy czystej i wiernej, z uściskiem serdecznym i pozdrowieniem braterskim“ (na książce „Hymn wolności“). Lapidarność słowa szukają dedykacje A. Niemojewskiego. Darząc Or-Ota swemi „Horoskopami“ napisał mu po łacinie: „Amicissimo viro Arturo Oppmani, Dei gratia poetae, „Carmina de gloria“ auctori, dicat dedicatque Andreas Niemojevius“. Na „Legendach“ swych posłał p. Stefanowi Dembememu takie słowa: „Odjąć djabła od narodu a wnet księża zdechną z głodu — mówi niemieckie przysłowie, przeto w dzisiejszych ciężkich czasach księża djabłem zrobili autora niniejszej książki, który się zwie: Andrzej Niemojewski“.

Z żarem pisze zawsze Bolesław Leśmian: „Stanisławowi Miłaszewskiemu, zapatrzony w bezgranicze Jego możliwości twórczych i zamyślony o tajemnych wpływach Gestu wewnętrznego na ton i słowo“ (na zbiorze poezyj „Łąka“). Jeszcze goręcej odzywa się do Or-Ota: „Najdroższemu i najlepszemu przyjacielowi, Arturowi Oppmanowi, na pamiątkę cudownych i całonocnych — aż do świtu — rozmów o poezji, prowadzonych aż do utraty tchu — na podwórzu starej kamienicy na Lesznie, głęboko wzruszony wiecznie młodem wspomnieniem dni bezpowrotnie minionych, składa w hołdzie — B. L.“. Umie też Leśmian „wierszami gadać“ w swych dedykacjach. Na „Sadzie rozstajnym“ obdarzył mnie czterema strofami:

Pieśni me jeziornym przyrównałem dnom
I wysyłam w drogę ku Wam — panie Janie, —
Aby przeszły w błysk i w grom
Poprzez Wasze posłuchanie!
Jeszcze się nie śniło, co się oczom śni,
A już duch się Snowi oddał na ofiarę,
Bom ja dożył owych dni,
Gdy się wierzy w samą wiarę...
Gdy modlitwa sercu bliższa, niżli Bóg,
A zaś Bóg — jak łodzią niedotknięta rzeka, —
Gdy wrzos, chaber i głóg
Zapatrzyły się w człowieka!...
Roślinnieje dusza, człowieczeje świat,
Tajemnicom śpieszno w liljach się zaśnieżyć,
I raz jeszcze cały świat
Od początku chce się szerzyć!...

Jan Lemański pomieszczał kunsztowne dedykacje wierszowane na egzemplarzach czerpanych, które bardzo lubił. Bawił się przytem w szczególny sposób, pisząc litery w odwrotną stronę, tak, że można je czytać jedynie w lustrze. Na ofiarowanych mi „Bajkach“ dał mi taką przyjacielską „pochwałę“:

„Zgłębiwszy tajemnicę równowagi do dna,
Postać, jako Jupiter, równa i pogodna.
A jeśli się burzliwą czasem schmurzy chmurą,
Zdjawszy ją z czoła, chowa do szufladki w biuro.“

Temu, komu poczesne miejsce dał w swej jaźni,
Dobro-pamiętny, szczerzy i wierny w przyjaźni,
Choćby umiał się gniewać na zło i zło gromić,
Woli, jak złego zwierza, w sobie gniew poskromić.
Kochając nadewszystko dzieła doskonałe,
Rad jest, jeżeli może oddać komu chwałę.
Pamiętką czerpanego tego egzemplarza,
Wyczerpawszy pochwały, autor go obdarza.“

W dedykacjach, pisanych prozą, używał Lemański pisma zwykłego. Oto jedno z nich: „J. L. krytykowi prawnemu i śmiałemu w serdecznym upominku — autor“.

Leopolda Staffa wierszowanych dedykacyj nie spotkałem. Na „Zgrzebnej kantyczce“ Ludwika-Marji Staffa napisał: „Drogiemu i Kochanemu Kaziowi Wierzyńskiemu Ludwik przez Leopolda w wieczności“. Dedykacja w tonie „urzędowym“ brzmi tak: „Janowi Lorentowiczowi, znakomitemu znawcy literatury francuskiej z wyrażami wysokiego poważania — L. Staff („Liryicy francuscy“).

Stanisław Miłaszewski obdarzył mnie „Gestem wewnętrznym“ ze słowami: „Sz. P. Dyr. J. Lorentowiczowi w serdecznym hołdzie — Autor“.

Z młodszych poetów serdeczne dedykacje pisuje, lubiany przez wszystkich kolegów, Kazimierz Wierzyński. Na „Utworach zebranych“ napisał Or-Otowi: „Panu Arturowi Oppmanowi, najgorętszemu sercu z prośbą o łaskawe przyjęcie z serdecznym uściskiem dłoni bardzo oddany — K. W.“.

Najwięcej samorzutności, humoru, niekiedy frenezji ma w swych dedykacjach Tuwim. Na „Rzeczy czarnoleskiej“ pisze Or-Otowi: „Kochany Panie Arturze! Kiedy się upijemy? Zróbmy to jaknajprędzej, bo trzeba będzie to pijaństwo powtórzyć! Ściskam serdecznie dłoń! Z Czerniakowa na Żolibórz posyła pozdrowienia Gajowy czarnoleski oraz rotmistrz I pułku Pegazów“. W miły ton łobuzerski wpada Tuwim w dedykacjach na książkach, przesyłanych najbliższym kolegom. Na „Jarmarku rymów“ woła do Kazimierza Wierzyńskiego: „Ubóstwiany! wielki! mądry! piękny! Całuję ślady Twoich stóp! Klęczę! Daj usta! Bierz mnie! — J. T.“ — albo znowu: „Kaziu! Twój na zabój! — Julek“ (na „Biblii cygańskiej“).

Pełne tkliwości są zazwyczaj dedykacje E. Zegadłowicza: „Drogiemu P. St. Miłaszewskiemu, towarzyszowi „z za stołu“ ministerjalnego, w serdecznym upominku, z serdeczną przyjaźnią, całym sercem oddany — E. Z.“; „Janowi Lorentowiczowi w podzięcie gorącej za Jego krzepiące słowa z serdecznym uściskiem dłoni — E. Z.“.

*

Powieściopisarze, dramatycy i krytycy, z małymi wyjątkami, mniej są pomysłowi w swych „antystrofach“ dedykacyjnych. Żeromski używał najchętniej formuły zwięzłej i lapidarnej. Niekiedy zaprawiał ją autoironją lub konceptem. Przysłał mi niegdyś korektowy egzem-

plarz „Utworów powieściowych“ a na nim takie słowa: „Zoilusowi w gniewie nieubłaganemu — z trwogą w sercu te pierwsze odbitki tworów swych przesyła autor wybladły“. „Popioły“ otrzymałem z napisem: „Szanownemu i kochanemu p. J. L. w przyjaznym upominku ofiaruje tę tak długą ramotę — Stefan Żeromski“. Wyraz „ramota“ użył także w dedykacji „Ludzi bezdomnych“, ofiarowanych Stefanowi Dembem: „Panu Stefanowi Dembem, jako wyraz szczerego szacunku ofiaruje tę ramotę — Stefan Żeromski. Warszawa, Dziabi Gass (t. j. ulica Żabia) nr. 4 pałac Błękitno-Żółtawy“. Na „Wietrze od morza“, ofiarowanym St. Miłaszewskiemu są słowa: „Z prośbą o przeczytanie w braterskim upominku ofiaruje ten utwór S. Żeromski“. „Przedwiośnie“, posłane p. Wandzie Miłaszewskiej, ma w dedykacji takie zakończenie: „z prośbą o przeczytanie ofiaruje w hołdzie tę historję przygód wisusa Baryki — S. Żeromski“. W innych książkach, ofiarowanych mi przez Żeromskiego powtarza się stale formuła: „na pamiątkę dawnej i wiernej przyjaźni“, „na pamiątkę dawnych i nowych lat przyjaźni“.

Miłe, pełne serdeczności i prostoty są zwykle dedykacje W. Sieroszewskiego: „Kochanemu kierownikowi teatrów polskich oraz zacnemu przyjacielowi p. Janowi Lorentowiczowi — W. Sieroszewski“. U dołu dopisek: „Pierwszy egzemplarz, jaki wyszedł z druku“ („Bolszewicy“); „Kochanemu panu Janowi Lorentowiczowi w upominku W. Sieroszewski“ („Miłość Samuraja“).

Wielką ilość dedykacyj napisał w swem życiu Wiktor Gomulicki. Zebrane razem utworzyłyby spory tom, w którym biograf poety-powieściopisarza mógłby odnaleźć wiele ciekawych szczegółów. Zwłaszcza pod koniec życia Gomulicki, osamotniony jak każdy z naszych starszych pisarzy, wzruszał się niepomiernie wszelką przysługą koleżeńską i dziękował za nią w dedykacjach. Z tych, które mi nadesłał, jedna zawiera kilka stronic. Egzemplarz swego „Pokłosa“ jubileuszowego, tłoczonego na papierze japońskim, przysłał mi z napisem pełnym żenujących superlatywów takiego pokroju: „najzacniejszemu koledze, subtelnemu i głębokiemu krytykowi, pisarzowi wielkiego talentu i wielkich zasług dla literatury i społeczeństwa“. Wszystkie inne brzmią podobnie. Zygmunta Wolskiemu, który na biletach wizytowych kazał wydrukować pod nazwiskiem słowa: „Miłośnik książek“, posłał Gomulicki „Kłosa z polskiej niwy“ z takim czterowierszem:

„Zaprawdę, Panie, że dobrze wybrałeś,
Gdy swym miłościom cel tak godny dałeś.
Przez księgi wiedzie w Nieskończoność droga;
Kto w księgi patrzy, widzi przez nie Boga“.

Nie wiedział Gomulicki, że ideałem biblijofilstwa Zygmunta Wolskiego była — jak mówił z lubością — „książka dziewicza“, t. j. nierozcięta...

Hojny, niezmiernie serdeczny, pełen fantazji w swych

dedykacjach jest Kornel Makuszyński. Czuje się w poezji nie mniej swobodnie, jak w swej świetnej prozie, więc chętnie dedykuje swe utwory wierszami. Na gwiazdkę 1931 r. przysłał mi swe „Bajeczki“ z takim napisem:

„Chociaż Najdroższy Janeczek
Wolałby miłą dziewczynkę,
Ja Mu tych kilka bajeczek
Położę dziś pod choinkę.

Niech się wzruszy, niech się śmieje
I zawiedzie piękne tony:
„Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pisarz zdycha, obnażony!“

Idźcie, bajki, jako dzieci,
Zdrowe, śmieszne, zawsze młode,
Gdzie Lorenta serce świeci,
A ja sercem was powiodę“.

Inną dedykację wierszowaną ofiarował mi Makuszyński na „Człowieku znalezionym w nocy“:

„Niechaj ten dobry człowiek, jasnego oblicza
Pierwszy krok swój skieruje w ulicę Filtrową,
Ze czią niechaj pozdrowi J. Lorentowicza
I niechaj mu się do stóp siwą skłoni głową:
On ci jest, co w niezmiernej, słodkiej swej dobroci

Znalazł tego człowieka w sumieniu autora,
Oprawił tę książeczkę w uśmiech, co się złoci,
Bowiem chciała być smutna i na serce chora.
Idźże tedy, książeczeko, z miłości poczęta,
Na ulicy Filtrowej skromnie stań u bramy,
A kiedy tam drogiego napotkasz Lorenta,
Powiedz Mu, jak Go bardzo, serdecznie kochamy“.

Proza dedykacyjna Makuszyńskiego ma zawsze werwę i świetny humor jego opowieści i feljetonów. Na „Awanturach arabskich“ napisał: „Janowi Lorentowiczowi, Wielkiemu Wezyrowi teatru, Prorokowi Krytyki polskiej, którego rozum jest wspaniały, jak Koran, a serce słodkie, jak sorbet różany, — aby, strudzoną głowę ułożywszy na pachnącem myrrhą i miodem łonie odaliski i gryząc daktyle, czytał sobie tę książkę i czasem wesoło zarżał, jako wysokiej krwi Arabczyk — ofiaruje Mu ją obłąkany derwisz hadzi Kornel Makuszyński“. Przysyłając mi swoje, jak określił „straszliwe łajdactwo“ o „Żywocie pani“, napisał dedykację, którą musiałem wyrwać natychmiast: była tam nieprzyzwoita i... obrażająca legenda o szpadzie. Otrzymał za nią przy spotkaniu kułaka w bok, na co wyszczerzył zęby, uradowany, że „chwyciło“.

Weysenhoff obdarzał mnie zazwyczaj egzemplarzami na papierze czerpanym, był bowiem zapalonym bibliofilem. Pomieszczał na nich takie, między innymi, dedykacje: „Janowi Lorentowiczowi do Jego zbioru pierw-

szych druków tę książkę z poważaniem i przyjaźnią — J. Weyssenhoff“ („Syn Marnotrawny“); „Janowi Lorentowiczowi na przedłużenie długich nocnych rozmów z poważaniem i przyjaźnią“ („Hetmani“). Widziałem także dedykacje następujące: „Pani Lucynie Kotarbińskiej, która pieszko przegląda ziemię a lotnie literaturę, z poważaniem i przyjaźnią“ („Soból i panna“); „Arturovi Oppmanowi, który mnie dobrze zna, ale i z tej książki może jeszcze coś się o mnie dowie“ („Mój pamiętnik literacki“).

Reymont pisał często dedykacje, bo miał bardzo wielu przyjaciół i znajomych. Wszystkie, które posiadam, są wyrazem serdecznej przyjaźni: „Janowi Lorentowiczowi, wielkiemu artyście-krytykowi ze słowami serdecznej przyjaźni“ („Chłopi“); „J. L., przyjacielowi lat dawnych i koledze przesyła w upominku W. St. R.“ („Ostatni Sejm Rzeczypospolitej“). Dyr. Stefanowi Dembemmu napisał Reymont na „Chłopach“: „Serdecznie dziękuję za życzliwe i szczerze słowa uznania, z podwójną przyjemnością je przyjąłem — bo jako od czytelnika, i od pisarza, którego dawno nauczyłem się cenić i poważać. Łączę gorący uścisk dłoni — oddany Wł. St. R.“. W takim tonie utrzymywał Reymont zazwyczaj przypisy imienne. Wyjątek stanowi żartobliwa dedykacja posłana państwu Kotarbińskim: „Lucynie i Józefowi Kotarbińskim dla zabezpieczenia książki od kradzieży, podpisuje ją oddany Wł. St. Reymont“.

Przybyszewski, człowiek niewypowiedzianie dobry,

przyciskał do serca każdego, kto mu okazywał nieco życzliwości i wszystkich obdarzał chętnie swemi książkami, zaopatrzonemi w gorące dedykacje. Ileż było ludzi, którzy takie dedykacje otrzymali! Zanotuję kilka: St. Miłuszewskiemu napisał tak: „Mocnemu władcy i panu języka polskiego, S. Mił., w kornym hołdzie — S. P.“; Pani Kotarbińskiej: „Świetnej reżyserce moich dramatów, Kochanej Pani, w której domu spędziłem tyle pięknych i serdecznych godzin, z głęboką przyjaźnią i wdzięcznością — S. P.“. Na kilka dni przed śmiercią da mi swego „Mściciela“ z takimi słowami: „Mojemu Drogiemu Jankowi Lorentowiczowi z głęboką serdeczną czcią i miłością — całą duszą oddany — St. P.“.

Od Artura Górskiego mam dwie dedykacje, z których druga smuci pewnym akcentem melancholji: „Drogiemu Panu Janowi Lorentowiczowi, zacnemu koledze w złą i dobrą chwilę, z rzetelną przyjaźnią A. Górski“ („Monsalwat“); „Panu Janowi, dawniej przyjacielowi z prośbą o miłe przyjęcie tej książki autor“ („Śluby“).

Najpracowitszy pisarz polski, Boy, ma zawsze niemało kłopotu z dedykacjami. Musi je pisywać kilka razy do roku i to w jakiej ilości! Gdyby miał czas, tryskałyby wszystkie dowcipem i werwą. Boy poprzestaje zazwyczaj na krótkiej formule serdecznej życzliwości lub przyjaźni: „Kochanemu Kornelowi — Stary przyjaciel Boy“ („Molier. Dzieła“); Wierzyńskiemu, gdy objął dział krytyki teatralnej w „Gazecie Polskiej“: „Kochanemu Kaziowi z błogosławieństwem na nową drogę życia i koleżeńskim

uściskiem — T. Żeleński“; „Sz. i Kochanemu p. J. Lorentowiczowi z serdeczną przyjaźnią — Boy“; „Sz. i Kochanemu P. Janowi Lorentowiczowi tę ordynarną, ale konieczną książkę ofiarowuje — Boy“ („Nasi okupanci“). „Bardzo Kochanemu Panu Janowi Lorentowiczowi tę pamiątkę epoki bliskiej jego sercu ofiarowuje Boy“ („Obiad literacki“).

Związły jest również w swych przypisach imiennych F. Goetel: „Pani Bronisławie Neufeldównie od F. Goetla“ („Ludzkość“); „Janowi Lorentowiczowi z wyrazami czci“ („Serce lodów“); „Pani Lucynie Kotarbińskiej z wyrazami głębokiego zaufania w Jej dobroć, dzielność i uczynność — F. Goetel („Samuel Zborowski“).

P. Wanda Miłaszewska tworzy wiele, więc napracuje się także przy dedykacjach. Ogrzewa je zazwyczaj serdecznem ciepłem: „Kochanemu Panu Dyrektorowi J. Lorentowiczowi na Jego utrapienie, że to już w tym roku ostatnia, — ofiarowuje tę książeczkę autorka“ („Na cztery wiatry“); „Kochanemu P. Dyrektorowi J. L. z prośbą, żeby przerzucił chociaż — historję prawdziwą pewnej, zawsze mu przyjaznej wioślarki — W. Miłaszewskiej („Czarna Hańcza“).

Piotr Choynowski poprzestaje zwykle na formule najprostszej; zrzadka urozmaica ją akcentem osobistym: „Mężowi wspaniałemu, Kornelowi Makuszyńskiemu z serdecznym uściskiem dłoni — Stary Wulkan“ („Kuznia“); „Panu J. L. przesyła tę książkę jako najlepszy

dowód, że nie wszystko, co autor sobie zamierzy, napewno mu się uda — P. C.“ („Dom w śródmieściu“).

*

Nasi autorzy dramatyczni z trudem znajdują wydawców na swe utwory: publiczność woli oglądać je na scenie. Niektórzy zdołali ten obyczaj przełamać. Do takich należy przedewszystkiem Adolf Nowaczyński, który wszystkie niemal swe sztuki ogłosił drukiem. W dedykacjach swych nie ma on tonu jednolitego: raz jest uroczysty, to znowu lubi stylizację, lub zawile groteskowanie. Oto kilka prób: „Państwu Kotarbińskim z wyrazami prawdziwej wdzięczności i uznania Ich żmudnej pracy i mozołów dla Sztuki dramatycznej, ponoszonej na scenie krakowskiej — od autora“ („Smocze gniazdo“); „Mnie wielce miłościwa Jaśnie Wielmożna Pani i Dobrodziejka Lucyna, żona Józefa Kotarbińskiego pisanie we wnętrzu zamknięte odebrać sobie raczy od Jej służki i przyjaciela — Nowaczyńskiego“ („Car Dymitr“); „Panu Janowi od Pana Adolfa“ („Wczasy literackie“); „Kochanemu Panu Janowi, za którym się zawsze tęskni, gdy się jest zdala od Niego, a którego się dręczy, gdy się jest przy nim ofiarowuje autor“ („Jegomość Pan Rej w Babinie“); „Kochanemu Panu Janowi Lorentowiczowi z wyrazami sympatji dla Jana a hołdu dla Lorentowicza, srogiemu Szacunkarza ofiaruje A. N.“ („Car Dymitr“); „Panu Janowi, Panu Lorentowiczowi, Panu Kochanemu, Pa-

nu Biblionababowi, Panu z nad Wisły, Panu od milusiej córeczki, Panu od przyszłego syna, Panu od wielu, wielu dzieci, Panu od wielu, wielu książek, Panu barzo koke-tliwemu, Panu z Paryża, Panu w Warszawie od Neuwer-ta Nowaczyńskiego. Módl się za nami“ („Małpie Zwier-ciadło“).

Jan August Kisielewski pisywał niekiedy dedykacje dłuższe. Na egzemplarzu „Karykatur“ napisał Maku-szyńskiemu:

„Mój drogi Neli, Miałaś dla tych kartek zawsze ser-deczne słowa. Wiem, że kochałaś je, może niemniej, niż ja; — nie dziwię się. Obaj kochamy naszą młodość, któ-ra te kartki zapełniała. W młodości jest największa prawda życia — i choćby to miało być dziwnem — naj-szlachetniejsza mądrość życia. Myślę, że tej filozofji za-wdzięczamy naszą wzajemną przyjaźń, że ona stanowi o naszej, bądźcobądź, wartości. Jak myślisz? Ściskam Cię — Twój Kisiel“.

Włodzimierz Perzyński lubił dedykacje figlarne. Nie-gdyś, z powodu grania w teatrze Narodowym kilku jego sztuk w jednym sezonie, napisałem w recenzji: „teatr im. W. Perzyńskiego“. P. Włodzimierz nadesłał mi swą ostatnią książkę z taką dedykacją: „Kochanemu Twórcy teatrów im. W. Perzyńskiego, Janowi Lorentowiczowi z serdecznym uściskiem dłoni — W. Perzyński“ („Me-chanizm życia“). Makuszyński otrzymał od niego „Kłó-poty ministrów“ z czterowierszem:

„Różni po świecie chodzą Kornele:
Zacni, występni, rozpustni, skromni;
Ciebie nad wszystkich stawi na czele,
Kto sobie cnoty Twe uprzytomni!“

Troskliwość o treść swych dedykacyj okazuje zawsze W. Grubiński. Or-Otowi pisze: „Arcyznakomitemu poecie, którego dzieła są szczerolotym dzwonem polskości najserdeczniej — W. G.“ („Człowiek z klarnetem“). Z dedykacyj, które od niego otrzymałem, przytoczę kilka: „Idealista zawsze wyżej stoi od swojego ideału — Wacław Grubiński, idealista bez ideału“ („Na rubieży“); „Mojemu pierwszemu krytykowi, Sz. P. Janowi Lorentowiczowi, jako miłe mi wspomnienie wejścia w szranki literatury i w szereg analitycznych ocen, nie bez wzruszenia tę nową edycję prac swoich przesyła — W. G.“ („Baal“); „W niniejszem zmienionem wydaniu, dramat o „Kochankach“ wzniósł się już stanowczym ruchem ku komedji. Sz. i Koch. P. J. Lorentowiczowi zmianę tę przedkładam i przy sposobności najserdeczniej dłoń ścisłam — W. G.“ („Kochankowie“); „Znakomitemu pisarzowi i zacnemu człowiekowi Janowi Lorentowiczowi z wyrazami serdecznej przyjaźni — Wacław Grubiński“ („Taniec“).

*

Krytycy literaccy są zawyczaj w swych dedykacjach powściągliwi i zwięzli. Niektórzy poprzestają na przypisie najprostszym. Chmielowski napisał Adamowi Szy-

mańskiemu: „Kochanemu Panu Adamowi na pamiątkę dawnych i najświeższych spotkań“ (G. Zielińskiego „Po-
ezje“). Tenże Szymański otrzymał od Ignacego Chrzano-
wskiego takie słowa na „Marcinie Bielskim“: „Czci-
godnemu Panu Adamowi Szymańskiemu w szczerym
hołdzie składa Ig. Ch.“; na ofiarowanym mnie egzem-
plarzu „Marcina Bielskiego“ znalazłem słowa: „Szanow-
nemu Koledze, J. Lorentowiczowi na pamiątkę — autor“.

Bardziej serdecznego tonu używał Ignacy Matuszew-
ski: „Stefanowi Dembem, rzadkiemu człowiekowi, który
z miłości do literatury został księgarzem i traktuje wyda-
wane przez siebie dzieła, jak rodzone dzieci — w dowód
rzetelnego szacunku i szczerzej przyjaźni poświęca autor“
(„Słowacki i nowa sztuka“). Na temże dziele napisał
mi Matuszewski: „Koledze Janowi Lorentowiczowi w imię
wspólnych sympatyj i aspiracyj estetycznych pozwalam
sobie złożyć w upominku niniejszą pracę o Słowackim“.

Krótkie są dedykacje W. Feldmana: „Autorowi
S z k i c ó w (A. Szymańskiemu) z wyrazami czci głę-
bokiej — W. F.“ („Na posterunku“); „Janowi Lorento-
wiczowi z wyrazem szczerzego szacunku i koleżeńskiego
pozdrowienia — autor“ („Pism. pol. ostatnich lat dwu-
dziestu“); na piątym wydaniu tej samej książki: „Jano-
wi Lorentowiczowi w upominku autor“.

Krytyk-estetyk, Juljusz Kleiner szuka w swych dedy-
kacjach, pomimo ich zwięzłości, akcentów indywidual-
nych: Makuszyńskiemu na „Juljuszu Słowackim napisał:
„Poecie o złotem sercu i brylantowem słowie w dowód

szacunku i przyjaźni ofiaruje J. K.“; tę samą książkę nadesłał mi z napisem: „Subtelnemu znawcy piękna ofiaruje J. K.“. Swego „Horsztyńskiego“ opatrzył dedykacją: „Wielce Szanownemu Panu Janowi Lorentowiczowi z wyrazami czci głębokiej Juljusz Kleiner“.

Adam Grzymała-Siedlecki w dedykacjach swych nie szczędzi kolegom słów wymownych i gorących: „Na pamiątkę porywu ochotniczego z lipca 1920 r., tego porywu, który armji polskiej zostawił na stałe największego poetę legendy zbrojnej naszych ojców, dziadów i nadziadów — temuż pieśniarzowi szabli i lancy, Arturowi Oppmanowi z sercem wyciągniętem na bacność składa — Adam Grzymała-Siedlecki“; „Sercem ukochanemu przyjacielowi, Janowi Lorentowiczowi ze szczerem a wołającym pragnieniem, by Jego zbożna troska o rozkwit i tryumfy pierwszej sceny polskiej nie odrywały Go od literatury ojczyściej, uczuwającej już brak Jego tegiego pióra, jasnej myśli i autorytatywnego sądu — tę wiązaną gawęd wojennych z oddanem uczuciem składa — A. G. S.“ („Cud Wisły“).

*

Niegdyś kupiłem u antykwarza dwa tomy „Polski w pieśni“ Deotymy z takimi dedykacjami: „Wacławowi Aleksandrowi Maciejewskiemu, z którego dzieł nieoszacowanych poeci czerpią wiedzę i natchnienie, tę pieśń o praojcu naszych dziejów w hołdzie ofiaruje ta, która także ze źródła Jego ksiąg zaczerpnęła kropelkę nauki —

Deotyma“; „W. A. Maciejowskiemu, Gorliwemu Badaczowi, którego dzieła były marmurową podstawą, na jakiej tę pieśń zbudowałam, w hołdzie ją ofiaruje Deotyma. 6.XII. 1860 r.“.

Niestety, oba tomy pozostały... **n i e r o z c i ę t e**: Maciejowski nie zajrzał do nich wcale. Nie jest to zjawisko odosobnione. Miałem możność stwierdzić nieraz, że wiele ksiązek z pięknymi i gorącymi dedykacjami spotyka taki sam los.

Kto i kiedy je rozetnie?...

I B U Ś

„Ibuś“ — to przydomek a zarazem typ emocjonalny. Przydomek otrzymał niegdyś najgłośniejszy i kraju i emigracji człowiek, Józefat Bolesław Ostrowski, a otrzymał go od ogółu w tem samym poczuciu zaniepokojonej pieśczołliwości, z jaką mówi się o sławnym w okolicy buldogu, który znieacka chwytą przechodnia za łydkę, a potem paszczy rozewrzeć nie może, więc ucieka z wyrwanym kawałem ciała. I b u ś jako typ — powtarza się w naszej historyi oddawien dawna. Wyrzucało go życie polskie na powierzchnię jako najprzykrzejsze szumowiny w ciągu długich wieków. Przybierał kształty na pozór odmienne, po szybkim jednak wejrzeniu w istotę sprawy, bardzo do siebie zbliżone i pokrewne.

Najbardziej swoistą jego odmianę stanowi w a r c h o ł, gatunek, który w innych nacjach nie miał nigdy tego wyrazu, co w Polsce. Ani niemiecki Z ä n k e r, ani francuski q u e r e l l e u r, ani angielski s q u a b b l e r lub w r a n g l e r — nie dają najmniejszego wyobrażenia o tem, do czego jest zdolny nasz polski, nieustraszony, wszechwładny, jaśnie-wielmożny, odradzający się fe-

niksowo z wszelkich popiołów *Warchoła*. Miał w Rzeczypospolitej moc nieprawdopodobną. Zrywał sejmy, nie dopuszczał do wyboru królów, trzymał w postrachu całe dzielnice ojczyzny, zanosił swe usługi obcemu mocarstwu za cenę zadowolenia własnej pychy. Raz się nazywał Sycylińskim lub pierwszym lepszym szlachetką, to znowu urastał na Zborowskiego lub Zebrzydowskiego, wpadał w szal Stadnickiego lub jawną zdradę Seweryna Rzewuskiego.

Bratem przyrodnim warchoła jest paszkwilista. Ten występuje w Polsce dość późno. Tradycja zachodnio-europejska rozpięła nad nim grozę najcięższych kar. Rzymskie prawo Dwunastu Tablic karało śmiercią każdego, kto będzie recytował publicznie lub komponował wiersze obelżywe i oszczercze. We Francji jeszcze w szesnastym wieku wydawano edykty, aby autorów, drukarzy i handlarzy paszkwilów za pierwszym razem ćwiczono bato-giem, za drugim zaś — karano śmiercią. W r. 1689 niejaki Chavigny, za paszkwil przeciwko arcybiskupowi z Reims, zamknięty został w więzieniu Mont Saint-Michel, gdzie przesiedział trzydzieści lat w żelaznej klatce. W kilka lat później powieszono na Place de Grève w Paryżu zecera, introligatora i handlarza paszkwilu. Polska w tym samym czasie znała głównie — panegiryki. Dopiero podczas rozbiorów paszkwilista lży zasługę osobistą, ukrywając w anonimie swe ciosy skrytobójcze. W r. 1831 paszkwilista polski przerażać już zaczął słabych terorem swej jawnej kalumnji a na emigracji wybujał

specjalnie, łącząc w sobie warcholstwo z najbrudniejszą organizacją oszczerstwa.

Arcy-typem tego ostatniego gatunku był właśnie I b u ś.

Oślawione to indywiduum pełniło najpierw funkcję kancelisty w trybunale lubelskim. Potem J. B. Ostrowski otrzymał miejsce kierownika dzieci Romana Sołtyka. Po skończeniu wyższych szkół, marzył o posadzie lektora w uniwersytecie, przez całe życie więc upajał się przeświadczeniem o swej „naukowości“ i usiłował weprzeć je w innych. Fizjonomję swą właściwą odsłonił w roku 1831, jako dziennikarz i „publicysta“. Pisał najpierw w „Kuryerze Polskim“ Niemojowskich a potem wszedł do redakcji „Nowej Polski“, organu radykalnej opozycji, co mu pozwoliło ocierać się o najwybitniejsze postacie chwili: Mochnackiego, Lelewela, Wysockiego, Goszczyńskiego, Nabelaka i innych. Obdarzony niemałym talentem polemicznym, stał się odrazu doskonałym okazem żadnego rozgłosu pismaka, który potwarczem słowem wyrabia sobie u innych poczucie własnej mocy i trzyma w postrachu niejednego bohatera, co może krew oddać za dobrą sprawę, ale uczuwa nieprzełamany wstręt do odpierania plugawych napaści. Udział jego faktyczny w samym ruchu scharakteryzował jędrnie Mochnacki, gdy go nazywał g a p i e m s p i s k o w y m. „Dnia 29 listopada —pisze Aleksander Jełowicki — tak podczas samej pamiętnej nocy, jak przez dwa dni następne siedział ukryty w lochu, albowiem w darze od natury otrzymał w po-

dobnych przypadkach niewypowiedzianą bojaźliwość i ostrożność“¹⁾). A p u b l i c y s t y k ę Ibusia w owych czasach oceniali jednakowo opozycjoniści, jak sfery umiarkowane. Barzykowski pisze o nim: „J. B. Ostrowski wyczerpał wszystko, co potwarz i kalumnja dać może, żadnego błota, żadnej kałuży nie ominął, choć bronił Rządu Narodowego, którego w sercu nienawidził“ (IV, str. 99). Albo w innym tomie swej „Historji Powstania“: „Jeden J. B. Ostrowski wypełnił swoją powinność, bo wyczerpał wszystkie rysztki i kałuże i brudami z nich obrzucił wszystko, co było w kraju wyższe, zasłużone i znakomite. Sponiewierał każdą świętość; oszustwo jako oręż przedstawił, nieufność zaszczepił, niezgodę zasiał i namiętności wzburzył“ (II. 265). O Ibusiu to, nie o kim innym, myśli Mochnecki, gdy pisze: „W żadnej kloace paryskiej nie masz tyle śmiecia, tyle brudu, byle kału, co w mózgu tych redaktorów. Jeśliby całą jaką generację błotem zbryzgać było potrzeba, toby oni mogli się podjąć tego zatrudnienia, tego zarobku. W literaturze dziennikarskiej Francuzów, Niemców i Anglików, w czasach największej ich polemicznej zawziętości, nie znalazłby się ani jeden przykład tej hańby i tego spodlenia w gazetiarstwie, jakie na swe głowy ściągnęli ci szczególni ludzie, w tak krótkim czasie. Po nich nikt już kłamać nie będzie w całym chrześcijańskim świecie. Oni kłamstwo

¹⁾ List A. Jełowickiego z d. 23.IX. 1834 r., rozesłany pismom krajowym i emigracyjnym.

wysilili — skompromitowali je bezczelnością i niezręcznością¹⁾). Niemniej dosadnie charakteryzuje go A. Giller: „Charakter cierpki, nie przebierający w środkach, pobudzany do działania chęcią znaczenia i zrobienia fortuny; umysł bystry, zwrotny, wyniosły i płaszcący się zarazem, a wyćwiczony w djalektyce pisarz zdolny, w oskarżeniach zuchwały, w dowodzeniach kłamliwy, jadowitością swą zaraził polemikę polityczną na emigracji. Na wzór jego wyrabiali się owi piraci moralni, rozbijając prawdę, honor i sławę na morzu tułactwa. Typ zionącego zazdrością polemizatora, jest nauczycielem polemiki wyuzdanej, nagiej, podpierającej się fałszem, jak koszturzem“ (III. str. 445).

I b u ś wraz z innymi znalazł się na emigracji i, poczuwszy się tutaj wybornie, wznowił „Nową Polskę“. Szumny jej program zapowiadał: wolność ludzkiego ducha, zupełne usamowolnienie myśli ludzkich i towarzystw, powstanie przeciw przeszłości, powszechne przekształcenie Europy, nowy kierunek ludzkiej wiedzy, wzniesienie jednej i ogólnej syntezy myślenia, nowa wiara, nowa ludzkość, nowa przyszłość“. Ten górny „symbol“ pisma rozwinął Ibuś w różnorodnych, przez kilkanaście lat trwających napaściach i potwarzach, miotanych na wszystkich po kolei: wymyślał nieustannie Czartoryskiemu, lżył Mochnackiego i Worcella, nurzał w błocie „odstępstwa“ Niemcewicza, Mickiewicza i całe zastępy najzasłużeńszych pa-

1) „Pisma rozmaite“, Paryż, 1836, str. 472.

trjotów, drwił z rzekomego „nieuctwa“ Lelewela, obrzucał kalumnjami Mierosławskiego i dziesiątki innych. Mógł broić bezkarnie, bo nie chciano udawać się do sądów francuskich. Zresztą istniały pod tym względem precedensy dość znamienne: zdarzyło się, iż w pierwszej emigracji po roku 1794 niejaki Najman, tłumacz Marata, ogłosił Kościuszkę za zdrajcę kraju. Kościuszko pozwał go do sądu — i p r o c e s p r z e g r a ł ! ¹⁾).

Najgłośniej i najbuńczuczniej rozprawiał Ibuś o h o n o r z e. Z artykułów jego wnosićby można, że w nim to właśnie skupiało się w danym momencie najwyższe poczucie honoru polskiego. Tymczasem Ibuś dla siebie miał bardzo specjalne przepisy „honorowe“. Gdy został wyzwany na pojedynek — jednym sekundantom groził wprost policją: innym, mocniejszym i bardziej doświadczonym odmawia, ponieważ „z zasady nie uznaje pojedynków“; świadkom niedoświadczonym s a m dyktował przerażające warunki spotkania, aby ich z miejsca zmaltretować. Umiał nawet bić sekundantów, gdy wiedział na pewno, że to nie pociągnie dla niego przykrych następstw. Propozycję sądu honorowego oddalał zawsze pseudo-wyniosłą odpowiedzią, że wyroków obywatelskich nie uznaje, wszystkie bowiem zatargi można regulować w sądach koronnych, a rządowi wyraża się „brak zaufania“, gdy obok jego sądów tworzy się własne. To też w oświeceniu „Nowej Polski“ cała emigracja składała

¹⁾ Gadon: „Emigracja polska“ III, 26.

się z samych łotrów i nikczemników, wśród których jaki taki porządek utrzymywał tylko on, Ibusz, człowiek honoru, gruntownej wiedzy, nieskazitelnego patriotyzmu, nieustraszonej odwagi. Istotnie, uczuwali przed nim strach wszyscy, jak przed drapieżnikiem, co się wyrwał z klatki i nie wiadomo z której strony napaść może. Jedni zamykali się w milczeniu, inni oburzali się cicho lub głośno, niektórzy zaś posuwali swą słabość do tego stopnia, że głosowali za nim przy wyborach do zarządów emigracyjnych.

Ale wtedy zdarzały się niespodzianki bardzo wymowne. Gdy w roku 1835 formowano po długich naradach nowy „Komitet“ kierowniczy emigracji, intrygi i pogróżki Ibusia sprawiły, iż jego to właśnie obrano obok Dwerneckiego, Różyckiego, Ledóchowskiego, L. Chodźki i B. Zaleskiego. Pokazało się jednak, że „mądrość większości dobrała takie osoby, iż słuszne uczucie wstrętu nie dozwalało innym zasiąść razem“¹⁾. Kandydaci powołani jeden po drugim odmówili wyboru, bo nikt z Ibusiem kolegować nie chciał. Głosowanie uznano za nieważne i osłabło nawet samo dążenie do jednoczenia emigracji.

Podobna historia powtórzyła się po raz drugi przy wyborach do „Zjednoczenia“, organizowanych w Londynie. Ostrowski, który znalazł się w tym czasie w stolicy angielskiej, knuł intrygi, aby znowu zostać wybranym. Chociaż wybory wypadły według jego myśli, tym razem sprawa przyjęła gorszy dla Ibusia obrót, niż poprzednio.

¹⁾ Kalendarz Tułactwa Polskiego, 1839, str. 89.

Nietylko nie chciano zasiadać z nim w komitecie, nietylko Lelewel oświadczył, iż „nie chce się paskudzić z J. B. Ostrowskim“, ale posypały się ze wszystkich stron protesty, które domagały się zdemaskowania Ibusia. Sam do tego dopomógł nowym skandalem. Dostarczał on notat Walerjanowi Krasińskiemu do jego „Reformacji w Polsce“ i nawet napisał własnoręcznie przedmowę, w której przedstawił wpływ reformacji u nas w świetle bardzo korzystnym. Krasiński przedmowy nie wydrukował, ale ją zachował, a za pracę zapłacił Ibusiowi 200 fun. szterl. Ibuś zażądał więcej i napisał do Krasińskiego list z pogrózką, iż napisze o książce krytykę nieprzyjazną, ze stanowiska katolickiego. Krasiński odpowiedział odmownie, naśladując Woltera. Pewien paszkwiliasta napisał raz do Woltera takie słowa: „Panie, wydrukowałem paszkwil przeciwko panu. Jest tego czterysta egzemplarzy; jeżeli pan raczy przysłać mi czterysta liwrów, odeślę panu wszystko najskrupulatniej“. Wolter odpowiedział mu niezwłocznie: „Panie, jesteś pan zbyt szlachetny. Nie śmiałybym nadużywać pańskiej dobroci. Byłby to interes niekorzystny dla pana. Sprzedaż książki przyniesie panu więcej niż czterysta liwrów“.

Ibuś ogłosił istotnie zapowiedzianą krytykę w angielskim „Fenixie“, gdzie pisał tak: „o ile wnosić się godzi, nie co innego było celem książki, jeno spotwarzyć w ogólności cały katolicyzm, a w szczególności jego wpływ na Polskę, przez wykazanie sprzeczności jego z szerzeniem oświaty i wolności w nieszczęśliwym tym kraju“. Krasiń-

ski zwrócił się do towarzyszków wygnania i przedstawił im wszystkie listy Ostrowskiego. Wkrótce ukazała się broszura p. t. „Józefat Bolesław Ostrowski i jego przekonania“¹⁾, w której przewrotność Ibusia została stwierdzona dokumentami. Następnie autorowie broszury ogłosili w „Orle Białym“ oświadczenie, że odmawiają wstępu do swych mieszkań J. B. Ostrowskiemu, który skorzystał z danego mu pozwolenia sprawdzenia złożonych na ich ręce własnych jego do Walerjana Krasińskiego listów, „ażeby stwarzać trudności i pisać listy obelżywe“²⁾.

Wzgardą emigracji londyńskiej okryty, wraca Ibuś do Paryża. Polacy łatwo zapominają krzywd. Ibuś nie tylko mógł rozpocząć nowe życie „publicystyczne“, ale wnet podniósł głowę i przemawiał tonem wielkiego inkwizytora. Zuchwalstwo jego nie zna teraz granic potwarzy. W każdym jego artykule, w każdym niemal zdaniu rozpiera się pycha rozwydrzonego bandyty pióra, który, zda się, mówi: Drżycie przedemną wszyscy, których jeszcze do mego bagna nie wciągnąłem! Zmiażdżę każdego, kto się ośmieli wystąpić przeciwko mnie. Oplwam, wyszydę, oszkaluję, pogrążę w tysiącu najohydniejszych insynuacyj. Wszyscy, prócz mnie, mogą się stać w pewnej chwili (t. j. gdy m n i e się tak będzie podobało), zdrajcami i nikczemnikami. Chcecie najmocniejszego na

¹⁾ Drukowana w Brukseli, 1841, podpisana przez: Nowosielskiego, Gleinicha, Stolzmana i Worcella.

²⁾ B. Limanowski. „Stanisław Worcell“. str. 177—180.

to dowodu? Przeczytajcie wszystko, co pisałem np. o waszym ubóstwianym wieszczu, Mickiewiczu. Nie olśniła mnie jego „wiedniejąca korona poetyczna“. Gdy został mianowany profesorem literatur słowiańskich, wyszedłem na jego spotkanie z całym zapasem pomyj oszczerczych, które miałem w pogotowiu. Gdy panowie z „Młodej Polski“ usiłowali go bronić, odpowiedziałem im wręcz: „Jeżeliby „Młoda Polska“ chciała rozumieć spódlenie osobiste i polityczne moskiewskich i austriackich uczonych, — nasamprzód trzeba złożyć na to dowody, a powtóre trudno przewyższyć osobiste i polityczne spódlenie samego pana Mickiewicza... Czyliż nie pan Mickiewicz jaśniał na podwojach moskiewskiej, włoskiej i reńskiej arystokracji? Teraz gdzie jest? Czyliż przy ludzie i życiu emigracji?... Jest jeszcze jeden wzgląd, który panu Mickiewiczowi zakazywał prawdziwie nikczemnego zabierania katedry, wzgląd stanowczy i okropny, lecz nie widziany przez sumienie pana Mickiewicza. Lecz człowiekowi, który widzieć nie chciał polskiej wojny, może-ż, może-ż być pojęty honor Polski i Emigracji? Wstręt, wstyd i zgroza łamie nasze pióro, któremu odtąd nigdy tych słów: A d a m M i c k i e w i c z — skreślić nie pozwolimy“¹⁾).

Niestety, obietnicy tej Ibuś nie dotrzymał: kłamał i teraz. Mickiewicz powiedział niegdyś, że Ibuś kłamstwem swoim zohydził je do tego stopnia, że ludzie prze-

1) „Nowa Polska“. 1840. T. IV, str. 606.

staną nadal kłamać. Ale Ibuś kłamał — za wszystkich. Lżył Mickiewicza po każdym wykładzie, chociaż już nigdy nie miał wymawiać jego nazwiska. Tworzył plotki z gawęd służących i odźwiernych, z napomykań znajomych, zaglądał w prywatne życie ludzi uczciwych. Opowiadał, jak to „uczucia i spomnienia narodowe Mickiewicza oziębione zostały na salonach“ obcej arystokracji i „przez lubieżne pieszczoty“; jak podczas podróży poeta „ukrył swoje polskie pochodzenie“; donosił nawet czytelnikom, jakie nie-narodowe puławy (!) stoją na kominku w mieszkaniu Mickiewicza ¹⁾. Wzorem prozy ibusiowej jest jego opis sławnego wieczoru 25 grudnia 1840 roku u Januszkiewicza, gdy to obaj poeci, Mickiewicz i Słowacki improwizowali. „Obrzędkiem — pisze „Nowa Polska“ (IV. 617) — kierował Eustachy Januszkiewicz, czyn godny uwagi, jeżeli spomnimy publiczne stosunki, których E. Januszkiewicz nikomu nie ukrywa, których za ubliżające swojemu polskiemu honorowi nie uważa. Dano świetny wieczór. Szampan rozlewano strumieniami. Niechaj wie Polska, że jej synów ożywia radość! Niechaj zna Europa, jakie emigracja ponosi męczeństwo! Śród rozognienia odegrano śmieszne komedje. Były lży, były omdlenia uniesień. Przyjęte role odegrali bardzo szczęśliwie panowie Ropelewski, Słowacki i wynalazca teorii łajdaczenia ²⁾. N a s z profesor pił wonności. Ten Po-

¹⁾ Ibid. str. 618—625.

²⁾ Tak Ibuś nazywa Ludwika Mierosławskiego!

lak, ten męczennik, ten pierwszy wieszcz, jak raczył nazywać siebie, przyjmuje szumne wieczory, zachmiela się szampanem, kiedy Polska łyży albo krew wylewa... Nie dozwolono wyziębzać się szalowi. Dano nowy, świetniejszy wieczór. Biesiadników przyjęła muzyka i śpiewy. Profesorowi złożono srebrny puchar, wartujący 1200 franków. Taka nędza między stronnikami arystokracji! taka pokora założyciela Kongregacji Jezuitów. Taka cichość i miłość katolickiej nauki, p o j m o w a n e j przez pana Mickiewicza. Był zamiar zrobienia najwyszukańszej podłości. B. Zaleski miał składać puchar pierwszemu wieszczowi, chociaż do nich, jako wieszczów, można powiedzieć: *de palma summos contendite vires*. B. Zaleski miał słabość przyrzeczenia tej posługi, lecz miał dosyć szlachetności złamać przyrzeczenie“.

Powodzenie wykładów Mickiewicza specjalnie drażniło Ibusia. Szpiegował, analizował niektóre, wyrwane z prelekcji zdania, insynuował, podejrzynał, łyży, rzucał oszczerstwa. Hołdy składane znakomitemu profesorowi irytują go najmocniej. „Cała arystokratyczna strona — pisze — odwiedza naukowe posiedzenia Profesora. Każde słowo pokrywa oklaskami. Nawet do Stowarzyszonej Demokracji przeszedł szal podłości. Pan Wisłouch napisał, że Profesor był założycielem polskiej rewolucji, — szczególny założyciel, który swojej roboty widzieć nie chciał. Pan Olizar, kasztelan, raczył pełnić obowiązki domownika, zamykał okna przed szumem zewnętrznym, który mógłby mieszać natchnienia Profesora.

Wszystkie podłości przewyżzyć umiał J. U. Niemcewicz, żołnierz Kościuszki, więzień stanu, przyjaciel Washingtona... Złożył na czoło panu Mickiewiczowi pocałowanie i podziękowania razem¹⁾). W dalszym ciągu twierdzi Ibuś, że Mickiewicz „odebrał sobie możność zrozumienia, szanowania i umiłowania polskiej historii“, zarzuca mu „umysłowe niedołęstwo, polityczne próżniactwo, pobożne wyuczasy“, a w końcu pomawia go o „apostazję“!...

*

Rola Ibusiów nie kończy się na ich osobistem korsarstwie dziennikarskiem. Wynajmują się oni bezpłatnie całym grupom politycznym, albo są zaszczepcami kalumnji i oszczerstwa wśród tych, którym niewola, niemożność czynu odjęła sumienie. Na emigracji, po latach bolesnego życia wyczekiwań, pełno było, jak mówił Mickiewicz, „przekleństwa i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów“. Wytworzyła się jakby moralna sadzawka stęchłej wody. Ibuś otworzył upusty tej stęchlizny i, w chwili wykładów w Collège de France wylały się na Mickiewicza z różnych pism emigracyjnych, fale wszelakiej ohydy. „Narodowość“ A. Słowaczyńskiego dowodziła, że „sumienie takiego człowieka, jak Mickiewicz, potrzebuje najtroskliwszego rozpatrzenia“; oburzała się, że „prorocy nasi nie są męczennikami“, że nie są ludźmi, „którzyby dawali przykłady cie-

¹⁾ „Nowa Polska“. T. IV, 617—618.

lesnych umartwień lub się zrzekali światowych rozkoszy, a Mickiewicz np. lubi dobrze zjeść, ciepło się ubrać, fajeczkę wyćmić“ (12 maja 1842 r., str. 5—7). L. Zienkiewicz w swej „Pszonce“, rozpatrując ironicznie żywot poety, insynuował, że z katedry Mickiewicza padały słowa, iż „uczucia patryjotyczne Polaków, to rzecz, której nie rozumieją, a ojczyzna ich, to sen, marzenie, wyraz bez znaczenia“ (oddz. III, str. 46). „Orzeł Biały“ oświadczył, że „wszelki prorok, choćby i pan Mickiewicz, otoczony całą czeredą podproroków, choćby z najlepszymi imionami, jest zgrają nędznej lub podejrzanej intrygi“; to też „Orzeł Biały“ ofiarowuje Mickiewiczowi „palmę niesławy z zapredania się“¹⁾. „Zjednoczenie“, pisząc o wykładach, stwierdza, że: „Fałszowanie ducha narodowego nie znalazło echa w Polsce. Dziś tego fałszowania postarano się w emigracji próbę zrobić i znaleziono obłąkanych“²⁾. Nawet „Trzeci Maj“ czartoryszczyków oskarżył Mickiewicza, że „pogardził narodem, nie miał, jako gwałtownych uczuć poeta, wytrwałości i zimnej rozwagi, ażeby pracować systematycznie, powoli, ale usilnie nad naprawą umysłów i pojęć“; oświadczył, że Mickiewicz „przestaje być Polakiem“ (!!), zarzucił mu wprost apostazję i dodał, że poeta, aby „zamaskować swój cel, łechce miłość własną Francji“, więc „jeśli cel Mickiewicza

1) „Orzeł Biały“ Nr. 45. 1841.

2) „Zjednoczenie“. 26 kwietnia 1843.

jest niegodziwy, czyliż sposoby do tego prowadzące mogłyby być innymi?“¹⁾)

*

Jakże wobec tych wszystkich oszczerstw i napaści zachował się Mickiewicz? Człowiek uczciwy i szlachetny jedną ma tylko odpowiedź na kalumnję łotra: milczenie. Mickiewicz milczał. Zachowywał się, mówi syn poety, „jak oddział wojska, któremu nakazano maszerować bez wystrzału przez pobojuwisko, wśród piekielnego ognia“. Nawet L. Mierosławski, któremu przecież nie brakowało odwagi polemicznej i jędrności wysłownienia, uznawał, iż w a l k a z Ibusiem nie jest możliwa. „Gdybyśmy żyli — tłumaczy — w towarzystwie normalnem, w którym by oszczercy odpowiadali swoją osobą za próby swojego języka... Ale od czasu, jak Pan Bóg dał tchórzom druk i dyliżans, ażeby to plwali zdaleka, czego w oczy powiedzieć nie śmieją, honor ludzki musi, chcąc nie chcąc, parlamentować z tą nową rasą ciemieców“²⁾). Mickiewicz tylko w kilku poufnych listach do przyjaciół skarżył się cicho na napaści Ibusiów. Raz jeden jęknął boleśnie: „Któż nie czuje — pisał do przyjaciela — jak to boleśnie widzieć swoje dobre chęci dla narodu sponiewierane i niewdzięcznością zapłacone! Ale opinja tych lub owych ludzi i całej nawet generacji, to nie naród! Trzeba dziś mieć przeko-

1) „Trzeci Maj“ 27 kwietnia 1844 r.

2) „Młoda Polska“. 1840. 26.IX.

nanie, że Polak szukać powinien tylko w sumieniu swem źródła działań i nagrody za nie¹⁾).

....Naród dał już odpowiedź na „poglądy“ Ibusiów: jeden z najprzedniejszych ołtarzy w Panteonie narodowym poświęcił Mickiewiczowi...

A Ibus?!

Dalsze losy Ibusia były dość żałosne. Obelżywy i potwarczy wobec tych, którym chciał pokazać „odwagę“ swego pióra, umiał być pokornym i płaszczącym się wobec ludzi, przez których chciał ocalić pozory swej rzekomej „naukowości“. W „Przeglądzie Poznańskim“ zaczął drukować szereg artykułów ni mniej ni więcej, jeno o Hoene-Wrońskim²⁾. „Prace“ te przesyłał Wrońskiemu przez swego przyjaciela Niedźwieckiego w nadziei, że zyska ze strony wielkiego filozofa słowa aprobaty, któremi będzie mógł olśniewać wszystkich, którzy sądzą, iż „sława“ jego wiąże się tylko z oszczerstwami. Wroński, w listach do Niedźwiedzkiego, nie dał się przekupić pustymi frazesami Ibusia, które nazwał „nienaukowem gadulstwem“, a ogólne swe wrażenie tak określił: „o ile mam sądzić według wysokiego pojęcia, jakie pan masz o swym przyjacielu, widzę, że... l a P o l o g n e e s t m o r t e... Zdaje się, że to zwyczajna rzecz w Polsce mówić o rzeczach, których się nie rozumie, i że zwyczaj ten przyjął się tam doskonale...“

1) Korespondencja I. str. 290.

2) Wydane następnie w oddzielnej książce p. t. „Hoene-Wroński“. 1852. Poznań.

Powoli Ibusz uświadomił sobie własne przeznaczenie. Po powrocie do Francji przyjął miejsce tłumacza przysięgłego... w prefekturze policji. Na tym szczególnym urzędzie okazywać wkrótce począł siłę tego samego gatunku, którą ujawnił w paszkwilach drukowanych. Gdy który z emigrantów żądał paszportu, aby się udać na prowincję, Ibusia pytano o „opinię“ prawomyślności i ta wypadła najczęściej nieprzychylnie. Wkrótce zaczęły się zupełnie zdecydowane denuncjacje. Ibusz pisywał raporty do ministra spraw wewnętrznych o wszystkich Polakach, którzy łask jego nie zyskali. Denuncjował Księgarnię Luksemburską, Szkołę Batignolską, denuncjował setki wychodźców, a najobszerniej pisał o Mickiewiczu. W aneksie do „Trybuny ludów“ (wydanej w Warszawie, 1907, w „Bibliotece naukowej“) znajdujemy in extenso jeden taki raport do ministra, w którym Ibusz pisze, że „pospółstwo uważa go (Mickiewicza) za wizjonera, ale najprzeklinliwsi przypuszczają, że go pożera nadmierna ambicja i próżność“; że „chcąc błyszczeć za jakąkolwiek cenę i wyrobić sobie rozgłos, przyjmuje wszelkie środki, nawet najniebezpieczniejsze i najniemoralniejsze, aby dopiąć swego celu“; że „przed otrzymaniem tej katedry, wobec rządu rosyjskiego przyjął na siebie formalne zobowiązanie niszczenia Polski, jako też katolicyzmu“; że „pogardzany przez swoich ziomków, p. Mickiewicz pojechał do Włoch, aby tam spróbować nawrócenia Piusa IX“; że się „zaprzedał“; że wogóle „powinien budzić nieufność rządu“. Donosy tego rodzaju narażały poetę na ciągłe za-

czepki policji i uniemożliwiły mu naturalizację. W końcu zażądał Ibuś od rządu 12,000 franków na założenie pisma francuskiego, które będzie zwalczało szerzone przez emigrację poglądy anti-napoleońskie ¹⁾).

Nadeszła wojna, klęska sedańska i komuna. Obawiając się zemsty ludu paryskiego za wszystkie swoje denuncjacje, Ibuś porzuca Paryż. Szuka schronienia w Meaux, gdzie od lat wielu mieszkał znajomy jego, emigrant Makowiecki. Okazał on Ibusiowi tak bezwzględną pogardę, że denuncjant poszukał schronienia... w szpitalu.

Historycy o dacie jego śmierci nie wiedzą.

¹⁾ Wielka Encykl. Ilustr. Serja II. Tom V.

PRZYPISY

FRAK REYMONTA

Podaną przeze mnie (w „Kurjerze Porannym“) wiadomość, że Władysław Reymont, laureat nagrody Nobla, był wykwalifikowanym czeladnikiem krawieckim, przyjęto z pewnem niedowierzaniem.

W społeczeństwie, które nie może się odzwyczaić od przesądów fałszywego arystokratyzmu, taka nadzwyczajna, prawdziwie amerykańska karjera, wydaje się czemś niewiarogodnem, niezgodnem z naszymi obyczajami.

Postanowiłem prawdziwość tej informacji poprzeć dowodami. Udałem się do siedziby warszawskiego Cechu Mistrzów i Mistrzyń Krawieckich, w domu Nr. 41 przy Krakowskim Przedmieściu. Nad bramą ujrzałem wykuty w kamieniu herb Cechu z szanowną datą 1380, która informuje, że cech ten jest jedną z najstarszych instytucyj zawodowych stolicy, liczy bowiem 554 lata istnienia.

Wszedłem do lokalu na drugim piętrze. W poczekalni pełno młodych interesantów, zapewne kandydatów do „wyzwolin“. Po chwili powitał mnie wytworny, starszy pan, z miną senatora, podobny zlekka do ministra Barthou. Weszliśmy do obszernej sali, która była jednocześnie jego gabinetem. Dowiedziałem się, że mam do czynienia z p. Karolem Miniewskim, który przez trzydzieści dwa lata piastował urząd starszego Zgromadzenia Mistrzów i Mistrzyń Cechu Krawieckiego, obecnie zaś, po przemianowaniu cechu na Izbę Krawiecką, jest jej kierownikiem. Przyjął mnie z wielką uprzejmością. Wyjaśniłem, że mi chodzi o skopjowanie aktu wyzwolin Reymonta.

— Domyśliłem się odrazu — odpowiedział z subtelnym uśmiechem. A potem dodał z udaną powagą:

— Tylko uprzedzam, że to będzie kosztowało 20 kopiejek.

— A dlaczego pan liczy na kopiejki? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Bo przed laty pożyczyłem Reymontowi 20 kopiejek na podróż z Kolušek do Piotrkowa i nie zwrócił mi nigdy tego długu.

Roześmialiśmy się obydwoj. Uprzejmy gospodarz wydał urzędnikowi polecenie, aby odszukał potrzebne akta, przez ten czas zaś czytał honory domu. Pokazał mi portret jenerałowej Jadwigi Chwierałowiczowej „anno 1698“, — portret bardzo interesujący.

— To portret naszej dobrodziejki — objaśnił p. Miniewski. — Ofiarowała Cechowi dom w XVII wieku.

Na drugiej ścianie wiszą dwa stare portrety: Batorego i założyciela szkół rzemieślniczych, Bartłomieja Nawodworskiego, kawalera Maltańskiego. Oba te portrety ofiarował w r. 1865 Zgromadzeniu Krawców Franciszek Zygałłowicz. Na trzeciej ścianie, obok fotograficznych grup mistrzów krawieckich, wisi fotografia Władysława Stanisława Reymonta — chluby Cechu.

P. Miniewski był łaskaw pokazać mi również nieco starych zabytków cechowych, jak: księgi wyzwolin krawieckich z XVII w., przywileje królewskie dla Cechu i t. d. Godnym uwagi jest przywilej ostatniego króla, Stanisława Augusta, napisany pięknym pismem na kilkunastu stronicach pergaminowych. Przywilej ten wnika bardzo skrzętnie w potrzeby członków Cechu i broni ich od zakusów dyletanckiej konkurencji. Ciekawy jest np. ustęp, dotyczący „tandeciarzy“ żydowskich, chodzących po domach i zalecających swe usługi za drobne pieniądze. Przywilej nakazuje takich „żydków“ aresztować i — wymierzać im chłostę!

Z dokumentów Cechu, dotyczących nauki krawieckiej Reymonta i jego wyzwolin, widać, że używał on wówczas jeszcze swego prawdziwego nazwiska, zapisanego w metryce urodzin, a mianowicie: R e j m e n t. Metryka Reymonta brzmi tak:

„Kobiele Wielkie, Nr. 69. Działo się we wsi Kobiele Wielkie, dnia drugiego (czternastego) maja, tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego roku, o godzinie drugiej popołudniu, stawił się Józef Rejment, lat trzydzieści trzy mający, organista przy kościele Kobiele Wielkie zamieszkały, w obecności Feliksa Kościelniaka, lat dwadzieścia trzy i Jana Skrzypczaka, lat dwadzieścia dziewięć mających, obydwoh gospodarzy, i okazał nam dziecię płci męskiej w Kobielach Wielkich urodzone dnia dwudziestego piątego kwietnia (siódmego maja) roku bieżącego, o godzinie siódmej po południu z jego małżonki Antoniny

z Kupczyńskich, lat dwadzieścia dziewięć liczącej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym, odbytym w dniu dzisiejszym, nadano imiona dwa Stanisław Władysław, a rodzicami jego chrzestnemi byli wielmożni: Ksiądz Szymon Kupczyński, proboszcz parafji Tuszyn i Melanja Szatkowska, właścicielka dóbr Huta Drewniana. Akt stawającemu i świadkom przeczytany i przez nas i stawającego ojca podpisany został, a świadkowie pisać nie umieją.

Ksiądz Szymon Kupczyński, Adm. par. Kobbiele“.

W trzynastym lub czternastym roku życia rozpoczął Stanisław Rejment swe terminatorstwo krawieckie. Kto był jego pierwszym majstrem — niema na to dowodów. Prawdopodobnie ten sam Konstancy Jakimowicz, który go później zapisał do Cechu. W każdym razie przy akcie wyzwolin złożono świadectwo rosyjskie, stwierdzające, iż S. Rejment uczęszczał przez cztery lata do Warszawskiej Szkoły Niedzielnio-Rzemieślniczej, wydane dn. 8 grudnia 1883 r. Wynika stąd, że przez te cztery lata był terminatorem. Przerwał swą naukę szkolną w trzeciej klasie i otrzymał takie stopnie: religja — dobre; język rosyjski — dobre; język polski — celujące; arytmetyka — dobre; kaligrafja — dobre. Inspektor szkół m. Warszawy, na zasadzie tej cenzury, oświadcza: „Wskutek powyższego odpisu niema z mojej strony przeszkód do promowania wymienionego terminatora na czeladnika“. Na świadectwie szkolnem urzędnik Cechu dopisał: „Okazał nagrody z roku 1881 i 1882“. Urzędowe wykształcenie Reymonta skończyło się więc na trzeciej klasie Szkoły Niedzielnio-Rzemieślniczej. Osobliwością świadectwa szkolnego jest pisownia nazwiska kandydata na wyzwolenca: brzmi ono po rosyjsku Rejmont, co niewątpliwie było pomyłką sekretarza, wszystkie bowiem inne dokumenty wymieniają nazwisko: Rejment.

Krawiec Konstancy Jakimowicz dn. 2 maja 1883 r. zapisał Stanisława Rejmenta „z osady Kobyle (zamiast Kobbiele) Wielkie“, syna Józefa i Antoniny, do Cechu krawieckiego „na dokończenie nauki od dn. 2 maja do 1 stycznia 1884 roku, t. j. na dziewięć miesięcy“. Zapis stwierdza, że Stanisław oddany był „przez ojca za kontraktem prywatnym“, a warunki umowy streszcza tak: „Zapis, wyzwoliny i całkowity sprawonek Majstra“. Od zapisu opłacono „do skrzynki“ 90 kop.

Po dziewięciu miesiącach, dn. 2 stycznia 1884 r., nastąpił akt wyzwolin siedemnastoletniego Stanisława Rejmonta na czeladnika, zapisany w księdze pod numerem 1032. Majster wyzwalający, Konstancy

Jakimowicz, w rubryce z zapytaniem: „jaką na dowód uzdolnienia zrobił sztukę“, czyli „jaką okazał kwalifikację do stopnia czeladniczego“, kazał pomieścić podpisane własnoręcznie oświadczenie: „O k a z a ł f r a k b. d o b r z e u s z y t y“.

Do „skrzynki od wyzwolin“ wpłacił majster za Reymonta 3 rb. 20 kop., Cech zaś wydał nowemu wyzwolencowi książkę czeladniczą, co w akcie zaznaczono.

Zrazu zamierzał Reymont praktykować swe rzemiosło, czego dowodem jest jego wstąpienie do Gospody Krawieckiej, która pod numerem 1055 wpisała go do „Ksiąg Zgromadzenia Czeladzi Krawieckiej“. Losy zrzędziły inaczej. Już w dwa lata później Reymont wędruje z trupą prowincjonalną po miasteczkach, pisze pocichu „nowele“ i wiersze i — rozpoczyna nieśmiało jedną z najświetniejszych karier literackich.

SPIS RZECZY

	Str.
Reymont w Paryżu	5
Nocny napad na filologa	15
Powszednie troski Żeromskiego	25
Nagroda, która go nie doszła	37
„Na tym padole“	50
Walka z cieniem	63
Katastrofa Bolesława Prusa	79
Bohaterski żywot	92
„Sztandar ze spódnicy“	107
Zapolska w „Théâtre Libre“	122
Połamane skrzydła	136
Narodziny programu	151
Walka o prochy wieszca	166
Starzy i młodzi	180
Tragedja rewolucjonisty	195
Dola zapomnianego mściciela	211
List Augusta Bebla	225
Francuzi	234
W złoconej klatce	248
Ahaswery polskie	263
Świetny interes	279
Osobliwa licytacja	294
Dedykacje	305
Ibuś	329
Przypisy: Frak Reymonta	349

$\frac{107}{8841091}$
 PRZ



NAKŁADEM
FUNDUSZU WYDAWNICZEGO
LEOPOLDA WELLISZA

ukazały się
w wydaniu bibliofilskim

CYPRYANA NORWIDA
INEDITA

I. RESZTA WIERSZY

odszukanych po dziś a dotąd niedrukowanych,

II. PIERŚCIENŃ WIELKIEJ DAMY

tragedja w trzech aktach,

III. ROZPRAWKI EPISTOLARNE

Zebrał i wydał z autografów

ZENON PRZESMYCKI
(MIRIAM)



FELIKS STANISŁAW

JASIŃSKI

RYTOWNIK

pióra

LEOPOLDA WELLISZA
I T. CIEŚLEWSKIEGO SYNA

wydanie w ilości 300 egzemplarzy

Skład Główny
KSIĘGARNIA J. MORTKOWICZA
W WARSZAWIE

